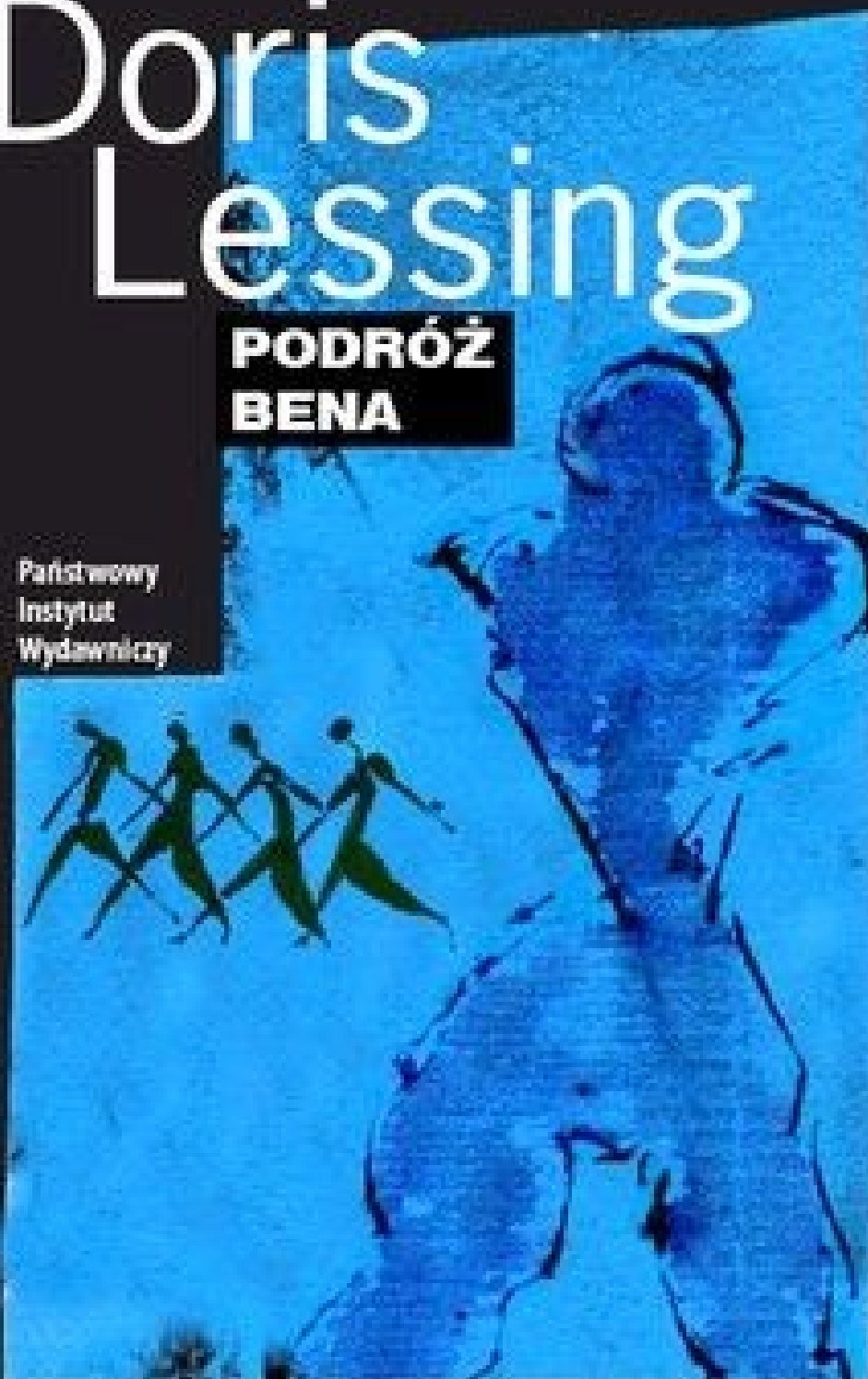


Doris Lessing

**PODRÓŻ
BENA**

Państwowy
Instytut
Wydawniczy

Literacka Nagroda Nobla 2007



Doris Lessing:
PODRÓŽ BENA

MLK

- Ile pan ma lat?

- Osiemnaście.

Ben wahał się chwilę, zanim odpowiedział, bał się tego, co miało nastąpić. Młody mężczyzna za szklaną szybą chroniącą go przed ludźmi położył na formularzu długopis kulkowy i przyjrzał się Benowi z wyrazem twarzy, który chłopak dobrze znał. Urzędnik pozwolił sobie na okazanie zdumienia i niecierpliwości, ale nie zadrwił z klienta. Patrzył na niskiego, potężnie zbudowanego mężczyznę w za dużej kurtce, który wyglądał na co najmniej czterdzieści lat. Co za twarz! Szeroka, o mocno zniekształconych rysach, usta wykrzywione w uśmiechu - z czego on się śmieje, do cholery? - wielkie, drżące nozdrza, zielonkawe oczy, jasnobrązowe rzęsy pod krzaczastymi, jasnobrązowymi brwiami. Krótka, zadbana, szpiczasta bródka nie pasowała do tej twarzy. Żółte włosy mężczyzny, podobnie jak jego uśmiech, zdawały się wprawiać ludzi w zdumienie i wywoływać irytację. Długie kołtuny, tworzące czub na jego głowie i zmierzwione loki po obu stronach były karykaturą modnej fryzury.

W dodatku mężczyzna mówił z akcentem wyższych sfer; a może tylko żartował? Urzędnik poddał Bena krótkim oględzinom, ponieważ chłopak wytrącił go z równowagi.

- Pan nie może mieć osiemnastu lat - wycedził. - Proszę podać swój prawdziwy wiek.

Ben milczał, ogarnęła go panika. Czuł całym sobą, że jest w niebezpieczeństwie. Nie powinien był przychodzić w to miejsce, pomieszczenie w każdej chwili mogło zamknąć wokół niego swoje ściany. Nasłuchiwał dźwięków z zewnątrz; dzięki nim czuł się bezpiecznie. Gołębie siedzące na płatanie prowadziły szczebiotliwą rozmowę.

Ben wyobraził sobie, że siedzi wśród ptaków, myślał o różowych szponach, którymi czepiały się gałęzi i czuł, jak jego palce się zaciskają. Gołębie były zadowolone, słońce ogrzewało ich pióra. W pomieszczeniu rozbrzmiewały obce dźwięki. Musiałby się przysłuchać każdemu z osobna, żeby zrozumieć, co oznaczają. Tymczasem młody mężczyzna czekał, obracając długopis kulkowy między palcami. Rozległ się dzwonek stojącego obok telefonu.

Po obu stronach pomieszczenia za szklanymi szybami siedzieli mężczyźni i kobiety. Jedni używali przedmiotów, wydających klekoczące i śpiewne dźwięki, inni wpatrywali się w ekrany, na których pojawiały się i znikwały słowa.

Ben czuł, że każda z tych hałaśliwych maszyn jest mu nieprzyjazna. Odsunął się na bok, żeby nie widzieć drażniących go odbić w szybie i żeby schować się nieco przed wzrokiem mężczyzny, który był na niego zły.

- Tak, mam osiemnaście lat - powiedział.

Był tego pewien. Trzy zimy wcześniej pojechał odwiedzić matkę, ale nie został u niej,

ponieważ zjawił się znenawidzony brat Bena, Paweł. Matka napisała wtedy na kartce dużymi literami:

Nazywasz się Ben Lovatt.

Twoja matka nazywa się Harriet Lovatt.

Twój ojciec nazywa się Dawid Lovatt.

Masz dwóch braci i dwie siostry: Łukasza, Helenę, Janeczkę i Pawła. Są starsi od ciebie.

Masz piętnaście lat.

Na odwrocie napisane było:

Urodziłeś się...

Twój adres domowy:...

Kiedy matka wręczyła Benowi kartkę, poczuł tak straszną wściekłość, że wybiegł z domu. Najpierw zamazał imię

„Paweł”, potem imiona pozostałego rodzeństwa. Kartka spadła na ziemię i odwróciła się drugą stroną do góry.

Ben podniósł ją i zamazał wszystkie wyrazy czarnym długopisem kulkowym; na papierze pozostał dziki labirynt linii.

Chłopak zapamiętał liczbę piętnaście, przypominał sobie o niej, kiedy ludzie pytali go: „Ile masz lat?”. Wiedział, że to bardzo ważne, dlatego zapamiętał liczbę. Kiedy nadeszły

Święta Bożego Narodzenia, a tego nie można było przeoczyć, dodał rok. Teraz mam szesnaście lat. A teraz siedemnaście. Minęła trzecia zima, więc mam osiemnaście lat.

- Dobrze, w takim razie kiedy się pan urodził?

Z czasem Ben uświadomił sobie, że nie powinien był zamazywać czarnym długopisem słów z kartki. Zniszczył ją w napadzie wściekłości, ponieważ myślał wtedy, że jest bezużyteczna. Wiedział, jak się nazywa. Znał imiona rodziców: Harriet i Dawid. Nie obchodzili go siostry i bracia, którzy życzyli mu śmierci.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy się urodził.

Wyczulony na każdy dźwięk, zdał sobie sprawę, że hałas w pomieszczeniu nagle spotęgował się, ponieważ stojąca przed okienkiem kobieta zaczęła krzyczeć na urzędnika, który zadawał jej pytania. Jej złość podziałała na ludzi jak katalizator, kolejka zaczęła poruszać się i falować. Pomrukiwano, głośno wypowiedano takie słowa jak: „sukinsyny” i „gówniarze”, brzmiało to wszystko jak szczekanie psa. Słowa te Ben znał bardzo dobrze, napawały go przerażeniem. Na szyi i karku czuł lodowate dreszcze.

Mężczyzna stojący za nim zaczął się niecierpliwić.

- W przeciwieństwie do ciebie nie zamierzam tu sterczeć przez cały dzień - powiedział.

- Kiedy się pan urodził? Proszę podać dokładną datę.

- Nie pamiętam - powiedział Ben.

Urzędnik zakończył rozmowę, ale problem pozostał nierozwiązany.

- Powinien pan zdobyć świadectwo urodzenia - powiedział. - Proszę pójść do Urzędu Stanu Cywilnego.

Tam będzie można wszystko wyjaśnić. Nie zna pan nazwiska swojego ostatniego pracodawcy. Nie zna pan swojego adresu ani daty urodzenia.

Urzędnik nie patrzył już na Bena, skinął na stojącego za nim mężczyznę, żeby podszedł do okienka. Mężczyzna zajął miejsce chłopaka, który wyszedł z biura z uczuciem, że każdy, nawet najmniejszy włos na jego ciele i głowie stoi dęba. Bena ogarnęło przerażenie, czuł się tak, jakby wpadł w pułapkę. Po chodniku kręcili się ludzie, wąska ulica pełna była samochodów. Pod platanem, gdzie gruchały radośnie gołębie, stała ławka. Siedziała na niej młoda kobieta. Ben usiadł na drugim końcu ławki. Kobieta zerknęła na niego raz i drugi, zmarszczyła brwi i odeszła.

Po chwili odwróciła się i spojrzała na chłopaka z wyrazem twarzy, który dobrze znał i którego się spodziewał. Nie bała się go, ale Ben wiedział, że za chwilę ogarnie ją strach. Szła coraz szybciej, jakby chciała uciec. Odwróciła się raz jeszcze i weszła do sklepu.

Ben czuł głód. Nie miał pieniędzy. Na ziemi leżały okruszki rozrzucone dla gołębi. Zaczął je zbierać, rozglądając się, czy nikt nie widzi. Zdarzało się nieraz, że ludzie go za to karcili. Na ławce usiadł staruszek; przez chwilę patrzył na Bena, ale nic nie powiedział, chociaż intuicja podpowiadała mu, że coś jest nie w porządku.

Zamknął oczy i wystawił starą twarz do słońca. Pojawiły się na niej krople potu. Ben siedział na ławce, myślał o tym, że musi wrócić do starej kobiety. Wiedział, że będzie rozczarowana. Kazała mu pójść do biura i poprosić o zasiłek dla bezrobotnych. Kiedy Ben myślał o niej, na jego twarzy pojawiał się uśmiech - zupełnie inny uśmiech niż ten, który wytrącił z równowagi urzędnika. Chłopak rozchylił wargi w delikatnym uśmiechu, ponad jego brodą zabłysły zęby. Patrzył, jak stary człowiek budzi się, ociera pot z twarzy i mówi: „Co? Co to takiego?”, tak jakby pot coś mu przypominał. Widząc, że Ben mu się przygląda, zapytał ostrym tonem.

- Z czego się śmiejesz?

Ben wstał z ławki. Zostawił za sobą cień drzewa i towarzystwo gołębi. Przeszedł ulicami jakieś dwie mile; wiedział, że podąża we właściwym kierunku. W końcu znalazł się

blisko budynków mieszkalnych. Skierował się w stronę jednego z nich i wszedł do środka. Winda zjechała na dół, sycząc i podskakując. Ben chciał wejść do środka, ale strach przed windami był silniejszy - zagnał go w stronę schodów. Raz, dwa, trzy... Jedenaście pięter zimnych, szarych stopni, wspinał się, słuchając chrobotu windy za ścianą. Na półpiętrze znajdowały się cztery mieszkania. Chłopak podszedł do drzwi, zza których dolatywał smakowity zapach mięsa. Poczul, że ślina napływa mu do ust. Obrócił klamkę, szarpnął ją i odsunął się, patrząc z nadzieją na drzwi, które po chwili się otworzyły. W progu stała stara kobieta, uśmiechając się.

- Jesteś już, Ben - powiedziała.

Objęła go i wprowadziła do środka. Chłopak wszedł do pokoju i stanął na lekko ugiętych nogach, rzucając niespokojne spojrzenia na boki. Najpierw spojrzał na dużą burą kotkę, która siedziała na poręczy fotela. Jej sierść była najeżona. Staruszka podeszła do kotki i powiedziała:

- Spokojnie, kiciu.

Pogłaskała zwierzę, które pod jej uspokajającymi rękoma przestało się bać i spotulniało. Stara kobieta zwróciła się do chłopaka tym samym spokojnym tonem:

- W porządku, Ben. Usiądź...

Ben odwrócił głowę, ale nie przestał być czujny; od czasu do czasu zerkał na kotkę.

Stara kobieta mieszkała w kawalerce. Na kuchence gazowej stał garnek z gulaszem, którego zapach chłopak poczuł na klatce schodowej.

- W porządku, Ben - powtórzyła i nałożyła mięso do dwóch misek. Położyła kilka kromek chleba obok miski

Bena, swoją miskę ustawiła naprzeciwko, nałożyła trochę gulaszu na spodek kotki i postawiła go na podłodze, obok krzesła. Ale kotka nie zamierzała ryzykować, siedziała nieruchomo na poręczy fotela, nie spuszczając Bena z oczu.

Chłopak usiadł. Miał zamiar wsadzić rękę do miski, ale stara kobieta potrząsnęła głową. Sięgnął po łyżkę i zaczął jeść, uważając na każdy ruch. Jadł powoli, chociaż ścisnął go głód. Stara kobieta jadła mało, uważnie przyglądała się chłopakowi. Kiedy Ben skończył swoją porcję, wyskrobała z garnka resztkę gulaszu i nałożyła do jego miski.

- Nie spodziewałam się ciebie - powiedziała, dając mu do zrozumienia, że ugotowałyby więcej mięsa, gdyby wiedziała, że przyjdzie. - Zjedz chleb.

Ben zjadł mięso i chleb. Poza ciastem nie było nic do jedzenia. Stara kobieta popchnęła talerz z ciastem w kierunku Bena, ale chłopak nawet na nie nie spojrzał.

Teraz nic już nie zajmowało jego uwagi.

- Ben, czy byłeś w urzędzie? - spytała kobieta, powoli wymawiając każde słowo, jakby mówiła do dziecka.

Wy tłumaczyła mu przedtem, jak tam dojść.

- Tak.

- Co ci powiedzieli?

- Spytali, „ile masz lat?”.

Stara kobieta westchnęła, potarła ręką twarz, jakby chciała się pozbyć nieprzyjemnych myśli. Ben powiedział jej, że ma osiemnaście lat. Wierzyła mu. Często to powtarzał.

Ale wiedziała też, że mężczyzna, który siedział naprzeciwko niej, nie wyglądał na osiemnastolatka. Postanowiła o tym nie myśleć. Nie wiem, kim on jest, ale to nie moja sprawa, mówiła sobie. Głęboka woda! Kłopoty! Lepiej o tym nie myśleć!

Ben wyglądał jak pies, który wie, że dostanie burę od właściciela. Rozchylił usta tak, że było widać zęby, na twarzy pojawił się uśmiech, który nauczyła się w końcu właściwie interpretować, uśmiech, który wyrażał strach.

- Ben, musisz pójść do swojej matki i poprosić ją o świadectwo urodzenia. Ona na pewno ma ten dokument.

To ci oszczędzi wielu kłopotów i nieporozumień. Pamiętasz, gdzie ona mieszka?

- Tak.

- Powinieneś tam iść jak najszybciej. Nawet jutro.

Ben wpatrywał się w jej twarz, rejestrując każde drgnięcie powieki, każdy ruch ust, które rozchyliły się w uśmiechu.

Mówiła kategorięcznym tonem. Przekonywała go już wiele razy, żeby odszukał matkę. Chłopak nie chciał. Ale skoro stara kobieta powiedziała, że musi... Czasem trudno mu było ją zrozumieć: z jednej strony traktowała go po przyjacielsku, okazywała mu ciepło i serdeczność, z drugiej strony wymagała od niego, żeby poszedł w miejsce, które kojarzyło się mu z bólem, upokorzeniem i niebezpieczeństwem. Ben wpatrywał się w twarz kobiety, uśmiechniętą twarz, która była dla niego w tym momencie zdumiewającym obliczem świata.

- Widzisz, Ben, dostaję emeryturę, muszę z niej żyć.

Chcę ci pomóc. Jeśli zdobędziesz trochę pieniędzy! jeśli dostaniesz je z urzędu, to nam pomoże. Rozumiesz, Ben?

Tak, rozumiał. Wiedział, co to są pieniądze. Zrozumiał tę gorzką lekcję. Bez pieniędzy nie ma jedzenia.

Stara kobieta prosiła go o drobną przysługę.

- Dobrze - powiedziała. - A więc zrób to.

Podniosła się z krzesła.

- Spójrz. Mam coś dla ciebie. Myślę, że będzie pasować.

Na poręczu krzesła wisiała kurtka, którą stara kobieta znalazła w sklepie z tanią odzieżą. Musiała długo szukać, zanim wpadło jej w ręce coś, co pasowało na jego szerokie ramiona. Kurtka, którą Ben miał na sobie, była dziurawa i brudna.

Zdjął ją. Nowa kurtka dobrze leżała na jego barczystych ramionach, ale była za szeroka w pasie.

- Możesz ją związać paskiem - powiedziała stara kobieta i pokazała mu, jak zawiązać pasek. Miała dla niego także spodnie. - A teraz powinienes się wykapać, Ben.\

Chłopak zdjął posłusznie nową kurtkę i spodnie, nie spuszczając wzroku ze starej kobiety.

- Te spodnie trzeba wyrzucić, Ben - powiedziała i zabrała je. - Kupiłam ci bieliznę i podkoszulki.

Ben stał nago w pokoju i obserwował starą kobietę, która weszła do małej łazienki. Chłopak wciągnął powietrze nosem, poczuł zapach wody. Czekając, badał wszystkie zapachy, które unosiły się w pokoju: ledwo wyczuwalny aromat smacznego gulaszu, ciepły, przyjazny; zapach chleba przypominający zapach człowieka; obrzydliwa, dzika woń kotki, która wciąż go obserwowała; zapach łóżka, w którym sypiała stara kobieta. Przykryte kołdrą poduszki miały swój własny, charakterystyczny zapach. Ben także nasłuchiwał. Winda za ścianą nie wydawała żadnych dźwięków. Z zewnątrz dobiegał głośny szum samolotu, ale

Ben nie bał się samolotów. Już dawno przestał zwracać uwagę na odgłosy ruchu ulicznego, usunął je ze świadomości.

Stara kobieta wróciła.

- Chodź, Ben - powiedziała.

Chłopak poszedł za nią, wszedł do wanny z wodą i kucnął.

- Usiądź.

Ben nie lubił śliskiego dna wanny, ale tym razem siedział spokojnie w wodzie, która sięgała mu do piersi. Zamknął oczy i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Tym razem był to grymas bezradności. Pozwolił, żeby stara kobieta go umyła.

Wiedział, że od czasu do czasu trzeba się myć. Takie były wymagania. Ostatnio kąpiel zaczęła mu nawet sprawiać przyjemność.

Kiedy Ben przestał wpatrywać się w jej twarz, stara kobieta pozwoliła sobie okazać ciekawość, której nie mogła nigdy do końca zaspokoić.

Umięśnione, szerokie plecy Bena, które namydliła oburącz, były pokryte brązowymi

włosami. Kiedy dotykała brązowej, wilgotnej sierści porastającej jego ramiona, miała wrażenie, że myje psa. Ręce Bena były mniej owłosione niż ręce przeciętnego człowieka. Jeśli chodzi o klatkę piersiową, wyglądał jak typowy mężczyzna. Stara kobieta podała Benowi mydło, ale wypuścił je i zaczął ze złością grzebać w wodzie. Kobieta znalazła mydło, namydliła chłopaka obficie i opłukała wodą z małego prysznica.

Ben wyskoczył z wanny, ale kazała mu wejść z powrotem, namydliła mu pośladki, uda i genitalia. Ben nie czuł wstydu, stara kobieta także nie była zakłopotana. Dopiero teraz pozwoliła mu wyjść. Chłopak ze śmiechem wyskoczył z wanny i pozwolił, żeby owinęła go ręcznikiem. Stara kobieta lubiła, kiedy się śmiał; brzmiało to jak szczekanie psa. Kiedyś miała psa, który szczekał w ten sposób.

Starannie wytarła Bena i nagiego zaprowadziła do pokoju.

Kazała mu założyć nowe majtki, nowy podkoszulek, koszulę ze sklepu z tanią odzieżą i spodnie. Kiedy zawiązała mu ręcznik na szyi, Ben szarpnął głową na znak protestu.

- Trzeba to zrobić - powiedziała.

Najpierw przycięła jego sztywną, szczeciniastą brodę, co wyszło jej całkiem nieźle. Z włosami miała większy kłopot, Ben miał tak zmierzwioną czuprynę, że musiała zostawić długie włosy na czubku głowy i po bokach.

Gdyby je podcięła, wyglądałyby na jeszcze bardziej splątane.

Powiedziała Benowi, że dobry, nowoczesny fryzjer ostrzygłby go na gwiazdę filmową; chłopak nie zrozumiał, o co jej chodzi, więc dodała.

- Oni potrafią zmienić wygląd człowieka. Nie poznałbyś siebie.

Ben wyglądał teraz całkiem nieźle i ładnie pachniał.

Był wczesny wieczór, starszka postanowiła zrobić to, co zawsze robiła o tej porze. Wyjęła z lodówki puszkę piwa i nalała alkohol do dwóch szklanek - swojej i Bena.

Powiedziała mu, że mogą pooglądać telewizję - było to ulubione zajęcie chłopaka.

Najpierw jednak znalazła kartkę i napisała:

Pani Ellen Biggs

11 Mimosa House r

Halley Street, Londyn SE60

- Poproś matkę o świadectwo urodzenia - powiedziała.

- Jeśli będzie chciała przesłać je pocztą, powiedz jej, że mieszkasz u mnie i może do ciebie pisać na ten adres.

Ben nic nie powiedział, zmarszczył tylko brwi.

- Rozumiesz?

- Tak.

Nie była pewna, czy Ben rozumiał, ale miała taką nadzieję.

Chłopak patrzył na telewizor. Staruszka wstała, włączyła go i podeszła do kotki.

- Spokojnie, kiciu.

Ale kotka nie odrywała wzroku od Bena.

Tak rozpoczął się przyjemny, leniwy wieczór. Wydawało się, że Benowi jest wszystko jedno, co ogląda. Stara kobieta zmieniała czasem kanał, kiedy miała wrażenie, że Ben się nudzi. Chłopak lubił programy przyrodnicze, ale tego wieczoru nie było żadnego. Stara kobieta poczuła ulgę, czasami Ben za bardzo się ekscytował; wiedziała, że takie programy wywołują w nim dzikie instynkty. Już na samym początku zrozumiała, że chłopak stara się nad sobą zapanować. Biedny Ben, myślała. Współczuła mu, ale w rzeczywistości nie wiedziała, co się w nim dzieje.

Kiedy skończyli oglądać telewizję, stara kobieta rozłożyła na podłodze futon, na którym chłopak sypiał. Obok położyła koc, chociaż Ben prawie nigdy się nie przykrywał.

Kiedy kotka zobaczyła, że jej wróg leży na podłodze, wskoczyła na łóżko i przyłgnęła do pleców starej kobiety.

Nie mogła obserwować stamtąd Bena, ale czuła się bezpiecznie. Stara kobieta zgasiła światło, ale w pokoju i tak było jasno od poświaty księżycowej.

Stara kobieta czekała, aż oddech Bena stanie się regularny. Miała wrażenie, że słucha opowieści o przygodach, o wydarzeniach, które być może zrozumiałaby kotka. Chłopak we śnie uciekał przed wrogami, polował i walczył. Stara kobieta wiedziała, że Ben różni się od innych ludzi. On nie jest taki jak my, mówiła sobie. Może był czymś w rodzaju yeti. Kiedy zobaczyła Bena po raz pierwszy, w supermarkecie, wyglądał tak, jakby poszukiwał łupu - tylko w ten sposób można to określić - wyciągał ręce, aby pochwycić bochenki chleba. Doznała wówczas wrażenia, że ma przed sobą człowieka pierwotnego, scena ta na zawsze została w jej pamięci. Wydawało się, że miotają nim dzikie instynkty: głód i rozpacz. „W porządku, on jest ze mną”, powiedziała wtedy kasjerce i dała Benowi ciasto, które kupiła sobie na lunch. Chłopak zaczął je jeść, kiedy wyprowadzała go z supermarketu. Stara kobieta zabrała go do siebie, nakarmiła i umyła, chociaż wtedy, za pierwszym razem, protestował. Dopiero później zobaczyła, jak Ben reaguje na widok surowego mięsa - było to niepokojące, ale kupowała więcej mięsa, żeby mógł się najeść. Właśnie to odróżniało go od innych ludzi; mógł jeść mięso bez końca. Kobieta była stara, jadła niewiele, często wystarczało jej jabłko, kawałek sera, ciastko albo kanapka. Tego dnia ugotowała gulasz zupełnie przypadkiem - rzadko jadała tę potrawę.

Pewnej nocy stara kobieta obudziła się, poczuła bowiem, że coś przywarło do jej nóg. Ben leżał na łóżku z podkurczonymi nogami, jego głowa spoczywała obok stóp staruszki. Kot zaczął się nerwowo kręcić i to ją obudziło.

Ben spał. Stara kobieta pomyślała, że chłopak wygląda jak pies spragniony czułości, i serce ścisnęło jej się ze wzruszenia, wiedziała, że Ben jest bardzo samotny. Kiedy chłopak obudził się rano, spojrział na nią, zakłopotany.

Wstydził się tego, co zrobił, ale kobieta powiedziała:

- Nic nie szkodzi, Ben. Na łóżku jest dużo miejsca.

To było ogromne łóżko, kiedyś sypiała na nim z mężem.

Ben przypominał jej inteligentnego psa, który zawsze stara się przewidzieć, czego zażąda pan. Nie przypominał jej kota - koty miały inny rodzaj wrażliwości. Nie przypominał także małpy - był powolny i ociężały. Nigdy nie widziała podobnej istoty. Był po prostu Benem, był sobą - cokolwiek to znaczyło. Staruszka cieszyła się, że chłopak pojedzie odszukać swoich bliskich. Ben niewiele mówił, ale z tego, co zrozumiała, pochodził z zamożnej rodziny.

Akcent Bena nie pasował do jego wyglądu. Kobiecie wydawało się, że chłopak lubi swoją matkę. Skoro matka mogła okazać dobroć Benowi, to i jego rodzina może to zrobić, tak myślała Ellen Biggs. Postanowiła, że jeśli jednak stanie się inaczej i Ben wróci, pójdzie z nim do Urzędu

Stanu Cywilnego i zapyta o jego wiek. To wszystko było dla niej zagadką, nie próbowała jednak układać tych puzzli. Ben powtarzał, że ma osiemnaście lat, a ona mu wierzyła. Pod pewnymi względami był dziecinny, ale kiedy patrzyła na jego twarz, widziała mężczyznę w średnim wieku. Chłopak miał zmarszczki wokół oczu. Nie były to głębokie zmarszczki, ale przeciętny osiemnastolatek tak nie wyglądał. Stara kobieta zaczęła się nawet zastanawiać, czy krewni Bena, kimkolwiek byli, starzeli się szybko, a więc czy według ludzkich standardów umierali młodo.

Być może w wieku lat dwudziestu wyglądali jak ludzie w średnim wieku, po czterdziestce zaś zamieniali się w staruszków. Ellen Biggs miała osiemdziesiąt lat i starość zaczynała jej doskwierać. Na myśl o tym, że będzie musiała stać w kolejce w Urzędzie Stanu Cywilnego, czuła irytację i zmęczenie. Zasnęła, słuchając, jak Ben majaczy przez sen, a kiedy się obudziła, chłopaka nie było. Kartka z jej adresem i banknot dziesięciofuntowy, który mu zostawiła, znikły. Mimo że stara kobieta spodziewała się tego, usiadła i przycisnęła rękę do bijącego niespokojnie serca. Odkąd Ben pojawił się w jej życiu, kilka tygodni wcześniej, lękała się nieustannie, że wydarzy się coś złego. Kiedy zostawała sama, myślała: Gdzie jest

Ben? Co teraz robi? Czy znowu ktoś go oszukał? Chłopak tyle razy jej mówił: „Zabrali mi pieniądze”, „Ukradli wszystko”. Niestety, trudno było uzyskać od niego konkretną informację.

- Kiedy to było, Ben?

- Było lato.

- Którego roku?

- Nie wiem. Po tym, jak mieszkałem na farmie.

- Kiedy mieszkałeś na farmie?

- Spędziłem tam dwie zimy.

Stara kobieta wiedziała, że Ben opuścił rodzinę, kiedy miał czternaście lat. Co robił przez cztery lata?

Jego matka myliła się, sądząc, że Ben od razu wyjechał z miasta. Ben i koledzy z gangu zamieszkali w pustym domu na przedmieściach; kradli, włamywali się nocą do sklepów, a w weekendy jeździli do pobliskich miasteczek, gdzie włączyli się po ulicach z miejscowymi nastolatkami, w nadziei, że dojdzie do bójki albo że będą mogli się zabawić. Wybrali Bena na przywódcę, ponieważ był silny i potrafił ich obronić. W rzeczywistości chodziło o to, że chłopak był dojrzały od kolegów, był dla nich jak ojciec.

Policja łapała członków gangu jednego po drugim. Chłopcy łądowali w zakładzie karnym dla młodocianych przestępców albo wracali do domów i szkół. Któregoś wieczoru Ben stał niedaleko tłumy walczących nastolatków - sam nie walczył, bał się swojej siły i wściekłości - i nagle zdał sobie sprawę, że jest sam, bez kolegów. Przez pewien czas należał do gangu dużo starszych chłopaków, ale nie udało mu się ich zdominować tak, jak młodszych kolegów.

Członkowie tego gangu kazali mu kraść, szydzili z niego i wyśmiewali się z jego eleganckiego akcentu. Ben odszedł, wyjechał do West Country i przyłączył się do grupy nastolatków jeżdżących na motorach, którzy prowadzili wojnę z innym gangiem. Ben marzył o tym, żeby jeździć na motorze, ale nie był w stanie opanować podstawowych zasad. Cieszył się, że może być blisko tych pojazdów, tak bardzo je uwielbiał. Kiedy członkowie gangu szli do pubu albo kawiarni, chłopak pilnował motorów. Dawali mu jedzenie i czasem niewielkie sumy pieniędzy. Pewnej nocy członkowie wrogiego gangu zaskoczyli Bena, kiedy pilnował sześciu motorów. Pobili chłopaka, dwunastu na jednego, i zalanego krwią zostawili na ulicy. Kiedy koledzy Bena wrócili i zorientowali się, że kilka maszyn zniknęło, chcieli pobić Bena, ale ten powolny głupek zamienił się w groźnego, wrzeszczącego szaleńca. O mało nie zabił jednego z nich. Rzucili się na niego wszyscy, nie połamali mu kości, ale chłopak był cały we

krwi i czuł się strasznie. Dziewczyna, która pracowała w pubie, zabrała go do środka. Umyła Bena, posadziła przy stoliku w kącie i dała mu jedzenie. Dzięki niej doszedł do siebie. Uspokoił się, może był nieco oszołomiony.

Po pewnym czasie podszedł do niego mężczyzna, usiadł i spytał, czy Ben szuka pracy. W ten sposób chłopak trafił na farmę. Zgodził się pójść z Mateuszem Grindlym, ponieważ wiedział, że jeśli członkowie któregoś z gangów zobaczą go na ulicy, zwołają swoich kolegów i go pobiją.

Na farmę, leżącą z dala od głównej drogi, prowadziła zarośnięta, błotnista ścieżka. Gospodarstwo było zaniedbane, niektóre pokoje w dużym domu zostały zamknięte, ponieważ dach paskudnie przeciekał. Dwadzieścia lat wcześniej Maria Grindly, Mateusz Grindly i Ted Grindly odziedziczyli farmę po ojcu, który nie zostawił im żadnych pieniędzy. Właściwie byli samowystarczalni - hodowali zwierzęta, sadzili drzewka owocowe, uprawiali ogród warzywny. Bydło karmili naturalną paszą z tego, co zostało z pól - sprzedawali ziemię kawałek po kawałku farmerom z sąsiedztwa. Raz w miesiącu Maria i Mateusz - a teraz

Maria i Ben, który pełnił obowiązki Mateusza - szli na piechotę do oddalonego o trzy mile miasta, gdzie kupowali jedzenie i alkohol dla Teda. Musieli chodzić pieszo, ponieważ samochód Grindlych rdzewiał na podwórku.

Kiedy potrzebowali pieniędzy na jedzenie i rachunki, Maria wołała Mateusza i mówiła: „Zabierz tę bestię na targ i sprzedaj jak najdrożej”. Nie płacili rachunków całymi miesiącami albo wcale.

Wszyscy omijali z daleka ten okropny zakątek: miejscowi wstydzili się za Grindlych i jednocześnie im współczuli.

Wszyscy wiedzieli, że „chłopcom”, którzy już się zestarzelili, nie było daleko do upośledzonych umysłowo; byli analfabetami. Maria miała kiedyś nadzieję, że wyjdzie za mąż, ale nic z tego nie wyszło. To ona zarządzała gospodarstwem. Wydawała braciom polecenia: trzeba naprawić ogrodzenie, wyczyścić oborę, ostrzyć owce, posadzić warzywa... Całe dni spędzała z nimi, stała się przez to zgorzkniała. Mateusz wykonywał całą ciężką pracę, Ted zapijał się powoli na śmierć w swoim pokoju. Nie wadził nikomu, ale nie był w stanie pracować. Mateusz miał artretyzm i problemy z oddychaniem, coraz ciężiej mu było podobać obowiązkom. Karmił kurczaki i doglądał warzyw, to wszystko.

Ben dostał pokój pełen zniszczonych mebli, różniący się bardzo od przyjemnego pokoju, w którym mieszkał jako dziecko. Mógł jeść, ile dusza zapagnie. Pracował codziennie od świtu do zmierzchu. Zdawał sobie sprawę, że wykonuje najcięższą pracę, ale nie wiedział, że bez niego farma przestałaby istnieć. Wiadomo było, że gospodarstwo upadnie, kiedy

Komisja Europejska wprowadzi w życie swoje wymogi i będzie nieustannie śledzić rolników.

Żyzna ziemia na farmie marnowała się, ludzie uważali, że to skandal. Od czasu do czasu na ścieżce i podwórku pojawiali się obcy, którzy chcieli kupić gospodarstwo - telefon wyłączono, ponieważ właściciele nie płacili rachunków - staruszka Maria stawała w progu z groźną miną i zamykała intruzom drzwi przed nosem.

Właściciele okolicznych gospodarstw w sposób dwuznaczny mówili o rodzinie Grindly, ale bronili sąsiadów przed urzędnikami i ciekawskimi. Jeśli rodzina Grindly straci farmę, to co się stanie z nieszczęsnymi, opuszczonymi braćmi, Tedem i Mateuszem? Na pewno wylądują w przytułku. A Maria? Nie można krzywdzić tych biedaków. Pracuje u nich taki jeden, nie wiadomo, skąd się wziął, wygląda jak yeti, ale pracuje jak wół.

Pewnego razu, kiedy Ben pojechał z Marią do miasteczka, żeby pomóc jej w zakupach, zaczął go obcy mężczyzna.

- Podobno pracujesz dla rodziny Grindly - powiedział Traktują cię dobrze?

- Czego pan chce? - spytał Ben.

- Ile ci płacą? Pewnie niewiele. Jeśli zgodzisz się pracować dla mnie, nie będziesz tego żałował. Nazywam się Tom Wandsworth. - Powtórzył dwukrotnie swoje imię i nazwisko. - Jeśli spytasz o moją farmę, każdy wskaże ci drogę. Przemyśl to.

- Czego on chciał? - spytała Maria, a chłopak powiedział jej o propozycji mężczyzny.

Ben nigdy nie dostał książeczki, w której zapisywano by, ile zarabiał, gospodarze nie omówili z nim warunków pracy. Kiedy przyjeżdżali do miasteczka, Maria dawała mu kilka funtów, żeby mógł sobie kupić pastę do zębów i inne drobiazgi. Fakt, że Ben dbał o siebie i chodził w czystych ubraniach, robił duże wrażenie na staruszce.

- Pieniądze, które zarobiłeś, są w bezpiecznym miejscu

Ben - zapewniła go Maria. - Wiesz o tym.

Skąd miał wiedzieć? Nigdy wcześniej tego mu nie mówiła.

Maria była przekonana, że chłopak jest opóźniony w rozwoju, tak jak jej bracia, ale teraz poczuła, że mogą być kłopoty.

- Nie opuszczaj nas, Ben - powiedziała. - U innych ludzi będzie ci gorzej. Schowałam twoje pieniądze. Mogę ci je dać w każdej chwili.

Wskazała na górną szufladę szafy. Przyniosła Benowi krzesło i przytrzymała je, kiedy chłopak na nie wchodził.

W szufladzie leżały pliki banknotów. Ben nigdy nie widział tylu pieniędzy naraz.

- To moje pieniądze? - spytał.

- Połowa należy do ciebie.

Kiedy chłopak wyszedł z pokoju, staruszka schowała banknoty w innym miejscu.

Ben nie chciał opuszczać farmy ze względu na Marię.

Był przywiązany do krowy i swawolnych świń, ale Maria okazała mu najwięcej dobroci. Prasowała mu ubrania, kupiła gruby sweter na zimę, dawała mu tyle mięsa, ile chciał. Krzyczała na swoich braci, ale na Bena nigdy nie podniosła głosu.

Nikt nie wiedział o nocnych wyprawach chłopaka.

Maria i jej bracia chodzili wcześniej spać, nie mieli wieczorem nic do roboty, w domu nie było telewizji. Ted upijał się i najpóźniej o dwudziestej drugiej leżał w łóżku, chrapiąc.

Mary słuchała wiadomości, a potem szła do swojego pokoju.

Kiedy w domu robiło się cicho, Ben otwierał okno i przeskakiwał przez parapet. Godzinami włóczył się po polach i lesie - samotny i wolny. Czasem zjadał upolowane zwierzątko albo ptaka. Chował się wśród krzaków i obserwował igraszki małych lisków. Siadał, opierając się plecami o pień drzewa, i słuchał pohukiwania sowy albo stawał przy krowie, obejmował rękami jej szyję i przytulał twarz do sierści zwierzęcia; biło od niej ciepło. Kiedy zwierzę odwracało łeb, żeby powąchać Bena, chłopak czuł słodki, gorący oddech na rękach i nogach. Wiedział, że krowa go lubi, czuł się przy niej bezpiecznie. Czasem wdrapywał się na słupek ogrodzenia i patrzył w niebo.

Kiedy nie było chmur, śpiewał krótkie piosenki do gwiazd albo tańczył, podnosząc stopy i tupiąc. Któregoś wieczoru stara Maria usłyszała niepokojący hałas, podeszła do okna i zobaczyła sylwetkę Bena. Poczula lodowate dreszcze i włosy zjeżyły jej się na głowie. Ale doszła do wniosku, że Ben ma prawo spędzać wolny czas tak, jak chce. To on karmił zwierzęta, doił krowy i czyścił chlew.

Chłopak zaintrygował Marię Grindly, ale postanowiła zostawić go w spokoju. Miała zbyt wiele własnych kłopotów, żeby jeszcze przejmować się innymi ludźmi.

Dziękowała Bogu za to, że zesłał im Bena.

Któregoś dnia pijany Ted spadł ze schodów i zginął na miejscu. Wszyscy byli pewni, że następny w kolejności będzie kaszlący kaleka - Mateusz, ale to Maria zmarła na zawał serca. Posiadłością zainteresowali się urzędnicy.

Jeden z nich chciał zobaczyć księgi rachunkowe i zadawał

Benowi różne pytania. Chłopak zamierzał powiedzieć urzędnikowi, że Maria była mu winna pieniądze, ale przestraszył się i uciekł.

Zbierał jabłka na farmie, gdzie produkowano jabłecznik, później zaś zbierał maliny. Oprócz Bena na farmie pracowali Polacy, głównie studenci, których przysłał tam pośrednik pracy. Ci młodzi, weseli ludzie bawili się dobrze, pomimo długiego dnia pracy. Chłopak

obserwował ich w milczeniu, miał się na baczności. Jego współpracownicy spali w przyczepach, ale Bena drażniła atmosfera wzajemnej bliskości. Poza tym nie lubił zapachu stęchlizny, który unosił się w środku. Jadł ze studentami kolację, słuchał ich piosenek, żartów i śmiechu, a potem szedł ze śpiworem do lasu.

Kiedy zbiory się skończyły, Ben miał zaoszczędzoną sporą sumę pieniędzy. Był szczęśliwy, wiedział, że bez pieniędzy nie poradzi sobie. Kiedy chłopak spał, jeden ze studentów, którzy tak lubili śpiewać i żartować, ukradł jego oszczędności z kurtki wiszącej na krzaku. Ben wrócił na farmę rodziny Grindly, pamiętał, że Maria pokazała mu pieniądze leżące w szufladzie i powiedziała, że połowa należy do niego. Ale dom był zamknięty, zwierzęta zniknęły, wszędzie rosły pokrzywy. Ben nie przepadał za Mateuszem, który prawie nigdy się do niego nie odzywał. Kiedy umarł pies, Mateusz powiedział złośliwie: „Nie potrzebujemy następnego psa. Mamy Bena”.

Chłopak wrócił do domu, ale okazało się, że matka znowu się przeprowadziła. Musiał użyć całego swojego sprytu, żeby zdobyć jej nowy adres. Kiedy dotarł na miejsce, ujrzał dom, który w niczym nie przypominał jego domu z dzieciństwa. Ben nie wszedł do środka, ponieważ zobaczył Pawła i poczuł, że nadchodzi jego wróg - wściekłość.

Wrócił do Londynu drogą, którą dobrze znał. Miał nadzieję, że w tym bogatym mieście znajdzie się dla niego miejsce. Dostał pracę, ale znowu go oszukano.

Kiedy Ellen Biggs znalazła Bena w supermarkecie, chłopak przymierał głodem.

Na ciemnym chodniku przed Mimosa House nie było nikogo, ale Ben bał się cieni, które wydłużały się o zmroku.

Skręcił i omal nie zderzył się z pijakiem, stojącym za rogiem. Mężczyzna chwiał się, klnąc i mrucząc do siebie.

Ben minął go i biegł pustymi ulicami, nie przejmując się światłami na przejściach. Dopiero kiedy dotarł do Richmond, zaczął uważać, mówił do siebie: zielone - przejść, czerwone - zatrzymać się. Na ulicach było dużo ludzi.

Szedł dalej, ufając intuicji, która jednak zawodziła go, kiedy patrzył na plan. Dotarł do głównej ulicy i poczuł głód. Wszedł do kawiarni, gdzie widniał szyld: „Śniadanie przez cały dzień” i zaczął uważnie się przyglądać twarzom klientów, sprawdzając, czy patrzą na niego ze zdziwieniem, które mogło oznaczać wrogość. Zawsze zachowywał się w ten sposób w nowym miejscu. Ale było zbyt wcześnie, żeby ludzie zwrócili na niego uwagę. Jadł śniadanie powoli, uważając na każdy ruch, opuścił kawiarnię zadowolony z siebie. Ponownie rozpoczął wędrówkę i po południu znalazł się na polu zalanym ciepłym światłem słonecznym.

Wkrótce potem dotarł do lasu. W zeszlorocznych liściach skakała samica drozda. Ben

złapał ją z łatwością, obdarł z piór i zjadł łapczywie. Po chwili zjawił się samiec. Dwa ptaki i ich gorąca krew wzmogły jedynie pragnienie, które Ben czuł nieustannie. Wstał i ruszył przed siebie szybkim krokiem. Nie chciał biec - bał się, że zwróci na siebie uwagę. Na stacji benzynowej kupił butelkę wody, wyszedł ze sklepu i zobaczył młodego mężczyznę, który na krawężniku postawił motor. Ben podszedł do niego.

Uwielbiał duże, błyszczące pojazdy. Stał, a na jego twarzy jaśniał uśmiech. Właściciel motoru spojrział nieufnie na dziwnego brodatego mężczyznę, ale po chwili rozpoznał w nim bratnią duszę, kogoś, kto podobnie jak on uwielbia motory.

- Popilnuj go chwilę - powiedział i wszedł do sklepu.

Kiedy wrócił, Ben gładził ręką ramę motoru; miał taki wyraz twarzy, że mężczyzna, który zazwyczaj nikomu nie pozwalał dotykać swojej maszyny, powiedział:

- No dobra, wskakuj.

Ben usiadł z tyłu i ruszyli.

- Dokąd jedziesz?

- W tę stronę - zawołał Ben, próbując przekrzyczeć wiatr.

Wielka maszyna mknęła wśród innych pojazdów, rycząc i warcząc. Z ust Bena także dobywały się ryki przypominające tryumfalną pieśń. Mężczyźnie spodobał się entuzjizm

Bena, roześmiał się i też zaczął krzyczeć. Potem zaśpiewał piosenkę. Ben nie znał jej, ale śpiewał razem z nim.

Wjechali do małego miasteczka. Motor skręcił gwałtownie w lewo. Zostawili za sobą ulicę i znaleźli się we wsi.

- Chcę zejść! - krzyknął Ben. - Jedziemy w złą stronę!

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś? - zawołał mężczyzna i wykonał niebezpieczny obrót przed samochodami osobowymi i ciężarówkami. Pomknęli z powrotem do centrum miasteczka.

- Tu? - spytał mężczyzna.

- Tak - zawołał Ben.

Po chwili stał na chodniku w centrum i patrzył za oddalającym się motorem. Na pożegnanie mężczyzna pokazał mu podniesiony kciuk.

Ben odwrócił się i ruszył przed siebie, myśląc o motorze, na jego zarośniętej twarzy malowało się zadowolenie.

Uśmiechnął się, pokazując białe zęby. Przejechał spory kawałek drogi. Wiedział, że dotrze na miejsce kilka godzin wcześniej, niż zamierzał. Wczesnym popołudniem znalazł się na drodze, którą dobrze znał, i wkrótce jego oczom ukazał się wielki, wspaniały dom z

ogrodem... Ben patrzył na zakratowane okna i czuł, jak ogarnia go zimna furia.

Kraty zamontowano z jego powodu. Kiedyś stał przy oknie, próbując wyrwać je swoimi silnymi dłońmi, ale nie udało mu się. W miejscach, gdzie kraty przywierały do ściany, odpadło trochę farby; był zbyt słaby, żeby je wyrwać. Jego gniew był słabszy od wewnętrznej potrzeby, która popchnęła go w stronę domu. Chciał zobaczyć matkę. Kiedy zaopiekowała się nim staruszka, Ben uświadomił sobie, że matka także traktowała go dobrze: nigdy go nie zraniła. To ona zabrała go z tamtego miejsca...

Frontowe drzwi otworzyły się i na zewnątrz wybiegły dzieci. Ben ich nie znał. Pewnie się przeprowadzili, pomyślał. Zrozumiał, że nie znajdzie tu matki. Odwrócił się i zostawił za sobą dom, swój dom; zaczął krążyć ulicami, jak pies, który szuka znajomych zapachów. W rzeczywistości szukał czegoś innego. Widział już dom, do którego przeprowadziła się jego rodzina. Ale... zaraz, był przecież jeszcze inny dom, którego adres matka napisała mu kiedyś na dużej kartce. Postanowił go znaleźć, chociaż nie miał pewności, czy to dobry pomysł. Nigdy tam nie był. Wiedział, że nie znajdzie tego miejsca, w jego umyśle brakowało wspomnień ulic, zapachów, krzaków przy ogrodzeniu.

Co teraz? Ogarnęła go desperacja, serce ścisnęło mu się z bólu, miał ochotę krzyknąć. Nagle przypomniał sobie o parku. Ona tam będzie, pomyślał. Poszedł do małego parku, gdzie jako mały chłopiec bawił się z braćmi i siostrami. A raczej - stał z boku, przyglądając się rodzeństwu, bo bracia i siostry narzekali, że Ben jest zbyt brutalny. Bawił się sam albo z matką.

Pamiętał ławkę, na której siadali. Jego matka uwielbiała park i małą ławkę, spędzała na niej czasem całe popołudnie.

Ale ławka była pusta. Ben wiedział, że jeśli będzie się kręcił po parku zbyt długo, ludzie zwrócą na niego uwagę.

Chodził alejkami, dopóki czuł się bezpiecznie, sprawdzając, czy nikt nie patrzy na niego w... dziwny sposób. Potem usiadł w miejscu, skąd mógł obserwować ławkę matki i pograżył się w oczekiwaniu. Po pewnym czasie poczuł głód. Opuścił park i zaczął szukać małej kawiarni, do której chodził ze swoimi kolegami, kiedy był szefem gangu.

Ale kawiarnia została zlikwidowana. Kupił kanapkę z automatu i wrócił do parku. Ujrzał matkę siedzącą na ławce z książką w ręku. Jej długi cień rozciągał się na trawie, sięgał niemal stóp Bena. Chłopak powtarzał sobie w myślach wszystkie rzeczy, o które chciał ją spytać. Miał zamiar dowiedzieć się o swój dokładny wiek, zapisać nowy adres matki i poprosić ją o świadectwo urodzenia.

Poczuł szczęście, jakby dotknęły go ciepłe promienie słońca. Już miał do niej podejść

i zadawać pytania, kiedy na trawniku, obok ławki pojawił się Paweł - brat, którego Ben nienawidził. Kiedy był dzieckiem, Ben spędził wiele godzin, zastanawiając się, jak zabić Pawła. Jego brat był wysoki i chudy, miał długie ręce i kościste dłonie. Ben pamiętał dobrze jego wielkie bladoniebieskie oczy. Paweł uśmiechnął się do matki, która poklepała puste miejsce obok siebie. Kiedy jej syn usiadł, wzięła go za rękę. Bena ogarnęła wściekłość, zrobiło mu się ciemno przed oczami i zaczął dygotać. Chciał się rzucić na brata, powalić go na ziemię i... To jedno wiedział na pewno, pamiętał o wszystkich strasznych rzeczach... Niektóre uczucia były zabronione. Nie powinien zbliżać się do matki i Pawła, dopóki targają nim wściekłość i nienawiść. Ale jego gniew narastał z każdą minutą, trudno mu było oddychać, przed oczami migotały czerwone cętki. Patrzył, jak matka i brat - ten oszust i prześladowca, który zawsze stawał między nim a matką, odchodzą. Ben ruszył za nimi. Teraz zależało mu tylko na tym, żeby go nie zobaczyli, wkrótce zapomniał o gniewie. Miał ochotę przykucnąć za krzakiem, ale przypomniał sobie, że jest w parku, a nie w lesie. Wyprostował się i szedł powoli, nie spuszczać z oczu matki i brata. Wkrótce zobaczył dom z ogrodem większy niż dom, w którym jego rodzina mieszkała niegdyś. Widział, jak matka i Paweł wchodzą do ogrodu przez furtkę, zatraskują ją i znikają we wnętrzu domu.

Ben zaczął się zastanawiać, co to wszystko znaczy.

Kiedy jego matka miała zamiar przeprowadzić się do mniejszego domu, powiedziała mu: „Starczy miejsca dla mnie i dla Pawła”. Ben odczytał ukryty sens jej słów: „Nie ma tam miejsca dla ciebie”. Jeśli matka przeprowadziła się po raz kolejny do większego domu, to czy inni też tam mieszkali? A może mieszkała tam tylko część rodziny?

Ben wiedział, że jego bracia i siostry byli teraz dorośli.

Pamiętał dom, gdzie się wychowywał, było w nim mnóstwo dzieci i dorosłych. W obecnym domu matki nie mogło być miejsca dla tylu osób... Ben chciał się uspokoić i pozbyć wrogich uczuć: spacerował się po ulicy, wrócił, znowu ruszył przed siebie. Po pewnym czasie stanął przed nowym domem matki; jego obca fasada przypominała nieprzyjemną twarz. Nagle zobaczył ojca, który szedł z naprzeciwka.

Nie zauważył syna, ponieważ miał spuszczoną głowę, zamyślony. Ben wiedział, że nie powinien dłużej kręcić się po tej okolicy i postanowił odejść. Ludzie byli czujni, siedzieli w czterech ścianach, za zamkniętymi oknami, ale nieustannie obserwowali, ich oczy były wszędzie.

Chłopak znowu przeszedł się ulicą i tym razem zobaczył, jak do domu wchodzi Łukasz, trzymając za rękę małe dziecko. Łukasz - ojcem, Benowi nie mieściło się to w głowie. Myślał o tym, że w domu jest jego rodzina - wszyscy razem. Jak by zareagowali,

gdyby wszedł do środka i powiedział: „Wróciłem”. Wiedział, że był powodem konfliktów, to przez niego rodzina się podzieliła. Jedyne matka stała w jego obronie. Zabrała Bena z tego miejsca, gdzie polewano go strumieniami lodowatej wody i przywiozła do domu... Inni nie chcieli, żeby wrócił, życzyli mu śmierci.

Zapadał zmrok, latarnie jeszcze się nie paliły. Nadeszła przyjazna noc. O tej porze obcy stojący na chodniku przed domem na pewno zwróciłby na siebie uwagę. Ben minął dom, którego oświetlone okna wydawały się zapraszać go do środka: „Wejdz”, ale po chwili zawrócił.

Usłyszał odgłosy telewizji. Mógłby wejść do środka i obejrzeć z rodziną film. Dobrze wiedział, że Paweł krzyknąłby, że nie chce przebywać z nim w jednym pomieszczeniu. Zobaczył zimną twarz ojca, który nigdy nie patrzył mu w oczy. A gdyby tak wszedł do domu i powiedział do matki: „Proszę, daj mi moje świadectwo urodzenia. Wezmę je i odejdę”. Znowu ogarnął go gniew, wciąż miał przed oczami twarz Pawła, który tak bardzo go nienawidził. Poczł, jak sztywnieją mu palce, miał ochotę zacisnąć je wokół chudej szyi brata i połamać mu kości...

Ben oddalił się od domu i zostawił na zawsze swoją rodzinę, jego ból był silniejszy niż gniew. Stróżka śliny spłynęła mu na brodę, znowu poczuł silny głód. Musi uważać: ludzie zachowywali się w nocy inaczej niż w ciągu dnia. Lepiej nie siadać przy stoliku w kawiarni... Poszedł do McDonalda, kupił tłusty, soczysty kawałek mięsa, wyrzucił sałatkę i bułkę i szedł, łapczywie jedząc. Wkrótce zostawił za sobą miasteczko, chciał wrócić do Londynu, do starej kobiety. Zostały mu cztery funty i nie spodziewał się, że znowu ktoś go podwiezie na motocyklu. Ogarnął go smutek, czuł się samotny, ale noc była jego domem.

Kiedy robiło się ciemno, mógł zachowywać się swobodnie, ludzie nie patrzyli na niego z wrogością - chyba że przebywał z nimi w jednym pomieszczeniu. Znalazł się na polnej drodze, w górze rozpościerało się łagodnie zamglone niebo, między gwiazdami płynęły podłużne chmury. W pobliżu nie było lasu, ale obok drogi rosło kilka drzew. Ben znalazł krzaki, położył się w nich i zasnął.

Obudził go jeź, który węszył i sapał obok jego stóp.

W pierwszej chwili chłopak chciał złapać zwierzaka, ale zrezygnował z tego pomysłu: poraniłby sobie ręce i język - jeża nie dawało się pogryźć tak łatwo jak ptaka. Poczł chłodny powiew świtu. Nie słyszał śpiewu ptaków: w pobliżu rosło jedynie kilka drzew, niedaleko zaczynały się domy, dobiegały go odgłosy ruchu ulicznego. Ben przypuszczał, że dotrze do swojej dzielnicy w Londynie około południa. Będzie musiał iść całymi godzinami, ostrożnie, uważając na każdy ruch. A brzuch... Och, jakże burczało mu w brzuchu. Człł ból, przerażał

go narastający głód. Nie był to zwyczajny głód, który można zaspokoić, zjadając kawałek chleba czy bułkę. Chłopak potrzebował mięsa, marzył o zapachu świeżej, cuchnącej krwi. Wiedział, że głód jest dla niego niebezpieczny. Czasem zapach przyciągał Bena do sklepu mięsnego, głód rozsadzał wtedy ciało chłopaka, jego ręce mimowolnie wyciągały się w stronę mięsa. Któregoś razu Ben chwycił garść podgardli wieprzowych i wgryzł się w mięso. Rzeźnik stał tyłem do niego, ale zaniepokojony odgłosem chrupania, odwrócił się gwałtownie. Ben zdążył już wybiec ze sklepu i pędził przed siebie jak oszalały. Po tym wydarzeniu trzymał się z dala od sklepów mięsnych. Teraz zaś zastanawiał się, w jaki sposób zdobyć kawałek mięsa bez konieczności wydawania czterech funtów.

Miał wrażenie, że nogi same go prowadzą. Po pewnym czasie zatrzymał się przy ogrodzeniu z drutem kolczastym, za którym znajdował się budynek. Na wilgotnej ziemi stały maszyny, między nimi krążyli mężczyźni w kaskach.

Ben pracował tu niegdyś przez kilka dni. Zatrudniono go, ponieważ sam był w stanie nosić belki i dyszle, które zwykle dźwigało dwóch albo trzech mężczyzn. Robotnicy patrzyli, jak chłopak napinał mięśnie i podnosił ciężary.

Ben chciał się z nimi poznać, pożartować i porozmawiać, ale nie wiedział, jak to zrobić. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego inni wyśmiewali się ze sposobu, w jaki mówił.

Kiedy robotnicy patrzyli na niego, w ich oczach widział powagę i strach. Pod koniec tygodnia była wypłata. Wszyscy robotnicy pracowali nielegalnie z takiego czy innego powodu i dostawali mniej niż połowę stawki wynegocjowanej przez Związki Zawodowe. Ale Ben zarobił tyle pieniędzy, że mógł je zawieźć starej kobiecie - byłaby z niego dumna. Minęły kolejne dwa tygodnie... Na budowie pojawił się nowy robotnik i od razu przyczepił się do Bena, wyśmiewał się z niego, chrząkał i warczał. Z początku Ben nie rozumiał, że stał się przedmiotem kpin. Żartowniś szturchał go i popychał. Któregoś razu, kiedy Ben stał na rusztowaniu, wysoko nad ziemią, chłopak dał mu kuksańca, tak że Ben zjechał kilka belek w dół. Kierownik budowy zainterweniował, ale od tamtej chwili Ben nie spuszczał oka z rubasznego, gwałtownego rudzielca, lubiącego popisywać się przed wszystkimi, i starał się schodzić mu z drogi. Minął kolejny tydzień. Pieniądze wypłacano w niewielkim baraku, gdzie robotnicy odpoczywali, albo chronili się, kiedy deszcz był zbyt silny. Ben stał razem z młodym chłopakiem na końcu kolejki. Jego wróg wszystko wcześniej zaplanował - kiedy wręczono Benowi kopertę z wypłatą, młokos chwycił ją i uciekł, zaczął biegać w kółko, drapiąc się i chrząkając. Ben wiedział, że rudzielec naśladuje małpę. Był kiedyś w zoo i oglądał zamknięte w klatkach zwierzęta, których nazwami obdarzano go później: małpę, pawiana, świnię, orangutana, yeti. W zoo nie było yeti ani orangutana, ale chłopak myślał

czasem o tych zwierzętach i wyobrażał sobie, że są do niego podobne.

Ben spojrzał bezradnie na kierownika budowy, mając nadzieję, że mężczyzna stanie w jego obronie, ale zobaczył jedynie uśmiech, który dobrze znał. Inni uśmiechali się w ten sam sposób, w ten sam sposób patrzyli na Bena.

Zrozumiał, że mu nie pomogą. Przepracował cały tydzień na marne. Poczuł, że wzbiera w nim morderczy instynkt i postanowił jak najszybciej się oddalić. Kierownik budowy krzyknął za nim:

- Jeśli zjawisz się w poniedziałek, będzie coś dla ciebie.

Chodziło mu o pracę, nie o pieniądze. Dzięki potężnym ramionom Bena inni robotnicy mieli lżej. Wrócił w poniedziałek. Stał przy ogrodzeniu i oparł na nim ręce, jak więzień zamknięty w klatce. Zobaczył robotników, z którymi wcześniej pracował, ale rudzielca nie było nigdzie.

Bał się wrócić po tym, jak zabrał pieniądze Bena. W czasie tego tygodnia chłopak pracował powoli i ostrożnie, obserwując twarze robotników i sprawdzając, w jaki sposób na niego patrzą. Starał się schodzić im z drogi i dźwigał ciężary, których nie daliby rady podnieść. Po tygodniu odebrał kopertę, ale była tam tylko połowa należnych pieniędzy. Ben zdawał sobie sprawę, że robotnicy pracujący nielegalnie otrzymują o połowę niższe wynagrodzenie niż ci, których zatrudniano legalnie, ale teraz dostał jedną czwartą obowiązującej stawki. Kierownik spojrzał na Bena, dając mu do zrozumienia, żeby sobie poszedł. Właściwie ten człowiek nie był kierownikiem, a tylko zastępował kierownika, który zachorował. Pojawił się w firmie dwa dni wcześniej. Robotnicy stali dokoła, obserwując ich z nieruchomymi twarzami. Byli pewni, że chłopak zażąda wyjaśnień, narobi zamieszania, a nawet sprowokuje bójkę. Nie spuszczała oka z jego wielkich rąk zaciśniętych w pięści. Ale Ben wiedział, że nie warto się awanturować: nic by w ten sposób nie zyskał. Przyjrzał się uważnie twarzom robotników, którzy wydawali się na coś czekać; jeden z nich wyglądał tak, jakby mu współczuł. Ów człowiek powiedział coś szeptem nowemu kierownikowi, który odwrócił się i odszedł - z pieniędzmi Bena w kieszeni. Ben został oszukany na czterdzieści funtów.

Nagle chłopak zobaczył prawdziwego kierownika. Stał obok mężczyzn, którzy odwijali kabel z wielkiej szpuli.

Mężczyźni zauważyli Bena i zastygli w bezruchu. Ten, który wstawił się za Benem, powiedział coś do kierownika.

Ben chciał tylko zabrać swoje pieniądze i odejść jak najszybciej - bał się tych mężczyzn. Każdego z osobna powaliłby jednym ciosem, ale kiedy wyobraził sobie, że

wszyscy rzucają się na niego, poczuł lodowate dreszcze i włosy zjeżyły mu się na głowie ze strachu. Kierownik stał przez chwilę, zastanawiając się nad czymś, potem wykonał pół obrotu, wyciągnął plik banknotów, przeliczył je i dał Benowi dwadzieścia funtów. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, ale Ben nie zrobił nic, po prostu odszedł.

Dzięki pracy na budowie zarobił pieniądze, miał nadzieję, że będzie mógł znowu coś zarobić. Gdyby dalej tam pracował, robotnicy zabieraliby mu pewnie pieniądze, a kierownik by go oszukiwał. Zszedł ze ścieżki i opuścił teren budowy. Zobaczył jeszcze, że mężczyźni rozwijają kabel, wciąż go obserwując. Chłopak zniknął im z oczu.

Wrócił do Mimosa House. Na klatce panowała cisza, ponieważ winda nie działała. Ben wbiegł po schodach, szczęśliwy, że zobaczy starą kobietę. Ale kiedy zapukał do drzwi, nie było odpowiedzi.

Z mieszkania na półpiętrze wyjrzała kobieta.

- Ona pojechała do lekarza - powiedziała. Ben wiedział, że sąsiadka ma klucz do mieszkania starej kobiety, były przyjaciółkami. Sąsiadka często widywała Bena, jak wchodził albo wychodził z mieszkania. Teraz otworzyła mu drzwi i powiedziała:

- Ona niedługo wróci. Nie wiadomo, ile będzie musiała czekać. Jest w kiepskim stanie. Powiedziałam jej, że musi iść do lekarza.

W pokoju, zwykle wysprzątanym, panował bałagan.

Łóżko zostało pośpiesznie zaścielone. Siedziała na nim wyrwana ze snu kotka, jeżąc sierść. Ben nie zajrzał do lodówki: nie lubił smaku zimnego jedzenia, poza tym nie chciał ruszać zapasów starej kobiety. Kucnął na łóżku, nie zwracając uwagi na kotkę, i wyjrzał przez okno. Czekał, aż na balkonie pojawi się gołąb. Ptaki często tam siadały. Kotka odwróciła głowę i także spojrzała w okno. Dzielił ich jard odległości. Nie patrzyli na siebie, zjednoczeni w oczekiwaniu na to, co miało się stać. Otworzył drzwi, tak że przedzieliły mały balkon na pół. Przez pewien czas trwali w bezruchu. W końcu nadleciał gołąb, ale usiadł w niewłaściwej części balkonu - za drzwiami, gdzie był bezpieczny. Wkrótce nadleciał inny i usiadł po stronie... Ben jednym susem wyskoczył na balkon i chwycił ptaka. Kiedy zaczął obdzierać go z piór, usłyszał dźwięk, jaki kotka wydawała zawsze, ilekroć tylko na zewnątrz albo na balustradzie pojawiał się ptak, ten chrypiący odgłos świadczył o tym, że zwierzę jest głodne. Chłopak oderwał kawałek mięsa i rzucił na ziemię. Kotka wyszła na balkon i zaczęła jeść. Z ust ciekła im krew. Po chwili na balkonie zostały tylko pióra i krwawe plamy. Kotka wróciła do pokoju. Ben także.

Chłopak nie zaspokoił głodu kilkoma kawałkami mięsa, ale przestało mu burczeć w brzuchu. Zobaczył, że kotka zamyka oczy, ufała Benowi na tyle, że postanowiła przy nim

zasnąć. Chłopak zwinął się w kłębek na łóżku obok zwierzaka i kiedy pani Biggs wróciła pod wieczór, zobaczyła na łóżku dwa stworzenia, jedno obok drugiego, pogrążone we śnie.

Kiedy wyszła na balkon, ujrzała pióra przylepione do grudek zakrzepłej krwi. W pokoju unosił się nieświeży zapach krwi. Między plecami Bena a kotką było zaledwie kilka cali wolnego miejsca. Stara kobieta źle się czuła.

Bolało ją serce, ogarnęło ją zmęczenie. Stała w długiej kolejce narzekających ludzi po to, żeby lekarz dał jej kilka tabletek. Ale czego można oczekiwać?, myślała z goryczą. Że ją wyleczą? Postawiła siatki na stole, zdjęła z głowy chustkę, napiła się wody z kranu i stała przez chwilę, patrząc na stare, duże łóżko, na Bena i na kota.

Położyła się na brzegu łóżka i patrzyła, jak cienie pełzają po suficie. W końcu zrobiło się ciemno. Ben miał niespokojny sen i wydawał z siebie różne odgłosy. Kotka leżała cicho - jak to kotka. Stara kobieta zasnęła, chociaż serce łomotało jej boleśnie w piersiach. Obudził ją Ben, który przycisnął się do jej pleców.

- Ben - zabrzmiał w ciemności jej głos. - Źle się czuję.

Poleżę dzień albo dwa, muszę odpocząć. - Ben mruknął cicho, co oznaczało: „słucham cię”. - Przyniosłeś świadectwo urodzenia?

Cisza. Po chwili chłopak jęknął żałośnie.

- Widziałeś matkę?

- Tak, widziałem ją. W parku.

Wiedziała, co Ben powie, ale spytała:

- Rozmawiałeś z nią?

Chłopak poruszył się i znowu jęknął.

- Nie wiem, co ci radzić, Ben. Gdybym się dobrze czuła, poszłabym z tobą do urzędu, gdzie mają twoje świadectwo urodzenia, ale nie dam rady.

- Mam trochę pieniędzy. Dwadzieścia funtów.

- To nie starczy ci na długo.

Wiedział, że stara kobieta to powie. Miała rację.

- Zdobędę pieniądze.

Nie spytała, w jaki sposób. Opowiedział jej o budowie, o tym jak został oszukany. Zawsze tak będzie, pomyślała, Biedny Ben. On też zdawał sobie z tego sprawę.

Kiedy nadszedł ranek, stara kobieta nie wstała z łóżka.

Leżała, oddychając powoli i ostrożnie.

- Ben - powiedziała. - Chcę, żebyś poszedł do łazienki, zdjął ubrania i się umył. Brzydko pachniesz.

Chłopak spełnił polecenie. Nigdy wcześniej nie mył się sam dokładnie, ale pamiętał, w jaki sposób robiła to stara kobieta, i wykonał te same czynności. Wiedział, że będzie musiał założyć brudne ubranie.

- Poszukaj swojego starego ubrania - powiedziała kobieta. - Jest w szafce. Zanieś nowe ubranie do pralni.

Kiedy wrócisz, będziesz je mógł włożyć.

Był już kiedyś w pralni.

- Jak mam tu wejść? Przecież leżysz w łóżku.

- Na stole jest klucz. Kup chleb i coś dla siebie. Bądź ostrożny, Ben.

Wiedział, co to znaczy. „Nie kradnij, nie daj się sprowokować, miej się na baczności”.

Zrobił wszystko, o co prosiła. Potem poszedł do małego sklepu i kupił dla niej chleb, który delikatnie pachniał drożdżami. Benowi zawsze robiło się niedobrze od tego zapachu. Kupił też trochę mięsa dla siebie i puszkę dla kota. Udało się. Wrócił do mieszkania, otworzył drzwi i przebrał się w czyste ubranie. Było przedpołudnie.

Pani Biggs siedziała przy stole z ręką przyciśniętą do serca.

- Zrób mi herbatę, Ben.

Chłopak spełnił polecenie.

- Daj kotu jeść.

Ben otworzył puszkę, którą kupił dla kota, i patrzył, jak zwierzak je na ugiętych nogach.

- Dobry z ciebie chłopak, Ben - powiedziała.

Poczuł, jak łzy napływają mu do oczu, i wydał odgłos podobny do szeknięcia. W ten sposób próbował wyrazić swoją miłość i podziękować kobiecie za jej ciepłe słowa.

Nie słyszał takich słów od nikogo innego. Staruszka miała ochotę wyciągnąć rękę i pogłaskać chłopaka, ale tego nie zrobiła. Przecież nie był psem.

Wypiła herbatę, poprosiła o grzankę i położyła się znowu do łóżka. Zasnęła z kotem leżącym u jej boku.

Ben chodził po pokoju w czystym ubranu. Tryskał energią i był szczęśliwy, ponieważ ktoś okazał mu miłość. „Dobry z ciebie chłopak”. Nie chciało mu się spać. Położył się na swoim futonie i drzemał, mając nadzieję, że stara kobieta się obudzi. Ale ona przespała całą noc, i obudziła się wcześniej następnego ranka. Poprosiła o coś do jedzenia - herbatę i jabłko, spytała Bena, czy mógłby nałożyć kotu jedzenie na spodek. Przyszła sąsiadka i ucieszyła się, widząc Bena, który wynosił naczynia do kuchni.

Wielokrotnie broniła chłopaka przed lokatorami, którzy widywali go na klatce

schodowej. Teraz będzie mogła powiedzieć, że Ben opiekuje się panią Biggs.

Przy łóżku odbyła się krótka konferencja. Staruszka po raz pierwszy od dawna nie chciała wstać. Sąsiadka dobrze to rozumiała, ale wiedziała, że staruszka nie poradzi sobie bez opieki. Pani Biggs poprosiła sąsiadkę, żeby odebrała jej rentę, ponieważ nie czuła się na siłach, by wyjść z domu, i napomknęła nieśmiało o skrzynce kotki, którą trzeba było opróżnić. Obie kobiety wiedziały, że Ben nie może tego zrobić. Kotka co prawda przestała jeżyć sierść na jego widok i nie wpatrywała się już w chłopaka tak uporczywie, ale mimo wszystko pomysł był absurdalny. Kiedy sąsiadka wróciła, położyła na stole rentę pani Biggs i powiedziała, patrząc na Bena:

- To wystarczy tylko dla niej i kota.
- Ben wydawał swoje pieniądze na moje zakupy
- powiedziała stara kobieta, ale wszyscy troje wiedzieli, że sytuacja jest poważna.
- W porządku - powiedziała sąsiadka i poszła zawiadomić mieszkańców domu, że yeti troszczy się o panią Biggs jak o własną matkę.

Mijały dni. Był to najszczęśliwszy okres w życiu Bena.

Opiekował się starą kobietą, nosił jej ubrania i pościel do pralni i gotował mrożone potrawy, które najczęściej zjadał sam, ponieważ staruszka prawie niczego nie brała do ust. Ale to nie mogło trwać wiecznie, pieniędzy było coraz mniej, aż któregoś dnia się skończyły. Chłopak wiedział, że jeśli chce zostać ze starą kobietą i kotką, będzie musiał coś zarobić, ale nie miał pojęcia jak. Sąsiadka, która przynosiła rentę staruszki, unikała wzroku Bena.

Czuł, że kobieta ma do niego żal. Stara kobieta nie krytykowała go - leżała i drzemała, albo siedziała i drzemała, z ręką przyciśniętą do serca.

- A może byśmy napili się herbaty? - mówiła czasem.

Dokuczał mu głód, ale starał się jeść jak najmniej.

Wiedział, że tak dalej być nie może. Powiedział starej kobiecie, że spróbuje znaleźć pracę. Uśmiechnęła się smutno.

- Uważaj na siebie, Ben - powiedziała.

Chłopak wyszedł. Nie było miejsca na tym świecie, które mógłby nazwać domem.

Szedł ulicą, a raczej nogi same go niosły. Mijał teatry i restauracje - szedł tą stroną ulicy, której zazwyczaj unikał.

Zatrzymał się przed teatrem, którego bał się, kiedy dokoła było mnóstwo ludzi i rozlegały się różne hałasy. Chłopak stał na pustej ulicy, patrząc na wejście do domu od strony wąskiej przecznicy. Ostatnio trzymał się z daleka od tego miejsca. O tej porze, rankiem, nie widać było na ulicy taksówek Super Universal Cabs. Pojawiały się tam dopiero wczesnym

popołudniem. Mężczyzna, który zwykle stał przed biuremklitką i przekazywał dyspozycje taksówkarzom, mówiąc: „Zabierz ich do Camberwell... Swiss Cottage... Notting Hill”, też jeszcze się nie pojawił. To jego Ben bał się najbardziej. Mężczyzna powiedział mu kiedyś: „Odpieprz się i nie wracaj tu”. Nazywał się Johnston i był przyjacielem Rity.

Kilka tygodni wcześniej, zanim pani Biggs znalazła Bena w supermarkecie, chłopak wszedł ulicą, rozglądając się uważnie dokoła. Nagle zobaczył kobietę stojącą przy wejściu do domu obok Super Universal Cabs. Uśmiechnęła się do niego. Ben jak zahipnotyzowany wszedł za nią po wąskich schodach. Znalazł się w pomieszczeniu, które wydało mu się ubogie i brzydkie w porównaniu z pokojami domu, gdzie mieszkał kiedyś z matką. Kobieta, a raczej dziewczyna, którą postarzał makijaż i podkrążone oczy, stanęła przed nim i położyła rękę na pasku, gotowa, żeby go zdjąć.

- Jak długo? - spytała.

Ben nie wiedział, o co jej chodzi. Uśmiechnął się tak szeroko, że widać było jego zęby, ale nie był to uśmiech szczęścia, tylko grymas przerażenia.

- Dziesięć funtów za laskę. Czterdzieści za bzykanko.

- Nie mam pieniędzy - powiedział Ben.

Dziewczyna podeszła do niego i przeszukała mu kieszenie, najpierw z jednej, potem z drugiej strony.

Wiedziała, że nie znajdzie pieniędzy, ale ta absurdalna sytuacja zaczęła ją irytować. Ben nauczył się nie ulegać pożądaniu i innym zakazanym pragnieniom, jednak tym razem żądza wzięła nad nim górę. Chwył dziewczynę za ramiona, obrócił ją i zmusił, żeby się pochylała. Dziewczyna oparła ręce na łóżku, aby nie stracić równowagi.

Ben jedną ręką podwinął jej spódnicę, ściągnął majtki i wziął ją od tyłu, szybko i gwałtownie. Wbił jej zęby w szyję, a kiedy osiągnął orgazm, wydał odgłos podobny do szczeknięcia. Dziewczyna nigdy nie słyszała czegoś podobnego. Kiedy ją puścił, wyprostowała się, odgarnęła blady kosmyk z czoła i spojrzała mu w twarz, a potem przeniosła wzrok na jego owłosione uda. Widziała w swoim życiu wielu owłosionych mężczyzn - żartowała z Johnstonem, że niektórzy jej klienci wyglądają jak szympany - ale ten był zupełnie inny. Zdziwienie i łagodna ciekawość dziewczyny sprawiły, że Ben znowu ją obrócił, zmusił, żeby się pochylała, i zaczął od nowa. Już od dawna brakowało mu seksu, marzył o nim. Chociaż szczytował chwilę przedtem, ponownie wbił zęby w szyję dziewczyny, a po chwili usłyszała tryumfalne szczeknięcie.

- Zaraz - powiedziała. - Poczekaj chwilę.

Pchnęła go tak, że usiadł na łóżku, sama zaś usiadła na krześle naprzeciwko niego.

Potrzebowała czasu. Została zgwałcona, inaczej nie można było tego określić.

Zwykle klienci wzbudzali jej złość i pogardę, ale kiedy ten mężczyzna położył jej na ramionach swoje wielkie ręce, wbił jej zęby w szyję i zgwałcił ją dwukrotnie, poczuła zachwyty. Dotknęła ręką miejsca, gdzie mężczyzna ją ugryzł. Wyjęła z torebki małe lusterko i wykręciła szyję, żeby zobaczyć ślad. Skóra nie była pęknięta, ale mocno posiniaczona. Wiedziała, że Johnston spyta ją, co się stało.

Ben pragnął tylko jednego - położyć się obok niej na wąskim łóżku i zasnąć. Przypomniało mu się pewne wydarzenie z przeszłości. Kiedy był przywódcą gangu nastolatków - złych chłopców, których bali się wszyscy, podobały mu się różne dziewczyny. Jedna z nich polubiła Bena i próbowała zmienić jego przyzwyczajenia. „Ben, spróbujmy inaczej”, mówiła. „Odwróć się. Tak nie można.

Nie jesteśmy zwierzętami”. Chłopak starał się, ale nie był w stanie zrobić tego, o co prosiła. Kiedy patrzył w twarz dziewczyny, jego wściekłe pożądanie milkło. Dał jej do zrozumienia, że jeśli mają się kochać, to tylko tak, jak on chce. Dziewczynie nie podobało się to, wkrótce znienawidziła go i już nie chciała się z nim więcej spotykać.

Powiedziała koleżankom, że Ben dziwnie się zachowuje, że coś z nim jest nie w porządku.

Z Ritą było inaczej. Ben od razu poczuł, że to, co robił, jej się podobało.

Brzęknął dzwonek. Był to sygnał, że idzie następny klient. Johnston stał na dole i kontrolował sytuację.

Dziewczyna wstała, nacisnęła guzik domofonu i zwróciła się do Bena:

- Musisz już iść.

- Dlaczego? - spytał. Nie rozumiał, dlaczego Rita każe mu odejść, skoro go polubiła.

- Chcę, żebyś teraz mnie zostawił - powiedziała tonem, jakim się mówi do dziecka.

Nigdy nie zwracała się w ten sposób do klientów. - Odejdź.

Po chwili dodała:

- Jeśli chcesz, możesz tu znowu przyjść, ale rano.

Pamiętaj.

Wypchnęła go z pokoju, a on zszedł po brzydkich schodach, zapinając rozporek, jak czyniło to wielu klientów.

Kiedy znalazł się na ulicy, spojrzął na niego wysoki mężczyzna o nieprzyjemnym wyglądzie. Odwrócił głowę i po chwili znowu zerknął na Bena - ludzie zawsze spoglądali na niego kilkakrotnie.

To była jego pierwsza wizyta u Rity. Następnego dnia poszedł tam znowu. W

międzyczasie Rita powiedziała Johnstonowi o Benie. Leżeli na łóżku, paląc papierosy, było bardzo późno, nawet taksówki już nie jeździły.

Johnston był ochroniarzem Rity, brał od dziewczyny pieniądze, ale nie był zazdrosny. Okazywał jej dobroć w niedbały sposób. Obejrzał posiniaczoną szyję dziewczyny, na skórze widać było ślady zębów. Rita opisała mu ze szczegółami stosunek. To ona chciała o tym mówić, Johnstona zazwyczaj nie interesowały te sprawy. Rita powiedziała, że czuła się tak, jakby robiła to ze zwierzęciem.

- Robiliśmy to jak psy - powiedziała.

- Ale lubisz go - powiedział Johnston, dając jej do zrozumienia, że będzie o tym pamiętał. Czuł coś w rodzaju zaciekawienia, miał nadzieję, że nie była to zazdrość.

Następny raz był podobny do poprzedniego. Ale Ben zrobił to tylko raz i Rita była rozczarowana, chociaż wstydziła się to przyznać sama przed sobą. Zwykle nic nie czuła, kiedy była z klientem. Ale tryumfalny ryk nad uchem, świadomość, że jest bezbronna w wielkich, owłosionych rękach i siła penetracji - wszystko to podniecało ją, ale trwało zbyt krótko. Powiedziała mu o tym.

Pragnęła czego innego niż tamta uczennica, która chciała, żeby Ben położył się obok niej i ją całował. Chłopak wiedział, czego Rita od niego oczekuje, przynajmniej tak mu się wydawało. Spuścił spodnie i pozwolił, żeby ręka dziewczyny go poprowadziła. Ponieważ dopiero co miał orgazm, zdołał ją zadowolić. Słuchał jej krzyków ze zdumieniem i ciekawością, cieszył się, że Rita odczuwa przyjemność.

Skończyły mu się pieniądze, nie stać go było nawet na hamburgera, który stanowił jego ulubione danie. Rita zaczęła dawać mu pieniądze na jedzenie. Było lato, Ben nocował na ławce albo na klatce schodowej. Kiedy odwiedzał Ritę, pozwalała mu się umyć w małej łazience.

Podcięła mu brodę. Po miesiącu Johnston odkrył, że Rita daje pieniądze Benowi i powiedział: „Dość tego”.

Rita uzależniła się od Bena i jego zwierzęcych zachowań, nie chciała się z nim rozstać. Opowiedziała o nim koleżance, prostytutce z sąsiedniej ulicy. Rita zaprowadziła chłopaka do biednego, obskurnego mieszkania, które przypominało jej własną kawalerkę. Kobiecie spodobało się to, co robił

Ben, ale on wolał być z Ritą. Dała mu kilka funtów za usługi. Jej ochroniarz lub chłopak był mniej tolerancyjny niż Johnston i kiedy koleżanka Rity powiedziała mu o Benie, zabronił jej się z nim spotykać. Johnston i on znali się, obaj zaczęli grozić chłopakowi.

Tak oto Ben przestał przychodzić do Rity i nawet kiedy przypadkiem szedł tamtą

ulicą, ostrożnie przechodził na drugą stronę. Kiedy widział Ritę, szybko się oddalili. Nie bał się, że go pobiją, dałby sobie radę, nawet gdyby zaatakowali go obaj, ale na samą myśl, że zwróciliby na siebie uwagę, ogarniało go przerażenie.

Tydzień później pani Biggs zauważyła go w supermarkecie.

Tego dnia Ben postanowił znowu odwiedzić Ritę; było to drugie miejsce, gdzie czuł się dobrze, gdzie witano go z uśmiechem. Przeszedł na drugą stronę wąskiej ulicy, minął taksówki Super Universal Cabs i wszedł na górę po schodach. Drzwi były zamknięte. Wiedział, że powinien zapukać - Rita mogła mieć klienta, ale nie zrobił tego, tylko wydał odgłos podobny do ryku byka. Drzwi otworzyły się natychmiast, dziewczyna wciągnęła go do środka i zaryglowała wszystkie zamki.

Rita miała żal do Johnstona, że zabronił Benowi ją odwiedzać. Przecież sam mówił, że może spotykać się z klientami, którzy potrafią ją zadowolić. Dawała Benowi grosze w porównaniu z tym, co zarabiała w ciągu jednego dnia. Johnston groził, że jeśli to się powtórzy, da Benowi nauczkę. Johnston miał jeszcze inne źródło utrzymania oprócz pracy w przedsiębiorstwie taksówkarskim, dziewczyna domyślała się, że robił ciemne interesy. Gdyby powiedziała o nim policji, najwyżej zapłaciłaby grzywnę - policja wiedziała, w jaki sposób Rita zarabia na życie. Wśród jej klientów byli funkcjonariusze. Johnston ufał Ricie i mówił jej wiele razy o sobie. Dziewczyna nie była co prawda przysłowiową dziwką o złotym sercu, ale była bystra, sprytna, czuła i dawała mu dobre rady.

Ledwo Ben wszedł do pokoju, rzucili się na siebie.

Chłopak zachowywał się jak wygłodzone zwierzę. Później przypomniał sobie, co Rita lubi, i zrobili to jeszcze raz.

Tym razem ją zadowolił. Dziewczyna upadła na łóżko i pociągnęła go za sobą.

- Gdzie byłeś, Ben?

- On powiedział, żebym tu więcej nie przychodził.

- Ja ci pozwalałam. Możesz przychodzić rano.

Wszystko zaczęło się od nowa. Ben przychodził do niej codziennie, ona dawała mu pieniądze na jedzenie, Johnston zaś brał ją w krzyżowy ogień pytań.

- Nie rozumiem, jak możesz go lubić - mówił, patrząc na nią badawczo.

Rita sama tego nie rozumiała, ale nie mogła przestać myśleć o Benie. Dziewczyna nie wiedziała wielu rzeczy, nie miała jeszcze osiemnastu lat. Była w wieku Bena, ale nigdy nie poruszyli tego tematu. Myślała, że Ben ma około trzydziestu pięciu lat; lubiła starszych mężczyzn.

Jedną z rzeczy, która ich łączyła, choć o tym nie wiedzieli, było to, że oboje mieli

ciężkie dzieciństwo. Rita rzuciła szkołę i uciekła z domu, nie chciała dłużej mieszkać u rodziców, z którymi się nie rozumiała. Ukradła pieniądze, przez pewien czas była złodziejką, w końcu dogadała się z właścicielem budynku, gdzie znajdowało się biuro przedsiębiorstwa taksówek. Właściciel, który wynajmował prostytutkom obskurny pokój na piętrze, zgodził się, żeby Rita tam zamieszkała, kiedy wyprowadziła się poprzednia lokatorka. Rita miała dar przekonywania.

Robiła na ludziach wrażenie, zwykle jej ulegali. W swoim życiu spotkała wielu mężczyzn, ale Ben był inny. Nigdy nie spotkała kogoś takiego jak on, takich nie pokazywano nawet w telewizji. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy nagiego, pomyślała: O rany! To nie jest człowiek! Widok jego owłosionego ciała zrobił na niej wielkie wrażenie, ale jeszcze bardziej zdumiał ją sposób, w jaki Ben stał, zgarbiony z wypiętą klatką piersiową, rękami zwisającymi luźno wzdłuż ciała, na rozstawionych nogach... Rita nigdy czegoś takiego nie widziała. Chłopak czekał i pomrukiwał, kiedy miał orgazm, skomlał przez sen - ale skoro nie przypominał ludzkiej istoty, to kim był? Zwierzęciem?, myślała Rita i śmiała się sama z siebie. Wszyscy jesteśmy zwierzętami.

Johnston nie wtrącał się więcej, ale czekał, aż nadarzy się okazja, żeby się zemścić. Wkrótce tak się stało. Ben poprosił Ritę, żeby poszła z nim „w miejsce, gdzie można odebrać świadectwo urodzenia”. Dziewczyna, która obracała się w świecie ludzi pracujących nielegalnie, spytała Bena, czy nie chciałby zarabiać w ten sposób. Opowiedział jej wtedy, co się wydarzyło na budowie. Rita w pierwszej chwili zapewniła Bena, że jeśli ktokolwiek będzie próbował go oszukać, Johnston się z nim rozprawi, ale potem uświadomiła sobie, że na Johnstona nie ma co liczyć.

Spytała Bena, dlaczego chce zdobyć świadectwo urodzenia.

Chłopak opowiedział jej o starszej kobiecie, która uważała, że dzięki świadectwu urodzenia Ben będzie się mógł starać o zasiłek dla bezrobotnych.

- A co potem? - spytała dziewczyna. Naprawdę ciekawiło ją, jakie plany zrodziły się w tej kudłatej głowie.

Rita wspomniała Johnstonowi, że Ben chce zdobyć metrykę i pracować legalnie albo starać się o zasiłek.

Johnston powiedział, że ma pewien pomysł. Kiedy następnego dnia Ben wychodził z mieszkania Rity, Johnston go zatrzymał.

- Chcę z tobą porozmawiać - zaczął i, widząc, że Ben kuli się i zaciska pięści, dodał: - Nie chodzi o Reet.

Pomogę ci zdobyć dokumenty.

Johnston wszedł na górę i po raz pierwszy znaleźli się w pokoju Rity we trójkę. Johnston i dziewczyna siedzieli obok siebie na łóżku, pałac, a Ben wiercił się na krześle, zastanawiając się, czy to podstęp. Bał się, że Rita już go nie lubi, był zdezorientowany.

- Jeśli zdobędziesz paszport, nie będzie ci potrzebne świadectwo urodzenia - powiedział Johnston.

Ben wiedział, że paszport to coś, co ludzie zabierali ze sobą, kiedy wyjeżdżali za granicę. Pamiętał, jak ojciec zabrał jego siostry i braci na wycieczkę do Francji. Ben został wtedy z matką. Nie mógł jechać, ponieważ nie potrafił się grzecznie zachowywać.

Ben powiedział, że nigdzie nie chce wyjeżdżać, chodziło mu jedynie o dokument, który trzeba zanieść do biura; opowiedział im o ludziach, którzy siedzieli za szklanymi ścianami, i o ludziach, którzy stali w kolejkach, czekając na pieniądze. Zajęło mu dużo czasu, zanim zrozumiał, o co chodzi Johnstonowi. W zamian za paszport, który dostaną od znajomego Johnstona - „specja od paszportów”, Ben pojedzie do Francji i zawiezie coś, co Johnston chce przekazać innemu znajomemu, który będzie czekać w Nicei albo w Marsylii.

- A potem wrócę?

Johnston wcale nie zamierzał namawiać Bena do powrotu.

- Będziesz mógł tam trochę zostać i się zabawić.

Rita milczała, ale ze sposobu, w jaki patrzyła na Johnstona, Ben wywnioskował, że nie pochwała tego pomysłu.

Chłopak wyobraził sobie, że ma w kieszeni dokument, który może wyciągnąć z kieszeni i pokazać policjantowi albo kierownikowi budowy. Przekonało go to, poszedł z Johnstonem do podziemia i stanął przed maszyną. Po chwili wyskoczyło z niej pięć małych fotografii, które Johnston zabrał ze sobą. Ben zdziwił się, kiedy dostał paszport. Było tam napisane, że ma trzydzieści pięć lat, nazywa się Ben Lovatt i jest aktorem filmowym. Z dokumentu wynikało, że mieszka w Szkocji. Johnston powiedział, że będzie trzymać paszport Bena u siebie „dla bezpieczeństwa”, ale chłopak chciał pokazać dokument starej kobiecie.

Obiecał, że jak najszybciej przyniesie go z powrotem.

Kiedy stanął przed drzwiami mieszkania pani Biggs, od razu zorientował się, że w środku nie ma żywej duszy.

Nie próbował dostać się do środka, podszedł do drzwi sąsiadki i zastukał. Wewnątrz zamiauczał kot. Ben zastukał jeszcze raz i w końcu sąsiadka otworzyła. Spojrzała na niego i powiedziała:

- Pani Biggs jest w szpitalu. Wzięłam jej kota.

Ben odwrócił się. Już chciał zejść po schodach, kiedy kobieta powiedziała:

- Ucieszyłaby się, gdybyś ją odwiedził, Ben.

Chłopaka ogarnęło przerażenie: bał się szpitali. Nie byłby w stanie wejść do budynku pełnego hałasu i ludzi.

Pamiętał, jak matka chodziła z nim do lekarzy. Każdy z nich patrzył na Bena w dziwny sposób. Sąsiadka wyczuła, że chłopak się boi. Rozmawiała o nim z panią Biggs, wiedziała, jak trudno mu się przystosować do rzeczywistości. Wiedziała na przykład, że za każdym razem wchodził na górę po schodach, tak bardzo przerażała go winda.

- Nie martw się, Ben - powiedziała uprzejmie. - Powiem pani Biggs, że przyszedłeś ją odwiedzić. Zaczekaj. - Zostawiła go na chwilę na klatce. Gdy wróciła, wsunęła mu do kieszeni na piersi dziesięciofuntowy banknot.

- Uważaj na siebie, Ben - powiedziała tym samym tonem, jakim mówiła stara kobieta.

Chłopak wrócił do Rity. Po drodze myślał o ludziach, którzy byli wobec niego mili. Niektórzy widzieli go takim, jaki był naprawdę, wiedział o tym, potrafili otworzyć przed nim serce. A Rita? Tak, była dla niego miła, lubiła go. Ale nie Johnston: Johnston to wróg. Teraz Ben miał w kieszeni paszport, w którym zapisano jego nazwisko i narodowość. Nazywał się Ben Lovatt, mieszkał w Wielkiej Brytanii.

Do tej pory były to dla niego jedynie puste słowa. Teraz Ben czuł się tak, jakby otoczyły go czyjeś ramiona.

Tymczasem Rita i Johnston się kłócili. Dziewczynie nie podobał się pomysł Johnstona. Co się stanie z Benem we Francji? Nie znał francuskiego, nawet w Anglii z trudnością sobie radził. Johnston chciał skończyć rozmowę.

- Nie rozumiesz, Reet, że on prędzej czy później wyląduje za kratkami? - powiedział.

Johnstonowi chodziło o więzienie, ale Rita pomyślała o czymś innym: kiedy rozmawiali wcześniej o Benie, Johnston powiedział, że naukowcy na pewno się nim zajmą. Rita zaczęła wtedy krzyżeć, że Johnston jest okrutny.

Jej zdaniem Ben był miły, tylko trochę różnił się od innych ludzi, to wszystko.

Kiedy Ben pojawił się w mieszkaniu dziewczyny, przerwał ich kłótnię. Rita i Johnston myśleli o „kratach”, oboje wyobrazili sobie Bena w klatce. Johnstona nie obchodziło, co się stanie z tym dziwolągiem, ale Rita się rozplakała. Jeśli „oni” zamkną go w klatce, Ben zacznie krzyżeć i wyć. Będą musieli go pobić albo nafaszerować chłopaka silnymi lekami, o tak, Rita nie miała złudzeń, wiedziała, do czego ludzie są zdolni.

Ben usiadł z paszportem w ręku, nie chciał oddać go Johnstonowi. Patrzył na nich spod krzaczastych brwi, wiedział, że kłócili się z jego powodu. Rodzina też w kółko kłóciła się o niego. Bardziej niż napięta atmosfera niepokoili go zapachy w pokoju. Czuł zapach

Rity, zapach kobiety, ale to mu nie przeszkadzało. Drażnił go zapach Johnstona - silny, niebezpieczny odór samca. Ben potrafił z daleka wyczuć, czy Johnston jest na dole, czy też stoi na schodach, strzegąc bezpieczeństwa Rity. W powietrzu unosiły się zapachy chemikaliów, wyraźnie różniące się od ludzkich zapachów i aromatu mięsa sprzedawanego na stoisku z jedzeniem na wynos. Ben miał ochotę wstać i wyjść, ale postanowił zaczekać, aż ustalą coś konkretnego. Zdawał sobie sprawę, że Rita próbuje powstrzymać Johnstona, ale nie wiedział przed czym.

Dziewczyna powiedziała do Johnstona, że powinien znaleźć Benowi pracę i „zająć się nim”.

- Co masz na myśli?

- Dobrze wiesz, co.

- Jeśli ktoś zadźga go w nocy albo wepchnie pod samochód, nic na to nie poradzę. On wyzwala w ludziach złe emocje, Reet. Wiesz przecież.

- Może mógłby pracować jako taksówkarz w twojej firmie.

- Chyba żartujesz.

Rita zabrała Benowi paszport. Powiedziała, że będzie go pilnować, i schowała dokument do szuflady. Zeszli na dół do taksówek, zaparkowanych wśród wielu innych samochodów.

- Wsiadaj - powiedział Johnston do Bena, otwierając drzwi. Chłopak spojrzał na Ritę, jakby chciał spytać: „Nic mi się nie stanie?”. Dziewczyna potrząsnęła głową. Kiedy Ben usiadł za kierownicą, jego twarz natychmiast się rozpuściła, był zachwycony. Pomyślał o wielkich, lśniących, warczących motorach, które były jedyną pasją jego życia, jego jedynym szczęściem. A teraz siedział za kierownicą, trzymał na niej ręce, obracał nią, mówił: „Brrr, Brrr” i śmiał się w głos.

Johnston szturchnął Ritę, chciał, żeby spojrzała na Bena.

Dziewczyna podeszła do samochodu.

- A teraz przekręć kluczyk, Ben - powiedział Johnston.

Nie pokazał Benowi kluczyka. Chłopak spojrzał na

Ritę, czekając na wskazówki. Dziewczyna pochyliła się i wskazała kluczyk.

Ben zaczął się bawić kluczykiem, przekręcił go i, kiedy samochód zaczął warczeć, wyłączył silnik. Po chwili znowu przekręcił kluczyk, silnik ożył, zawarczał i ucichł. Był to hałaśliwy stary gruchot z trzeciej lub czwartej ręki.

Mężczyzna, który go ukradł, siedział w więzieniu.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedziała Rita drżącym głosem.

Biedny Ben, myślała. Zachowuje się, jakby miał trzy lata.

Była naiwna, wierząc, że Ben nadaje się do tej pracy.

Chłopak położył owłosioną rękę na kluczyku, przekręcił go i zapalił silnik. Następnie rozpoczął pantomimę przerzucania biegów; wiedział, że kierowca musi zmieniać biegi podczas jazdy. W tym samochodzie była automatyczna skrzynia biegów.

- A teraz pokażę ci, jak to się robi - powiedział Johnston, wsadzając głowę do środka, i wskazał na dźwignię. Kilka razy pokazał mu, co ma robić.

- Musisz ścisnąć w tym miejscu, a potem puścić hamulec.

Sprawdź, czy z tyłu nic nie jedzie.

Wszystko to nie miało sensu; Ben nie był w stanie zrozumieć, o co chodzi. Kiedy Johnston poruszał dźwignią w przód i w tył, Ben zaciskał pięści i naśladował jego ruchy, ale sam nie potrafił tego zrobić. Johnstona to nie zdziwiło.

Rita zaczęła płakać. Johnston wyprostował się i otworzył drzwi.

- Wsiądź - powiedział.

Ben spełnił polecenie, chociaż miał ochotę zostać w samochodzie i udawać, że jest kierowcą.

- Jesteś okrutny - powiedziała Rita do Johnstona. - To mi się nie podoba.

Weszła do domu, nie czekając na niego i Bena. Johnston udał, że ma coś do załatwienia w biurze, chociaż nie było żadnych klientów. Ben wszedł po schodach za Ritą.

W mieszkaniu odetchnął, nie było już silnego zapachu Johnstona, rozplynął się w powietrzu, zostawiając po sobie jedynie wspomnienie.

- Nie musisz nigdzie jechać, jeśli nie chcesz - powiedziała Rita. Była w złym humorze, ponieważ dała się doprowadzić Johnstonowi do łez. Nie lubiła okazywać słabości, szczególnie przy nim.

- Usiądź - powiedziała.

Ben usiadł na krześle, tymczasem dziewczyna otarła łzy z twarzy i zrobiła makijaż. Kiedy nakładała na powieki zielony i czarny cień, jej oczy wydawały się wielkie. Dzięki temu klienci nie widzieli jej twarzy, która nie była ładna, ale blada, niemal biała, ponieważ dziewczyna często chorowała.

- Dlaczego napisali, że jestem aktorem filmowym? - spytał Ben.

Dziewczyna potrząsnęła głową, nie potrafiła mu tego wytłumaczyć. Wiedziała, że Ben nie chodził do kina i dobrze go rozumiała. Rzeczywistość była dla chłopaka wystarczająco intensywna, nie mógł znieść ruchomych obrazów.

Rita nie wiedziała, że Ben boi się ciemnej sali z rzędami foteli, gdzie siedziało

mnóstwo ludzi, a także oświetlonego ekranu, który go raził.

W rzeczywistości Ricie spodobało się, że Johnston załatwił ze „swoim przyjacielem”, aby ten napisał w paszporcie: „aktor filmowy”. Aktorzy nie pracowali na cały etat, często nie mieli zajęć. Niektórzy jej klienci byli aktorami; brak pracy nie był dla nich tragedią, choć znała takich, którzy się tym przejmowali. Ben zwracał uwagę swoim wyglądem, ale gwiazdy muzyki i filmu często wyglądały dziwnie.

Było to idealne rozwiązanie. W środowisku aktorów i muzyków Ben nie wyróżniałby się szczególnie. Rita nie była jednak pewna, co Johnston knuje, domyślała się tylko, że nie dobrego.

Wiedziała, że coś musi się zmienić. Lato zbliżało się ku końcowi, niedługo miała nadejść jesień, potem zima.

Policjanci dwukrotnie przegnali Bena z jego ulubionej ławki. Co się z nim miało stać zimą? Policjanci znali Bena.

Wszyscy bezdomni i włóczędzy go znali. Być może Johnston miał rację: Rita nigdy nie była we Francji, ale podróżowała po Grecji i Hiszpanii, łatwiej mogła sobie wyobrazić Bena w barze tapas albo tawernie niż w londyńskim pubie. Ale Johnston wcale nie chciał pomóc Benowi, Rita dobrze o tym wiedziała.

Tamtej nocy, tuż przed świtem, kiedy odprawiła ostatniego klienta i taksówkarze poszli do domów, a Ben siedział skulony na klatce w Covent Garden, Rita spytała Johnstona, jakie ma plany wobec Bena. Kiedy powiedział jej prawdę, poczuła wściekłość, podniosła rękę, żeby go uderzyć, ale on złapał ją za przegub i warknął:

- Zamknij się. Jestem pewien, że się uda. i Johnston chciał, żeby Ben przewiózł kokainę do Nicei - „Można zarobić mnóstwo forsy, Reet. Miliony dolarów...”

- Planował, że ukryje narkotyki w podręcznym bagażu Bena, pod ubraniami.

- Rozumiesz, Reet? Policjantom nawet nie przyjdzie do głowy, że ktoś tak niezwykle jak Ben mógłby przewozić narkotyki, za bardzo rzuca się w oczy.

- Co będzie, kiedy dotrze na miejsce?

- Dlaczego się tym przejmujesz? Kim on dla ciebie jest? Jest wobec ciebie brutalny, to wszystko.

- Współczuję mu. Nie chcę, żeby cierpiał.

„Kraty”, o których mówili wcześniej, znowu stały się tematem rozmowy.

- On nigdy nie leciał samolotem, nie będzie umiał znaleźć bagażu. Jak sobie poradzi w miejscu, gdzie ludzie nie mówią po angielsku?

- Wszystko zaplanowałem, Reet - powiedział Johnston i szczegółowo przedstawił jej

swój plan.

Rita musiała przyznać, że pomyślała o wszystkim. Była zaskoczona. Tyle tylko, że jeśli wszystko się powiedzie, Ben znajdzie się sam w obcym kraju.

- Nie chcę, żeby on się tu pętał. Ludzie zwracają na niego uwagę. Policjanci szukają pretekstu, żeby zlikwidować moją firmę. Nie podoba im się, że taksówki stoją na ulicy. Powiedziałem im: nie lubicie nas, trudno, ale ludzie nas potrzebują. Mógłbym puścić w ruch dwa razy więcej taksówek, gdybyśmy mieli miejsce do parkowania. Oni tylko czekają, żeby mnie wykończyć. Ben jest jak wielka tablica z napisem: „Kłopoty”. Boję się, że wda się znowu w jakąś bójkę. Jeden z taksówkarzy powiedział coś, co mu się nie spodobało, a Ben się na niego rzucił.

- Co powiedział?

- Nazwał Bena włochatą małpą. Udało mi się ich rozłączyć. Ale... mam nadzieję, że rozumiesz, co mówię, Reet.

Rita musiała przyznać rację Johnstonowi, ale wiedziała, że chodzi o coś więcej: Johnston był zazdrosny.

- To zabawne - powiedziała. - Nigdy nie byłeś o nikogo zazdrosny. Ale o niego jesteś.

Johnston nie miał ochoty o tym mówić, na jego twarzy pojawił się nieprzyjemny uśmiešek.

- Nie mogę rywalizować z owłosioną małpą, prawda?

- On nie jest małpą.

- Posłuchaj, Reet, nie obchodzi mnie to. Mam go dosyć.

Johnston zamierzał najpierw zabrać Bena do dobrych sklepów i kupić mu eleganckie ubrania. Dość już ubrań ze sklepów z używaną odzieżą. Kupienie dżinsów, spodni i bielizny okazało się niełatwe; Ben był szeroki w ramionach, miał muskularne ręce i klatkę piersiową. W końcu Johnston udał się do krawca i zamówił dla chłopaka kilka koszul i marynarek.

- Ile to wszystko będzie kosztowało? - pytała Rita.

- Mówiłem ci już, zarobimy miliony.

- Śnij dalej.

- Zobaczysz.

Potem Johnston zaprowadził Bena do fryzjera. Chłopak żałował, że stara kobieta nie może go teraz zobaczyć.

Z pewnością powiedziałyby, że dobrze wygląda. Sam też tak uważał. Fryzjer wydał okrzyk zdumienia, gdy zobaczył splecione włosy chłopaka, ale kiedy skończył, Ben wyglądał całkiem zwyczajnie.

Johnston zabrał chłopaka na krótki lot małym samolotem nad Londynem, żeby przyzwycząić go do latania. Z początku Ben wywracał oczami i jęczał z przerażenia, kiedy spoglądał w dół. Ale Johnston siedział obok niego, zachowywał się, jakby nic się nie działo, i mówił:

- Spójrz, Ben, widzisz? To jest rzeka. Wiesz, co to jest rzeka, prawda? A to jest Covent Garden, a to Cross Road.

Ben przyglądał się wszystkiemu, a potem opowiedział o tym Ricie.

- Kiedy będę mógł znowu polecieć? - dopytywał się.

- Niedługo polecisz dużym samolotem.

I więcej cię nie zobaczę, myślała Rita. Tak, lubiła Bena.

Wiedziała, że będzie za nim tęsknić. Zgodziła się, żeby chłopak ją pieprzył, i czuła rozkosz, jakiej nie zaznała nigdy wcześniej. Zdawała sobie sprawę, że czułość nie leży w jego naturze. Nie było związku między tymi krótkimi, gwałtownymi zbliżeniami, a tym, co działo się kilka chwil później, kiedy Ben zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Kiedy pewnego razu pozwoliła chłopakowi zostać na noc, przytulił się do niej, wcisnął owłosioną twarz w szyję Rity i zaczął lizać jej twarz i szyję. Dziewczyna przypuszczała, że Ben ją lubi. Spytał, czy Rita pojedzie z nim do Francji, ale co sobie wyobrażał, kiedy mówił „Francja”?

- Tam jest tak samo jak tu - tłumaczyła mu. – We Francji jest ładne niebieskie morze. Wiesz, co to jest morze?

Tak, wiedział; pamiętał, jak jeździł nad morze z rodziną.

- Jest tak jak tu, ale wszędzie dokoła widać morze.

Dziewczyna znalazła pocztówki przedstawiające Niceę i wybrzeże. Ben przyglądał im się ze zdziwieniem; Rita zdawała sobie sprawę, że chłopak postrzega świat inaczej niż ona. Nie powiedziała mu o ludziach, którzy mówią w innym języku, o dźwiękach, które będą dla niego brzmieć obco.

Rita stała w drzwiach ubrana w czarną skórę i czarne siatkowe rajstopy, przyglądając się Johnstonowi, który wsadzał ludzi do taksówek i udzielał instrukcji taksówkarzom - był to zwyczajny widok w tym miejscu, począwszy od wczesnego popołudnia do około dwudziestej czwartej albo pierwszej w nocy, kiedy ludzie wychodzili z teatrów i restauracji. Nagle zobaczyła, że do Johnstona podchodzi podejrzanie wyglądający mężczyzna. Dziewczyna wyczuła, że Johnston się boi. Z jej doświadczenia wynikało, że kłopoty zaczynały się zawsze w ten sam sposób: pojawiał się obcy mężczyzna o niepokojącym wyglądzie, a potem działo się coś złego. Kiedy mężczyzna odszedł, Rita zobaczyła, że Johnston, spocony, opiera się na ladzie i łapczywie pije z butelki, którą zawsze miał pod ręką.

Po chwili zauważył ją, domyślił się, że jest zaniepokojona, i powiedział:

- Musimy porozmawiać, Reet.

Tego wieczoru Rita upewniła się, że drzwi wejściowe, przez które klienci wchodzili na górę, są zamknięte i zaprosiła do siebie Johnstona. Dziewczyna położyła się na łóżku i oparła o poduszki, machając jedną nogą - zwykle przybierała tę pozę, kiedy chciała podniecić klienta. Palila papierosa i patrzyła na Johnstona, który kręcił się niespokojnie na krześle. Johnston też palił i regularnie pociągał z piersiówki napełnionej whisky.

Nieświeże, pełne dymu powietrze sprawiało, że Rita co chwilę kaszłała.

Znała przeszłość Johnstona - wiedziała o nim niemal wszystko. W wieku czternastu lat uciekł z domu od złych rodziców, siedział przez pewien czas w zakładzie poprawczym, potem utrzymywał się z kradzieży. Przesiedział rok w więzieniu. Po wyjściu na wolność żył jakiś czas uczciwie, ale wkrótce znowu wylądował za kratkami, skazany za brutalny rabunek. Wyszedł z więzienia pięć lat temu. Przez pewien czas robił interesy na pograniczu legalności, ale brnął coraz głębiej i zaangażował się w kilka niebezpiecznych interesów; udawało mu się dzięki umiejętnościom zdobytym w więzieniu i temu, że był znany w świecie przestępczym. Interes z taksówkami nieźle się kręcił, ale był jedynie przykrywką. Dziewczyna nie zdziwiła się, usłyszawszy, że Johnston ma kłopoty. Kiedy powiedział:

Jestem w pułapce, Reet”, pomyślała, że ma długi i ktoś go szantażuje. Ale potem, gdy Johnston powiedział jej prawdę, wlewając w siebie whisky (był już trochę pijany), Rita usiadła na brzegu łóżka i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- O czym ty mówisz? Co to wszystko znaczy?

Pewien mężczyzna, któremu z trudem można było zaufać, namówił go, żeby spróbował szczęścia na giełdzie.

„Na pewno zarobisz”, powiedział znajomy, „wystarczy mieć głowę na karku”. Mieli głowy na karku, ale stracili wszystkie pieniądze.

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteś komuś winien milion funtów?

- To drobiazg, Reet, w porównaniu z tym, co zarobimy.

- Dla ciebie to majątek.

- Racja - powiedział i wypił kolejnego łyka.

- Boisz się, że wrócisz za kratki?

- Właśnie. Wyląduję w mamrze, jeśli nie skombinuję dużej forsy.

- Chcę znać prawdę. Jesteś im winien milion, czy razem jesteście tyle winni?

- On jest im winien więcej. Zabrnął jeszcze dalej niż ja. Tak naprawdę wyświadczył mi wielką przysługę - dzięki niemu w to wszedłem. Ale teraz, jeśli nie dam mu miliona,

załatwi mnie.

Rita oparła się o poduszki i kaszlnęła.

- Pieprzone spaliny - powiedziała. - Czasem tyle dymu wpada tu z ulicy, że nie mogę oddychać.

Natomiast nikotynowy dym najwyraźniej jej nie przeszkadzał. Wyciągnęła dwa papierosy, jednego wzięła dla siebie, drugiego rzuciła Johnstonowi.

- Dobra - powiedziała. - Ale jeśli numer z kokainą się nie uda i złapią cię, pójdiesz siedzieć na całe życie.

- Wiem, ale się uda.

- Skoro musisz oddać milion, nic na tym nie zarobisz, prawda?

- Milion dostanę za samo przewiezienie towaru do

Nicei. Reszta będzie dla mnie.

- Ben nic nie dostanie?

- Odwdzięczę mu się.

- A ja? - spytała. - Czy nie ponoszę ryzyka?

- Nie dowiesz się, co jest w walizkach, Reet. Dopilnuję tego.

- Jeśli nakryją Bena i spytają, skąd ma towar, powie, że ode mnie. Zna mnie lepiej niż ciebie i mi ufa. Powie im o mnie.

Cisza.

- Ben wie, że ma zawieźć coś mojemu znajomemu, który mieszka we Francji.

Cisza.

- Wie, że to ode mnie, Reet.

- Ale ja też jestem w to zaplątana. Ben nie umie kłamać.

Nie możemy na niego liczyć. Powie im o mnie i o tobie.

Johnston uciął dyskusję:

- Powiedz mi coś. Zastanawiasz się czasem nad swoim życiem, Reet? Mówiłaś, że chciałaś coś zmienić. Jeśli mi pomożesz, twoje życie się zmieni na lepsze.

- Odwdzięczysz mi się, tak jak Benowi?

Johnston pochylił się do przodu i przegarnął ręką dym z papierosa. Kiedy zwrócił się do niej, Rita poczuła, że mówi z głębi serca.

- Znamy się długo, prawda, Reet? Trzy lata? Czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

- Nie.

- No więc?

Johnston wciąż siedział pochylony do przodu, był pijany, na jego twarzy malowała się

desperacja. Miał zaczerwienione oczy - od dymu? Od łez?

- To takie ryzykowne - powiedziała Rita.

- Muszę zaryzykować, Reet. Jeśli mi się uda, będę czysty przez resztę życia.

Dziewczyna położyła się na łóżku, wyprostowała nogi i spojrzała na Johnstona. Nie była pewna, komu bardziej współczuje - Johnstonowi, który, podobnie jak ona, chciał zmienić swoje życie na lepsze, który robił na ludziach wrażenie, ponieważ przypominał Humphreya Bogarta, poza momentami, kiedy się upijał - czy Benowi, którego narazali na niebezpieczeństwo, żeby ocalić Johnstona.

Kiedy zaczęła się nad tym zastanawiać, doszła do wniosku, że więcej zawdzięcza Johnstonowi; to Johnston był jej facetem, nie miała nikogo innego. To prawda, był dla niej dobry. Miał rację, mówiąc, że Rita nienawidziła swojego życia; kilka razy myślała o samobójstwie. Lepiej sama to zrobić, zanim załatwi mnie jakiś maniak seksualny.

Wiedziała, że wkrótce i tak będzie musiała zrezygnować z pracy. Miała kłopoty ze zdrowiem i brzydką skórę.

Kiedy nie farbowała włosów na srebrny blond, miała na głowie czarne, tłuste strąki, wystarczyło ich dotknąć, żeby stwierdzić, że jest chora. Kiedy nie była umalowana i wystrzałowo ubrana, wystarczyło, żeby spojrzała na swoje odbicie w lustrze - i jak najszybciej nakładała makijaż.

Jeśli złapią Bena i zaaresztują mnie, pomyślała, i tak nie będzie mi gorzej niż teraz. Postanowiła pomóc Johnstonowi. Była gotowa zrobić wszystko, o co prosił.

Johnston wyjaśnił Benowi, co będzie się działo na lotnisku. Kiedy skończył, Rita powtórzyła mu to kilka razy.

Wszystko zależało od „przyjaciela” Johnstona. „Poznałem go w więzieniu, Reet. To równy gość”. Znajomy Johnstona miał polecieć z Benem samolotem do Nicei i opiekować się nim na miejscu.

- Ile mu płacisz?

- Dużo. Muszę zapłacić za ubrania Bena, walizki, przelot samolotem, paszport - to kosztuje sto funtów. Poza tym płacę Richardowi i za hotel. Ale to nic w porównaniu z tym, co zarobimy.

- Nie wydaj wszystkiego, zanim nie dostaniesz tych pieniędzy.

- Posłuchaj, Reet. Pewnie myślisz, że mi odbiło, ale się uda. Zobaczysz.

- Wszystko zależy od szczęścia - powiedziała Rita.

- Na lotnisku mają psy, które potrafią wykryć narkotyki, one sprawdzają bagaż.

- Czasem. Ale nie będą się przejmować turystami lecącymi do Nicei. To dotyczy także

francuskich specjalistów od wykrywania narkotyków. Przeszukują pasażerów z Kolumbii i Wschodu. Nikt nie zwróci uwagi na niewinny samolot z Londynu.

Rita nie wiedziała jednej rzeczy. Johnston zamierzał ukryć narkotyki w trzech torbach: największa, wypełniona torebkami z kokainą, przykrytymi ubraniami, miała być nadana na bagaż, w drugiej miały się znaleźć rzeczy Bena, trzecią chłopak miał zabrać ze sobą do samolotu. Kiedy Rita dowiedziała się, że Johnston zamierza włożyć torebki z narkotykiem, prawdopodobnie z heroiną, do bagażu podręcznego Bena, zaczęła krzyczeć, nawet rzuciła się na niego, ale Johnston chwycił ją za ręce.

- Przecież wiesz, że niektórym pasażerom przeszukują bagaż podręczny. Mogą wybrać Bena.

Johnston zaczął ją uspokajać, obiecał, że nie zrobi tego, jeśli Ricie nie podoba się pomysł, ale w rzeczywistości nie zamierzał dotrzymać słowa: Ben miał wsiąść do samolotu z torbą pełną narkotyków.

- To szaleństwo - powtarzała Rita. - Biedny Ben. To takie okrutne. Spróbuj go sobie wyobrazić w więzieniu.

- Ben jest dziwołagiem i dlatego właśnie się uda.

I udało się. Przez pewien czas Johnston i Rita nie byli w stanie uwierzyć, że wszystko się nagle zmieniło; różnica między ich obecnym a poprzednim życiem była oszałamiająca. Johnston nie był głupi, nie pozwolił, żeby na jego konto wpływały wielkie sumy, ale w ciągu następnych kilku miesięcy wszedł w posiadanie fortuny. Dał Ricie tyle pieniędzy, żeby starczyło na zakup restauracji w Brighton, która wkrótce zaczęła przynosić dochody. Dziewczyna mogła wyjść za mąż, ale tego nie zrobiła. Johnston odwiedzał ją czasami; spotkania te stały się dla nich ważne, oboje wiedzieli, jak niewiele brakowało, żeby resztę życia spędzili w więzieniu.

Johnston dowiedział się z programu telewizyjnego, że zubożali (i cyniczni?) arystokraci sprzedają tytuły i prawo do ziemi. Było go na to stać. Został lordem i właścicielem posiadłości, ale wkrótce zaczął się nudzić; stwierdził, że popełnił błąd. Nie lubił bezczynności. Kupił ekskluzywną firmę wynajmu samochodów obsługującą bogaczy i sławnych ludzi głównie z okolic Londynu. Zatrudnił takich ludzi, wobec których dawniej czułby się niewiele wart. Korzystał z życia, uwielbiał swojego rollceroycea i mercedesa, wzbudzał powszechny szacunek. Jego dzieci chodziły do dobrych prywatnych szkół. Można więc powiedzieć, że ta część naszej opowieści ma szczęśliwe zakończenie.

Rano, tego dnia, kiedy wszystko miało się rozegrać, Rita pomogła Benowi ubrać się w koszulę uszytą na zamówienie i elegancką marynarkę. Johnston stał z boku i nadzorował.

Kiedy wsadził Bena do jednej z taksówek i udzielił kierowcy instrukcji, Rita zaczęła płakać. Ostatnie pytanie, jakie Ben zadał, brzmiało:

- Kiedy wrócę do domu?

- Zobaczymy - odparł Johnston.

Rita odwróciła twarz; nie chciała, żeby Ben zobaczył, jak bardzo czuje się winna.

Chłopak pozwolił się zawieźć na Heathrow, chociaż czuł się źle. Taksówkarz zostawił samochód na parkingu i znalazł wózek, na którym postawił trzy torby: czarną, czerwoną i niebieską. Zaprowadził Bena do stanowiska kontroli dla pasażerów pierwszej klasy, pokazał paszport chłopaka i odebrał go razem z karteczką z numerem miejsca. Kiedy spytano chłopaka, czy przewozi zakazane towary i czy sam spakował torby, taksówkarz trącił go łokciem. Rita tłumaczyła Benowi wielokrotnie, że na to pytanie ma odpowiedzieć: tak, sam pakował bagaż.

Chłopak przypomniał sobie o tym po chwili wahania.

Urzędniczka przeczytała w paszporcie Bena, że jest aktorem.

Sprawdzając torby chłopaka i karteczkę z numerem miejsca, przyglądała mu się uważnie. Ale Bena nie zbiło to z tropu, ludzie często patrzyli na niego w ten sposób. Taksówkarz, Nigeryjczyk, któremu dobrze zapłacono, odprowadził Bena do ruchomego chodnika, wręczył mu niebieską torbę, którą chłopak miał zabrać do samolotu, paszport, karteczkę z numerem miejsca i powiedział:

- Przejdź tędy.

Kiedy Ben zawahał się, mężczyzna pchnął go lekko.

Patrzył, jak chłopak się oddala; o wszystkim miał potem opowiedzieć Johnstonowi.

Kiedy Ben został sam, ogarnęło go przerażenie; od wszystkich rzeczy, które próbował zapamiętać, szumiało mu w głowie. Pokazał urzędnikowi karteczkę z napisem miejsca, mężczyzna zerknął na nią i zaczął się przyglądać Benowi. Odwrócił wzrok dopiero, kiedy do kontuaru podszedł następny klient. Zbliżał się trudny moment.

Rita i Johnston tłumaczyli Benowi wiele razy, co ma robić.

Chłopak zobaczył czarną skrzynkę z otworem, który zakrywały zwisające paski. Wiedział, że musi położyć tam torbę i poszukać metalowej poprzeczki w kształcie łuku. Będzie musiał pod nią przejść, a potem urzędnik przeszuka go, zajrzy mu do kieszeni i obmaca mu uda.

- Po co? - dopytywał się Ben.

- Żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku - wyjaśnili mu Rita i Johnston.

Słowo „pistolet” przestraszyłoby chłopaka. Rita najbardziej bała się tego momentu,

wiedziała, że Ben reagował na dotyk w sposób nieoczekiwany.

Chłopak zobaczył przed sobą maszynę. Wyglądała tak niebezpiecznie, że miał ochotę odwrócić się i uciec, ale wiedział, że musi iść dalej. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Ben stał nieruchomo, ściskając torbę, zupełnie bezradny aż do chwili, gdy podszedł do niego obcy mężczyzna.

- Trzeba położyć bagaż w tym miejscu - powiedział.

Ben ani drgnął. Mężczyzna wziął od niego torbę i włożył ją do maszyny. Nieznajomy przeszedł pierwszy pod poprzeczką, ponieważ chłopak zawahał się; dzięki temu Ben zobaczył, co ma zrobić.

W tym czasie jego bagaż był prześwietlany. Pod warstwą ubrań, między papierowymi paczkami ze strasznym białym proszkiem, leżały metalowe przybory kosmetyczne: nożyczki, pilnik, maszynki do strzyżenia i golenia. Wszystkie metalowe rzeczy widać było na ekranie. Nadszedł kluczowy moment, nieszczęście było na wyciągnięcie ręki, spadłoby na Bena, a także - gdyby nie przypomniał sobie, że nie wolno mu mówić o Ricie i Johnstonie - na nich.

Dziewczyna siedząca przy maszynie do prześwietlania bagażu była skoncentrowana na swojej pracy, ale urzędnik, który miał przeszukać Bena, ledwo go dotknął. Patrzył na ramiona i masywną klatkę piersiową chłopaka, myśląc:

Boże! Co to j e s t? Ben uśmiechał się. Był to grymas przerażenia, ale urzędnik, który widział w swoim życiu wiele gwiazd filmowych, uznał, że uśmiech wyraża typowe dla aktorów zadowolenie z bycia rozpoznanym. Gdyby dotknął Bena, poczułby, że chłopak się trzęsie i jest spocony, ale machnął tylko ręką i pozwolił mu przejść. Teraz Ben miał wyciągnąć torbę z maszyny. Nie wiedział, że nadszedł najbardziej niebezpieczny moment, Rita i Johnston nie powiedzieli mu o ryzyku. Ale szczęście nie opuszczało Bena.

- Czy to pańska torba? - Pytanie to skierowane było nie do Bena, ale do mężczyzny stojącego za nim. Ben stał obok maszyny, uśmiechając się, w końcu, kiedy dotarło do niego, że niebieska torba, która pojawiła się w otworze należy do niego, przypomniał sobie, co ma zrobić, zabrał ją i ruszył w kierunku... Był oszołomiony, oślepiiony, miał mdłości, trząsł się z zimna. Bał się wielkiej przestrzeni pełnej światła, ludzi, sklepów i kolorów, przerażały go ruch i hałas, ale wiedział, że nie wolno mu zapomnieć, nie wolno mu zapomnieć... Miał ochotę zawołać o pomoc, już niemal krzyczał, nagle zobaczył, że macha na niego mężczyzna za kontuarem. Ben zdał sobie sprawę, że trzyma w ręku paszport, jak to się stało? Nie pamiętał...

Ale urzędnik zerknął tylko na dokument spojrzawszy na Bena i pomyślał: Nawet jeśli to gwiazdor filmowy, nie widziałem go w żadnym filmie...

Ben przeszedł przez kontrolę paszportową; nie wiedział, co robić dalej. Powiedziano mu, że znajdzie go znajomy Johnstona, tak, był tam; młody mężczyzna podszedł szybko do Bena, wpatrując się w niego ze strachem.

Stało się coś, czego nie można było przewidzieć, Johnston, gdyby widział tę scenę, zawołałby: „Udało się!”.

Szczęście było przy nim, wkrótce miał wejść w posiadanie kilku milionów funtów szterlingów.

Uczucie ulgi sprawiło, że młody mężczyzna, który miał pilnować chłopaka, dosłownie drżał na całym ciele. Stanął przed Benem, uśmiechnął się i powiedział szybko:

- Jestem przyjacielem Johnstona. Mam na imię Richard.

- Zimno mi - powiedział Ben. - Chcę założyć sweter.

Postawił torbę i spróbował ją rozpiąć; dopiero po chwili zauważył kłódkę.

- Gdzie jest klucz? Dlaczego torba jest zamknięta?

Richard Gaston (mężczyzna miał wiele różnych imion i nazwisk w swoim życiu) przyплыł do Londynu poprzedniego dnia statkiem z Calais; kilka godzin spędził z Johnstonem, który udzielił mu instrukcji dotyczących tego dnia i pobytu w Nicei. Przyjechał na lotnisko metrem i obserwował z pewnej odległości Bena i taksówkarza przy stanowisku kontroli. Sprawdzono mu paszport w okienku dla pasażerów lecących klasą ekonomiczną.

Czekając na Bena, upajał się swoją rolą i myślał, że znaczy nie mniej niż sam Johnston, który był taki mądry. Richard, podobnie jak Rita, nie wierzył, że się uda, ale teraz jego wątpliwości się rozwiały.

Ben kucnął i próbował otworzyć zamek, szarpiąc za kłódkę. Gdyby chciał, mógłby z łatwością rozerwać torbę.

Richard wyobraził sobie, jak torebki wysypują się na podłogę i podchodzą do nich strażnicy...

- Zimno mi - powiedział Ben.

Było ciepłe popołudnie, a chłopak miał na sobie koszulę, bardzo elegancką zdaniem Richarda, i kurtkę.

- Nie przesadzaj - powiedział niezbyt roztropnie Richard.

- Chodź. Na razie wszystko idzie jak z płatka. Trzeba wsiąść do samolotu. Nie marudź.

Richard gwałtownie odsunął się od Bena, który miał taką minę, jakby chciał zacisnąć swoje muskularne dłonie wokół jego szyi... Chłopak był rozjuszony.

- Chcę założyć sweter! - krzyknął. - Chcę mój sweter!

Richard był przerażony, ale się opanował. Powiedziano mu wcześniej, że Ben zachowuje się czasem dziwnie... że ma humory... że trzeba umieć do niego dotrzeć... że jest trochę nieokrzesany. „Ale on zdaje sobie sprawę, co się dzieje dookoła niego. Nie traktuj go jak głupka”.

Richard nie rozumiał, dlaczego Johnston poświęcił tyle czasu na opisanie nastrojów Bena. Tego nie można nazwać „złym humorem”, pomyślał i zaczął rozglądać się niepewnie dookoła. Czy ktoś na nich patrzył? Wiedział, że jeśli Ben będzie krzyczał, ludzie zwrócą na nich uwagę.

Jeśli ten zamek puści, jeśli ta mała kłódka się otworzy...

- Posłuchaj, przyjacielu - zaczął Richard. - Spóźnimy się. W samolocie poczujesz się lepiej. Dadzą ci koc.

Ben wstał, przewracając torbę. Richard nie wiedział, że do Bena dotarło słowo „koc”. Stara kobieta mówiła często: „Owiń się kocem, Ben. Kaloryfery słabo dziś grzeją”.

Richard zauważył, że coś się zmieniło: chłopak nie dyszał już żądzą mordy.

- Johnston zmartwiłby się, gdybyś teraz zawałił sprawę - dodał Richard, czując, że odzyskał kontrolę nad sytuacją.

- Jesteś dzielny, Ben. Poradziłeś sobie. Jesteś niesamowity.

Tym razem było to słowo „dzielny”.

Ben podniósł torbę i ruszył za Richardem. Szli korytarzami, jechali ruchomym chodnikiem, w końcu dotarli we właściwe miejsce: znaleźli się w tłumie ludzi, którzy wkrótce mieli wsiąść do samolotu. Podeszli do kontuaru i Ben uświadomił sobie, że trzyma w ręku paszport i karteczkę z numerem miejsca. Nowy znajomy wetknął mu je do ręki chwilę wcześniej; kiedy się kłócili i Ben szarpał zamek torby, paszport i karteczka z numerem miejsca upadły na podłogę. Potem ruszyli przed siebie, zeszli na dół, weszli pod górę, i w końcu stanęli przed drzwiami. Uśmiechnięta kobieta skierowała ich do części samolotu dla pasażerów lecących pierwszą klasą. Ben stał bezradnie między fotelami. Richard wziął od niego torbę i - wsadził ją do przegródki, czuł się tak, jakby trzymał węża. Obiecał Johnstonowi, że nie dotknie torby, a jeśli zaczną go wypytywać, powie, że nic o niej nie wie. Ale teraz to wszystko wydawało się bez sensu. Chłopak siedział w fotelu przypięty pasami. Richard zamierzał poprosić o koc i wyjaśnić Benowi, że startują, że zobaczą chmury pod sobą, a potem... Chłopak zasnął.

Co za ulga, pomyślał Richard.

Ben obudził się dopiero, kiedy wylądowali i ludzie zaczęli wysiadać. Był zaspany i jakby nie poznawał Richarda. Wstał, ale nie pamiętał o torbie w przegródce.

Richard wyciągnął ją i zaniósł do sali, gdzie znajdowała się ruchoma taśma z bagażami. Czarna torba z niebezpiecznym towarem pojawiła się niemal od razu; po chwili zobaczyli czerwoną torbę z rzeczami Bena.

- Kiedy wsiądziemy do samolotu? - spytał Ben. Był pewien, że podróż będzie przypominać lot nad Londynem, który odbył razem z Johnstonem.

Richard nie odpowiedział; przed nimi znajdowała się ostatnia przeszkoda - celnicy. Ale nikt nie zwrócił na nich uwagi. Po chwili byli na słońcu, a potem, wraz z bagażami, w taksówce. Richard siedział z zamkniętymi oczami, roztrzęsiony. Mimo że podziwiał plan Johnstona, dobrze wiedział, że uratował ich tylko przypadek. Chciało mu się spać; dobrze rozumiał Bena, który zasnął w samolocie, zmęczony napięciem. Chłopak milczał. Słońce, które odbijało się od fal morskich, raziło go w oczy - z początku nie mógł zrozumieć, czym jest ta wielka niebieska przestrzeń, która w niczym nie przypominała morza w Anglii. Było mu niedobrze: nie znośił jeździć samochodem. Po pewnym czasie wysiedli i znaleźli się na ulicy pełnej ludzi. Richard zaprowadził Bena do stolika, usiadł i popchnął krzesło w kierunku chłopaka. Ben niepewnie zajął miejsce, przekonany, że to pułapka; bał się, że krzesło pochłonie go niczym ogromne szczęki.

Było wczesne popołudnie. Siedzieli w cieniu, pod parasolem, ale Bena raziło słońce. Miał na wpół przymknięte oczy. Przyszedł kelner; Richard zamówił kawę, Ben miał ochotę na sok pomarańczowy, nie cierpiał kawy. Kelner przyniósł ciastka. Chłopak nie lubił ciastek, więc zjadł je Richard. Siedzieli w milczeniu, Ben zerkał na boki i próbował się zorientować, co się dzieje dookoła. Na ulicy panował ruch, w kawiarni było mnóstwo ludzi, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Nagle obok stolika pojawił się mężczyzna.

- Czarna i niebieska - powiedział mu Richard.

Ben patrzył, jak mężczyzna, podobny do zjawy z błyszczącego hałaśliwego świata, znika w taksówce z dwiema torbami. Tylko Ben i Richard widzieli mężczyznę. Przechodnie, klienci siedzący w kawiarni i ci, którzy przejeżdżali ulicą, nie zwrócili najmniejszej uwagi na dwie torby jedną wielką, drugą normalnych rozmiarów, których zawartość miała wkrótce stać się częścią płynącej przez świat zatrutej rzeki. Chłopak był zdezorientowany. Myślał, że jego rzeczy są w niebieskiej torbie, którą włożył do maszyny i pokazał celnikom, ale okazało się, że zostały spakowane do czerwonej torby. Powoli zaczął sobie uświadamiać, że ludzie siedzący dookoła mówią w języku, którego nie rozumiał. Rita wytłumaczyła mu, że w tym kraju mówi się po francusku. Powiedziała Benowi, żeby się nie przejmował, że zajmie się nim znajomy Johnstona, Brytyjczyk, który mówi po angielsku. A jednak chłopak czuł się nieswojo, siedząc przy stoliku w obcym kraju i nie rozumiejąc, co się dzieje dookoła. Przecież

Richard odezwał się po angielsku do mężczyzny, który zabrał torby, i tamten go zrozumiał. W taksówce Richard rozmawiał z kierowcą po francusku. Ben poczuł, że znowu ogarnia go zmęczenie.

- To by było na tyle - powiedział Richard. Chciał w jakiś sposób wyrazić radość, że wszystko się udało, chociaż wiedział, że chłopak nie zdaje sobie sprawy, co się wydarzyło.

- Zabiorę cię do hotelu - dodał po chwili.

Rita i Johnston zastanawiali się wcześniej, w jakim hotelu umieścić Bena. Rita uważała, że to powinien być tani hotel, w którym ludzie będą przyjaźni - tak jak ona.

- Nie, zamieszka w dobrym hotelu - powiedział Johnston. - Będą tam mówili po angielsku. W tanim hotelu mówią tylko po francusku.

- Ben nie będzie wiedział, jak się zachować w dobrym hotelu - powiedziała Rita.

Ale nie miała racji. Wszystko poszło gładko. Ben musiał się tylko podpisać w hotelowej recepcji, gdzie ludzie uśmiechali się do niego, ponieważ był gwiazdą filmową, patrzyli za nim z uśmiechem, kiedy Richard odprowadzał go do windy. Ben zawahał się - bał się windy, ale Richard wepchnął go do środka. Wjechali na drugie piętro, trwało to tylko chwilę. Kiedy weszli do pokoju, chłopak poczuł się lepiej. Pokój przypominał mu dzieciństwo, dom rodzinny - tak bardzo, że podszedł do okna, by sprawdzić, czy są w nim kraty. Wyjrzał na zewnątrz: pokój znajdował się niżej niż mieszkanie pani Biggs w Mimosa House na Halley Street. Ben zaczął chodzić po pokoju, uśmiech zniknął z jego twarzy. Richard usiadł na krześle i przyglądał mu się, pewien, że wszystko pójdzie łatwo. Pokazał chłopakowi łazienkę i wytłumaczył mu, jak działa prysznic i klimatyzacja. Potem powiedział, że musi wyjść; obiecał, że niedługo wróci i zabierze Bena na kolację.

Kiedy wychodził, chłopak siedział na krześle i patrzył przez otwarte okna na rozgrzane błękitne niebo.

Richard zadzwonił do Johnstona i powiedział tylko:

- W porządku, wszystko gra.

Johnston pobiegł na górę do Rity i natychmiast zaczął snuć fantazje, że zrobią to jeszcze raz: ściągnie z powrotem Bena i znowu dokonają cudu. Rita sprowadziła go na ziemię.

- Przestań, Johnston. Masz szczęście, że się udało.

Kiedy Richard wrócił, Ben stał pod prysznicem, chlapiąc wodą i krzycząc. Wydawał się szczęśliwy, ale gdy wyszedł z łazienki, żeby się wytrzeć i ubrać, spytał:

- Kiedy będę mógł wrócić do domu?

Richard zabrał Bena do eleganckiej restauracji, głównie dlatego, że sam chciał się

porządnie najęść; zamierzał wykorzystać okazję. Ale równie dobrze mógł go zaprowadzić do McDonalda. Chłopak wypił sok, powiedział, że jest głodny, i zjadł dużego steka. Nie tknął sałatki i frytek. Po chwili oznajmił, że chce jeszcze jeden kawałek mięsa. Po kolacji poszli na spacer nad morze, potem Richard zabrał Bena do innej kawiarni i na występy z tańcami i śpiewem. Richard nie był pewien, co Ben o tym wszystkim sądzi: zgadzał się na wszystko, ale widać było, że największą przyjemność sprawia mu jedzenie.

W hotelu Richard dał Benowi trochę pieniędzy i powiedział:

- To na wszelki wypadek, pewnie nie będziesz ich potrzebować. Przyjdę jutro rano.

Richard miał zadbać o to, żeby chłopak zaczął funkcjonować normalnie w nowej rzeczywistości. Umieścił gruby plik banknotów w sejfie hotelowym zarejestrowanym na nazwisko Bena. Wiedział, że gdyby chłopak nosił przy sobie pieniądze, ukradziono by mu wszystko w ciągu jednego dnia.

Układając program rozrywek dla Bena, Richard myślał tak naprawdę o sobie: właśnie dlatego wynajął samochód i zabrał chłopaka na przejażdżkę po miasteczkach leżących na wzgórzach niedaleko Nicei. Benowi było niedobrze.

Czasem mijali jakiś uroczy placyk albo restaurację, ale chłopak nie chciał siedzieć na zewnątrz, nawet w cieniu zamykał oczy. Było oczywiste, że powinien nosić okulary przeciwsłoneczne; Ben przymierzał w Nicei ciemne okulary, ale żadne mu nie odpowiadały. Richard zabrał go do okulisty, który zbadał chłopakowi wzrok i zadał Richardowi mnóstwo pytań, zerkając niepewnie na pacjenta. W końcu oznajmił, że Ben ma „nietypowe” oczy i trudno będzie znaleźć coś odpowiedniego. W końcu jednak chłopak znalazł okulary, które mu się podobały. Kiedy je założył, ludzie gapili się na niego bardziej niż dotychczas; zdenerwowany powtarzał: „Gdzieś indziej. Nie tu. Tu mi się nie podoba”.

Kiedy przechodzili obok witryny, w której odbijały się ich twarze, Ben pochylił się do przodu i zaczął się przyglądać swojemu odbiciu.

- Nie ma oczu - wyjaśnił. - Nie ma oczu. Moje oczy zniknęły.

Zdjął okulary, na jego twarzy malowało się przerażenie.

- Ben, spójrz na mnie. Ja też nie mam oczu.

Richard zdjął okulary, pokazał Benowi swoje oczy i założył okulary z powrotem. Chłopak powoli go naśladował. Wciąż jednak patrzył na swoje odbicie. Wyglądał zupełnie inaczej niż w Londynie: ubrany w elegancką lnianą marynarkę, miał podcięte włosy i ciemne szkła zamiast oczu.

Richard zrezygnował z wycieczki po wybrzeżu i zaczął się zastanawiać, jak rozerwać Bena. W jaki sposób chłopak lubi spędzać czas? Sprawiał wrażenie zadowolonego, kiedy

spacerowali albo siedzieli w kawiarni, gdzie ludzie leniuchowali i rozmawiali. Chłopakowi podobało się, że są swobodni i beztroscy, ale Richard o tym nie wiedział.

Porównywał Bena do siebie z przeszłości, zastanawiał się, czy chłopak boi się, że ktoś go śledzi. Ben lubił spacerować nad brzegiem morza. Patrzył na statki, które pojawiały się, odpływały i znikwały w oddali.

- Dokąd one płyną? - pytał Richarda.

- O czym ty mówisz?

- Dokąd płyną statki?

- W różne miejsca. Niektóre opływają cały świat.

Ben patrzył na niego z niedowierzaniem.

Lubił jeść, lubił steki i owoce - jadł wyłącznie steki i owoce. Potrafił usiąść w kawiarni przy stoliku i zamówić to, co chciał; w hotelu też radził sobie nieźle. Posyłał ubranie do pralni, chodził do fryzjera hotelowego, który golił go i strzygł. Któregoś wieczoru Richard zabrał Bena na striptease. Chłopak tak się podniecił, że zaczął krzyczeć i Richard musiał go uciszać. Ben chciał wrócić tam następnego wieczoru, obiecał, że będzie zachowywać się spokojnie. Ale kiedy na scenę wyszły nagie dziewczęta przystrojone w pióra i cekiny, zapomniał o obietnicy i trzeba go było trzymać. Richard bał się, że chłopak wbiegnie na scenę i rzuci się na jedną z dziewczyn.

Jaki w rzeczywistości był Ben? Spał w łóżku, jak inni ludzie, używał noża i widelca, dbał o ubrania, czyścił brodę i strzygł się u fryzjera, a jednak różnił się od innych.

Podczas tego tygodnia mieszkańcy starego portu, przyzwyczajeni do kryminalistów i poszukiwaczy przygód obserwowali uważnie Richarda. Doszli do wniosku, że ten przystojny młody człowiek, który sprawiał wrażenie groźnego nawet kiedy się uśmiechał i w rzeczywistości był starszy niż się wydawał, to lokalny mafiozo. Ale nie mieli pojęcia, kim jest Ben. Zaczynali rozmowę pod byle pretekstem i pytali: „Kto to jest?” albo „Czym on jest?”.

Richard, dumny z tego, że nauczył się łatwo ich splawiać, odpowiadał:

- To gwiazdor filmowy.

I dodawał:

- Jest sławny. To Ben Lovatt.

Pod koniec tygodnia Richard zadzwonił do Johnstona i powiedział, że Ben sam nie daje sobie rady. Chciał zostać z nim jeszcze tydzień. Johnston nie wiedział jeszcze, jak idealnie wszystko się układa. Na razie na jego konto wpłynęła pierwsza rata. Następna miała nadejść później - tak, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Johnston nie chciał zapłacić Richardowi za kolejny tydzień, jego wspólnik i tak dostał mnóstwo pieniędzy - dwieście pięćdziesiąt

tysięcy funtów, co dla Johnstona już wkrótce miało być niewielką sumą. Richard zaczął udowadniać współnikowi, że wylądowałby w więzieniu na wiele lat, gdyby na lotnisku nakryła ich policja. Johnston odparł, że nikt nie został aresztowany, przypomniał współnikowi, że wszystko skończyło się dobrze.

- Ale mogłem wpaść - zaprotestował Richard. Chciał następne ćwierć miliona. - Beze mnie twój plan by się nie udał.

- Mogłem zatrudnić kogoś innego do odwalenia brudnej roboty - powiedział Johnston. Nie zamierzał ulegać Richardowi, który najwyraźniej próbował go szantażować.

Obaj wiedzieli, że rozmowa przez telefon jest niebezpieczna: co prawda Johnston był w biurze u znajomego, ale policja mogła ich namierzyć.

- Po co chcesz tam siedzieć jeszcze tydzień? - spytał

Johnston.

- Chcesz, żeby go aresztowali? - powiedział Richard.

- Ben robi, co mu każę. Z inną osobą zachowywałby się podobnie, prawda?

Richard stał na ulicy, gdzie było bardzo głośno, i krzyczał do słuchawki. Johnston, który był w cichym biurze w Brixton, stracił panowanie nad sobą i zaczął wykrzykiwać polecenia; najważniejszym było to, że jeśli Ben zechce wrócić do domu, nie może się dowiedzieć, jak znaleźć Richarda, jego i Ritę. W końcu zgodził się zapłacić za następny tydzień.

Richard powiedział Benowi, że mają jeszcze tydzień wakacji.

- A potem wrócimy do domu? - spytał chłopak.

- Dlaczego chcesz wracać? Nie podoba ci się tu?

Dla Richarda wybrzeże było symbolem piękna i luksusu.

Pochodził z miasta w północnej Anglii, miał straszną przeszłość: można powiedzieć, że był urodzonym przestępcą. Podobnie jak Johnston przebywał w zakładzie dla nieletnich, a potem w więzieniu. Spotkanie z Johnstonem było najszcześniejszą rzeczą, jaka mu się kiedykolwiek przytrafiła. Traktował swojego współnika z nabożnym podziwem, gotów zrobić dla niego wszystko.

To Johnston wysłał go na wybrzeże w sprawie negocjacji dotyczących mercedesa. Richard przyjechał do Francji bez papierów, ale udało mu się i został. Nowy tryb życia, a szczególnie przesiadywanie w kawiarniach i restauracjach, słońce i niebo nad wybrzeżem, wszystko to wydawało mu się obietnicą szczęścia. Wcześniej klepał biedę, ledwo starczało mu na jedzenie, ale warto było cierpieć, żeby zamieszkać w takim miejscu.

A teraz poznał Bena, który lubił siedzieć w cieniu i chciał wracać do Londynu.

Richard nawet sobie nie wyobrażał, jak bardzo chłopak tęsknił za domem.

Pewnego wieczoru podczas drugiego tygodnia, po tym jak Richard zostawił go w hotelu, Ben wybrał się na spacer.

Chodził ulicami miasteczka, wspinając się coraz wyżej i wyżej po schodach. Nagle się zatrzymał. W drzwiach jednego z domów stała dziewczyna i uśmiechała się do niego. Była pewna, że Ben jest Anglikiem. Znała kilka słów po angielsku i powiedziała Benowi, jaką ma stawkę. Odwróciła się i weszła do pokoju. Chłopak nie miał przy sobie wystarczającej ilości pieniędzy; dziewczyna zażądała więcej niż Rita. Ben miał nadzieję, że dziewczyna będzie dla niego tak dobra, jak Rita. W pokoju dziewczyna przyjrzała się Benowi: podobnie jak Rita była pod wrażeniem muskularnych ramion i bijącej od niego siły. Odwróciła się, żeby zdjąć spódnicę i poczuła jego ręce na ramionach. Ben zmusił ją, żeby się pochyliła i wbił jej zęby w szyję. Dziewczyna wyrwała mu się. „Cochon”, zawołała. Nazwała go zwierzęciem, świnia.

„Beté, krzyknęła i wypchnęła go za drzwi. Powiedziała, żeby nigdy więcej nie wracał.

Ben poszedł ulicą, która prowadziła w dół i wrócił do hotelu. Myślał o tym, że chciałby znaleźć kogoś takiego jak Rita: potrzebował miłej, czulej kobiety.

Richard powiedział mu, że za trzy dni zostanie sam.

Było mu przykro, nie chciał zostawiać Bena samego, nie tylko dlatego, że oznaczało to koniec łatwych pieniędzy.

Richard polubił tego... - kimkolwiek był Ben. Wiedział, że chłopak prędzej czy później napyta sobie biedy, ponieważ nie potrafi zrozumieć, co jest dla niego niebezpieczne, a co nie jest.

Chłopak oznajmił, że wraca do Londynu. Był pewien, że jeśli będzie mieć paszport i pieniądze, recepcjonistki zarezerwują mu bilet lotniczy: widział, jak inni goście hotelowi załatwiali swoje sprawy w ten sposób.

Ben chciał zobaczyć się z Johnstonem. Przecież wyświadczył Johnstonowi przysługę. „Robisz coś dla mnie, Ben. Wyświadczasz mi przysługę. Będę ci bardzo wdzięczny”. Te słowa podziałały na niego tak jak słowa starej kobiety: „Dobry z ciebie chłopak, Ben”.

Ben czuł sympatię do Johnstona, był pewien, że ucieszy się z jego powrotu. Ale Richard powiedział:

- Nie rozumiesz, Ben. Johnston wyjechał.

- Jak to? Dokąd?

- Wyjechał. Już nie pracuje w firmie z taksówkami.

Nawet jeśli nie była to prawda, to wkrótce tak miało się stać. Johnston powiedział: „Nie chcę, żeby Ben tu wracał. Zresztą niedługo wyjeżdżam. Rita już wyjechała. Powiedz mu

to. Powiedz mu, że Rita wyjechała”.

Richard powtórzył wszystko Benowi. Na twarzy chłopaka malowała się rozpacz, a może było to przygnębienie.

Bena ogarnął strach, czuł ból. Miał tylko jednego prawdziwego przyjaciela - Ritę, tylko u niej czuł się bezpiecznie. Ale Rita wyjechała.

Później przypomniał sobie o starej kobiecie. Mógł do niej wrócić. Miał trochę pieniędzy, wiedział, że staruszka ucieszy się z jego powrotu. Będzie mógł jej dawać pieniądze na jedzenie.

Powiedział Richardowi, że pojedzie do znajomej, pani Biggs. Znalazł w portfelu karteczkę, którą od niej dostał.

- Widzisz - powiedział. - Ona tam mieszka.

- Gdybyś miał jej numer, mógłbyś do niej zadzwonić.

- Ona ma telefon - powiedział Ben. - Wszyscy mają telefon.

Richard się zamyślił. Jeśli Ben wróci do Londynu, do pani Biggs, nie będzie wchodził w drogę Johnstonowi.

Poprosił chłopaka, żeby zaczekał przy stoliku w kawiarni i poszedł zadzwonić. Kochał Francję, a ściślej - wybrzeże, opanowanie francuskiego nie stanowiło więc dla niego problemu. Mimo to miał trudności z przekonaniem kobiety w centrali telefonicznej, że pani Biggs naprawdę mieszka pod adresem, który podał, i że posiada telefon.

W końcu dodzwonił się do centrali telefonicznej w Anglii.

Powiedziano mu, że pod wskazanym adresem nie mieszka pani Biggs. Richard poprosił, żeby połączono go z mieszkaniem numer jedenaście w Mimosa House. Odebrała kobieta, która poinformowała go, że pani Biggs już tam nie mieszka. Umarła w szpitalu.

Richard powiedział Benowi, że pani Biggs nie żyje.

Chłopak siedział nieruchomo i wpatrywał się w niego w milczeniu. Richard wiedział, że Ben się zmartwił, chciał go pocieszyć. Zaproponował, żeby zjedli lunch i poszli na spacer.

Ben był tak zdruzgotany, że nie mógł mówić, nie miał ochoty na jedzenie, mógł tylko siedzieć bez ruchu. Richard nie zdawał sobie sprawy, w jakim chłopak jest stanie.

Rozpacz, którą Ben wtedy poczuł, miała go już nigdy nie opuścić.

Dotarło do niego, że w całym Londynie, w całym kraju nie było ani jednej osoby, która ucieszyłaby się na jego widok. Przypomniał sobie pokój pani Biggs, gdzie przeżył tyle szczęśliwych chwil, opiekując się staruszką. Potem pomyślał o Ricie, która była dla niego taka miła, potem o swoim domu. Ale kiedy pomyślał o matce, przypomniał sobie scenę w parku, zobaczył, jak matka uderza dłonią o ławkę i Paweł siada obok niej. Paweł... Przed

oczyma Bena zamajaczyła twarz znieawidzonego brata, poczuł żądzę zabijania.

Nie był w stanie myśleć o matce.

Po pewnym czasie Ben podniósł się z krzesła, Richard namówił go na spacer. Szli brzegiem morza, ale chłopak niczego nie dostrzegał. Serce krwawiło mu z żalu, czuł obezwładniający smutek. Miał ochotę położyć się na chodniku, wśród przechodniów, którzy rozmawiali i się śmiali.

Powiedział Richardowi, że chce się położyć.

Następnego dnia Richard, który miał zapasowy klucz do pokoju Bena, wszedł na górę i otworzył drzwi. Chłopak leżał skulony na łóżku, miał otwarte oczy i się nie ruszał.

Ben, przyzwyczajony do spełniania poleceń Richarda, wstał, ponieważ Richard powiedział, że musi; zjedli coś, a potem poszli na spacer. Przez cały czas chłopak nie odezwał się ani słowem.

A teraz Richard miał opuścić Bena: nadszedł moment rozstania. Richard krzątał się i udzielał chłopakowi rad.

- Będziesz pamiętał, jak się to robi? Przypomnij sobie, co robiliśmy razem, i wszystko będzie dobrze.

Ben milczał.

Przed wyjazdem Richard poprosił kobietę z recepcji, żeby wypłacano Benowi pieniądze w ratach.

- On jest pod wieloma względami dziecinny - wyjaśnił.

- Nie ma doświadczenia życiowego.

Kiedy Richard przyszedł na górę pożegnać się z Benem, chłopak leżał skulony na łóżku. I nagle ten twardy mężczyzna, który czasem bywał okrutny, poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Jakim prawem Johnston zostawił tego pomyleńca, tego głupka na pastwę losu?

Richard zniknął z życia Bena. Zaczął szukać mieszkania lub domu, w którym mógłby nareszcie żyć jak wolny człowiek, nie jak zaszczuty pies, czekający aż sprawiedliwość go dosięgnie. Być może wzruszył się tak przy rozstaniu z Benem, ponieważ czuł, że ich los jest podobny.

Jego plan się nie powiódł. Za ćwierć miliona funtów można kupić ładne mieszkanie, ale trzeba jeszcze płacić rachunki i mieć pieniądze na jedzenie. Richard wrócił na drogę przestępstwa. Jego historia nie ma szczęśliwego zakończenia.

Ben siedział na łóżku i patrzył przez ciemne okulary na błękitny kwadrat na ścianie. Richard był z nim przez cały czas od przyjazdu, ale wyjechał. Stara kobieta odeszła, Rita i Johnston też. Przedtem żył w innym świecie, nocował na ławkach w parku, na klatkach

schodowych i dworcu. Czasem, kiedy ktoś przechodził obok, Ben czuł, jak przenika go ciepło emanujące z tej osoby.

Nadchodził ranek i ludzie znikali, miał ich nie spotkać już nigdy. Ben czuł się tak, jakby nie miał ciała; wydawało mu się, że potrafi fruwać i przenikać przez podłogę. Ale pokój hotelowy istniał naprawdę: zapłacono za niego i Ben mógł tam mieszkać jeszcze dwa tygodnie. Chłopak wiedział, że może się ukrywać albo wyjść na ulicę, tam, gdzie chodził z Richardem. Był głodny. Richard powiedział mu, żeby w razie trudności korzystał z obsługi hotelowej, ale Ben za każdym razem, kiedy robił coś dla siebie, czuł, że wpada w pułapkę, miał wrażenie, że oplątuje go niewidzialna sieć. Kiedy znalazł się w lobby, odwzajemnił uśmiech kobiety z recepcji i poszedł do kawiarni, lokalu, który znał najlepiej. Kelner przyniósł Benowi to, co zawsze - steka i owoce. Richard nauczył go, jak się płaci rachunek.

Kelner powiedział po angielsku, ile Ben ma zapłacić, i chłopak położył na stole pieniądze, chociaż wiedział, że kelner zażądał więcej niż poprzednio. Potem poszedł na targ. Richard był jak tarcza pomiędzy Benem a jasnym, hałaśliwym światem. Teraz, kiedy chłopak został sam, czuł, że rani go język francuski, pełen tajemniczych znaczeń i gróźb. Ben podszedł do straganu, gdzie kupowali z Richardem owoce. Wskazał na winogrona i brzoskwinie.

Nie rozumiał, co powiedziała sprzedawczyni, wyciągnął więc rękę z pieniędzmi, które natychmiast zniknęły. Ben wywnioskował z zadowolonej miny sprzedawczyni i ze sposobu, w jaki wsunęła pieniądze do kieszeni, że został oszukany. Czuł, że ludzie na niego patrzą, wiedział, że o nim mówią. Usiadł w kawiarni, do której przychodził z Richardem - mógł stąd obserwować ludzi. Po chwili uświadomił sobie, że będzie musiał zamówić sok i zapłacić za niego, wstał więc i wrócił do hotelu. Ogarnęła go panika. Był to najtrudniejszy moment dla Bena. Samotność go przytłaczała: Jesteś sam, jesteś sam. Czuł się zagrożony i miał ku temu wszelkie powody. Richard, który dotychczas go chronił, wyjechał.

Ben wrócił do pokoju. Tamtego wieczoru poszedł do biednej dzielnicy, szukał dziewczyny, ale nie znalazł żadnej.

Zamierzał spróbować znowu następnej nocy. Myślał o Ricie, pamiętał, że była dla niego miła. Zapewne rozpocząłby podróż po wybrzeżu pełną kuszących uśmiechów dziwek i niebezpieczeństw, gdyby nie wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

W recepcji hotelowej, obok lady, stał reżyser filmowy z Nowego Jorku. Rozmawiał z dwiema kobietami, które miały mu zarezerwować bilet powrotny na samolot. Alex był typowym Amerykaninem w średnim wieku - wyglądał młodo, szczupły, zdrowy, nosił młodzieżowe ubrania, jasne i drogie. Wiedział, że powrót do domu byłby kłęską.

Trzy lata wcześniej, po wielu trudnych chwilach i kryzysach Alex zrobił film, ale nie zdobył pieniędzy na projekt marzeń. W swoim filmie pokazał życie nastolatków z miasta w południowej Ameryce, którzy stają się przestępcami i handlarzami narkotyków. Film wzbudził zainteresowanie, czekano na jego kolejne dzieło. Tym razem Alex zamierzał wyreżyserować taki film, jaki chciał, nawet gdyby miało to zabrać dużo czasu... Ale czas płynął, a pieniądze się kończyły. Przez rok Alex był bliski szaleństwa: zastanawiał się w kółko, o czym zrobić film. Miał mnóstwo pomysłów, które pojawiały się nawet w jego snach, jeździł do różnych krajów, szukając inspiracji - ale pomysły nie były dość dobre, wciąż pojawiały się następne. W końcu reżyser doszedł do tego, że wszystko, na co patrzył - każdą ulicę, bar, stację kolejową, czy lotnisko, traktował jak scenę z filmu. Świat stał się fantasmagorią scen filmowych.

Reżyser zdawał sobie sprawę, że jest bliski szaleństwa.

Przez pół roku wierzył, że uda mu się wyreżyserować film o śródziemnomorskim porcie, który kiedyś przeżywał rozkwit. Dlatego właśnie tu przyjechał. Ale nic nie wskazywało, że dopracuje ten pomysł. Postanowił wyjechać, choć z drugiej strony nie chciał opuścić wybrzeża, z którym związane były jego marzenia... Nagle drzwi windy otworzyły się i do lobby wszedł Ben; Alex natychmiast go zauważył.

Chłopak przeszedł przez rozsuwane drzwi, wyszedł na ulicę, zatrzymał się, wrócił i opadł na krzesło. Na jego twarzy widniał uśmiech - może myślał o czymś przyjemnym? Alex, który od dłuższego czasu postrzegał rzeczywistość jako serię świetlistych, kuszących scen filmowych, zobaczył ponure wzgórze pod niskim, zachmurzonym niebem, wśród czarnych piętrzących się skał rosły stare, bujne drzewa, usłyszał w pobliżu plusk wody i zza małego wodospadu wyłonił się niski, owłosiony stwór z muskularnymi ramionami i klatką piersiową, podniósł głowę, spojrzał groźnie na obcego, na Alexa i wydał odgłos podobny do szczeknięcia. Zza skał i drzew wyszły podobne stwory, wbiegły na wzgórze i schroniły się w jaskini, która powstała w skalnym zagłębieniu, przycupnęły tam w gotowości, czekając, co zrobi obcy. Poniżej rozpościerały się korony starych drzew, Alex mógłby przysiąc, że nigdy nie widział takich drzew. Wszędzie dokoła widać było wyszczerbione skały. Karły, a może były to yeti - Alex nigdy nie widział takich stworów na zdjęciach ani na filmach - patrzyły na niego. Najwyższe z nich mogły mieć pięć stóp i trzy lub cztery cale, inne były niższe, może samice; trudno było określić ich płeć ze względu na gęsto owłosione genitalia. Stwory miały zielone oczy i brody, ich ramiona porastały gęste, blade włosy. W ich rękach pojawiły się pałki i kamienie, niektóre tak ostre jak noże... Wizja zbladła i zniknęła. Alex wpatrywał się w elegancko ubranego Bena, który siedział ze wzrokiem utkwionym w obrotowych drzwiach i

myślał: Tak, wróć do Londynu, będę się opiekował Ritą. Pieniądze w sejfie należały do niego. Ale był jeszcze Johnston... Kiedy Ben zaczął o nim myśleć, na jego twarzy pojawił się znowu uśmiech pełen przerażenia. Chłopak już wcześniej uświadomił sobie, że Johnston oszukał go, wystrychnął na dudka i zostawił bezbronny wśród ludzi, których języka Ben nie znał.

Alex odwrócił się i spojrzął na młode kobiety za ladą; czekały na jego pytania, były przyzwyczajone do tego, że ludzie pytali o Bena. Każda z kobiet miała inną teorię na temat chłopaka. Jedna powiedziała, że Ben przebywał niedawno w szpitalu psychiatrycznym, twierdziła, że jest bogaty, przysłano go do Francji z opiekunem. Druga powiedziała, że chłopak jest zapaśnikiem wagi ciężkiej.

Trzecia była pewna, że Ben urodził się w rezultacie nieudanego eksperymentu, powiedziała, że dostaje gęziej skórki, kiedy na niego patrzy. Recepcjonistki opiekowały się Benem, udzielały mu rad po angielsku i poświęcały mu swój cenny czas. Sprawdzały, czy przynoszono mu do pokoju owoce, pomagały chłopakowi, kiedy nie mógł czegoś znaleźć. Ben wezwał je, kiedy pewnego ranka stwierdził z przerażeniem, że nie ma paszportu. Bez dokumentu chłopak czuł się nikim; kto by uwierzył, że nazywa się Ben Lovatt, pochodzi ze Szkocji, ma trzydzieści pięć lat i jest aktorem filmowym?

Recepcjonistki uśmiechały się, ale zamierzały chronić Bena przed reżyserem filmowym. Obawiały się, że ktoś obcy mógłby wykorzystać bezbronny chłopaka. (Kiedy Alex spytał: „Kim on jest?”, jedna z kobiet powiedziała:

- On jest z Londynu.

- Przyjechał tu na wakacje - dodała druga.

Trzecia, która nie wierzyła, że Ben jest aktorem, i nie lubiła Alexa, oznajmiła:

- On jest aktorem.

- Zostawmy na razie rezerwację - powiedział Alex.

- Zostanę tu jeszcze trochę.

Podszedł do Bena, usiadł i przedstawił się.

Chłopak zerkał na boki ze strachem, grymas przerażenia nie zniknął z jego twarzy. Po chwili jednak się rozluźnił.

Serdeczny i swobodny Alex przypominał mu Richarda, a nawet starą kobietę; przerażenie zniknęło z jego twarzy i Ben się uśmiechnął. Reżyser zabrał go na obiad, a potem do kawiarni; kolejne dwa dni wyglądały podobnie. Spotykali się przez tydzień. Alex, który wciąż myślał o swojej wizji z karłami, postanowił, że zrobi film z Benem. Na razie nie wiedział jeszcze, o czym będzie film, nie miał też pieniędzy. Wiele pomysłów zajmowało

jego wyobraźnię przez pewien czas, po czym znikало, ale o stworach nie mógł przestać myśleć. Kim lub czym były? Ben funkcjonował normalnie, używał noża i widelca, codziennie chodził do fryzjera, który strzygł go i przycinał mu brodę; zmieniał ubrania, wyglądające już na nieco znoszone.

Alex dowiedział się, że Johnston zamówił ubrania dla chłopaka u krawca. Kim był Johnston? Ben powiedział mu, że Johnston miał samochody i kierowców, wysyłał ludzi po całym Londynie. Ale Johnston wyjechał. Ben był ograniczony w swoim pojmowaniu świata, wypowiedzi chłopaka wydawały się mętne, jego sympatie i antypatie zaś całkowicie przypadkowe. Opowiedział reżyserowi o starej kobiecie, ale nie wspomniał o kocie, opowiedział mu o Johnstone, ale nie chciał mówić o Ricie, ponieważ ogarniało go przynębienie, kiedy o niej myślał. Powiedział, że ma rodzinę i ojca, który go nienawidzi] ale nie wspomniał o Pawle i matce. Alex Beyle wywnioskował z tego, że chłopak nie ma żadnego opiekuna. Mógł go wykorzystać; nikt nie będzie żądać wyjaśnień i pytać: Jak tak można?”.

Ale on wcale nie chciał wykorzystać Bena! Zamierzał mu płacić i otoczyć go opieką. Chłopak znowu dostał szyte na miarę koszule, dwie marynarki: jedną ciepłą, drugą lżejszą, i koszule z jedwabiu zapinane pod szyją, żeby ukryć owłosioną klatkę piersiową i szyję.

Ben wiedział, że nowy przyjaciel, który się nim zaopiekował, chciał zrobić z nim film: a więc naprawdę był aktorem. Chłopak nie lubił filmów, ekran raził go, sprawiał, że robiło mu się niedobrze. Alex zabrał Bena do kina, starannie wybrał film, jakby szedł na seans z dzieckiem. Historia była wyrazista, pełna napięcia i niebezpieczeństw. Ale chłopak siedział z zamkniętymi oczami i tylko czasem je otwierał, żeby zerknąć na ekran.

Nie był w stanie obejrzeć filmu, drażniło go ostre, rażące światło.

Reżyser zabrał Bena do okulisty pewien, że ciemne okulary chłopaka zostały źle dobrane. Chciał mu kupić nowe. Ben wolał mrok wieczoru od światła dziennego, nigdy nie siedział na słońcu, zaciskał powieki i mrugał.

Okulista wyszedł z gabinetu, żeby porozmawiać z Alexem.

Był zdenerwowany, ponieważ miał problemy z porozumieniem się z chłopakiem. Powiedział, że Ben ma nietypowe oczy, które nie adaptują się do zmian światła. Lekarz, podobnie jak kobieta z recepcji, uważał, że chłopak urodził się w rezultacie nieudanego eksperymentu, ale nie powiedział tego, ponieważ bał się kłopotów. Oświadczył, że ciemne okulary chłopaka są prawdopodobnie tak samo dobre jak inne, ale zaproponował okulary z odrobinę mniej przyciemnionymi szklami. Benowi łzawiły oczy; uśmiechał się, ponieważ był zakłopotany, jak sądził okulista.

Alex wiedział, co oznacza ten grymas.

Kiedy reżyser dowiedział się, że zapłacono za hotel Bena za następny tydzień, i usłyszał, że chłopak ma pieniądze w sejfie, odetchnął z ulgą. Musiał żyć oszczędnie.

Chciał zdobyć fundusze na nowy film. Spędzał całe godziny przy telefonie, wydzwanając do Los Angeles, Nowego Jorku i innych miejsc, gdzie znajdowały się wytwórnie filmowe. W końcu przekonał producenta, który sfinansował jego poprzedni film, aby dał mu pieniądze na nowy projekt: kiedy opowiadał o Benie, w jego głosie było tyle konsternacji, zachwyty i podniecenia, że uzyskał pieniądze.

Pozostawało tylko wymyślić historię. Problem polegał na tym, że Alexowi trudno było przełożyć na język filmowy dziwną, kuszącą wizję stworów u wejścia jaskini. Reżyser wciąż miał przed oczami tę scenę - stwory spoglądały na niego z otchłani czasu - może żyły na ziemi miliony lat wcześniej, a Alex był ich potomkiem. Tak mogło być.

Czy ich geny istniały w jego ciele? Czy miał geny takie jak Ben? Czasem wydawało mu się, że odpowiedź na to pytanie brzmi: tak, ale były momenty, kiedy czuł, jak bardzo obcy jest mu chłopak. Alex uważał, że Ben nie jest człowiekiem, mimo że zachowuje się jak istota ludzka.

Ale nie jest też zwierzęciem. Sprawiał wrażenie opóźnionego w rozwoju. Jeśli stwory z wizji Alexa były jedynie gatunkiem zwierząt, jak to możliwe, że Ben przez większość czasu żył jak normalny człowiek?

Reżyser czuł się niezręcznie, kiedy myślał o tym, że po skończeniu filmu ktoś będzie musiał się zająć Benem. Do tej pory wszystko wydawało się proste. Chłopak spotykał się z Alexem w ciągu dnia, spędzali też razem część wieczoru. Reżyser miał znajomych, którzy mieszkali na wybrzeżu i w miasteczkach leżących na wzgórzach, kilka razy zabrał Bena do swoich przyjaciół, ale chłopak był spięty i w końcu reżyser zrezygnował z takich pomysłów.

Czym zajmował się Ben wieczorami, kiedy nie było przy nim Alexa? Chodził do miasta, ostrożny, czujny, szukając tam kobiety. Znalazł jedną, ale znowu nazwano go bete i cocbon; nie rozumiał, dlaczego został odrzucony.

Alex wpadł na pewien pomysł - postanowił wrócić do Ameryki Południowej i tam zrobić swój film. Tym razem wybrał Brazylię. Znał tam ludzi, zrobił kiedyś w Brazylii krótki film i wyreżyserował sztukę. Z początku chciał, żeby historia rozgrywała się na północy Europy, gdzie żywa była tradycja podań o karłach, gnomach, trollach i - o bardziej łagodnych - elfach i duszkach, ale zmienił zdanie i uznał, że lepszym miejscem będą lasy na południu, gdzie... Nie miał jeszcze konkretnego pomysłu. Chciał zabrać Bena do Rio i pokazać mu lasy, gdzie fruwały motyle wielkości drożdżów, gdzie historia wycisnęła swe okrutne piętno, podobnie jak w Europie. Miał nadzieję, że w takim miejscu jego umysł otworzy się na nowe

wizje.

Alex opisał Benowi Amerykę Południową, Brazylię i Rio.

Jak zawsze, nie był pewien, ile chłopak rozumiał. Obserwował twarz Bena i czekał, czy nie pojawi się na niej wiele mówiący uśmiech. Chłopak spytał, czy polecą samolotem; powiedział, że kiedyś leciał małym samolotem, i opisał widok Londynu z góry. Widział miejsce, gdzie mieszkała stara kobieta, i ulicę, na której pracował Johnston, zanim wyjechał. Nie wspomniał o locie z Londynu na południe Francji, ponieważ nie był przekonany, czy podróż odbyła się naprawdę.

- Brazylia jest daleko? - spytał.

Zależy skąd, pomyślał Alex, ale nic nie powiedział.

Czuł się winny. Obiecał sobie, że dopilnuje, aby Ben wrócił do Francji albo Londynu, gdzie zajmą się nim jego przyjaciele.

Chłopak wyjął resztę pieniędzy z sejfu i polecili obaj do Rio de Janeiro.

Ale nie było to takie proste, jak mogło się wydawać.

Najpierw polecili do Frankfurtu, gdzie mieli przesiadkę do Rio. Ben stał w kolejce, Alex tuż za nim, z paszportem w jednej ręce i torbą w drugiej. Na zewnątrz oślepiające, śródziemnomorskie słońce odbijało się od parapetów, samochodów, liści i chmur. Ben przymknął oczy, chociaż na nosie miał ciemne okulary, i zaczął się uśmiechać.

Może jadę do domu?, pomyślał, kiedy zbliżyli się do stanowiska kontroli paszportów, a Alex, który stał obok, oznajmił, że Ben chce miejsce przy oknie. Tym razem chłopak zdawał sobie sprawę, że wsiada do samolotu.

Usiadł przy oknie, Alex zajął miejsce obok. Ben był w stanie porównać widok z okna z tym, co widział, kiedy lecieli małym samolotem nad Londynem. Potem samolot otoczyły chmury i chłopak spojrzał w dół na oślepiająco białą przestrzeń. Zamknął oczy i oparł plecy o poręcz fotela.

- To tylko godzina, Ben - powiedział Alex, mając na myśli podróż do Frankfurtu. Tam wszystko zaczęło się od nowa: tłumy ludzi, ruchome schody, rażące w oczy światła, znowu szedł korytarzami, a potem czekał przy stanowisku kontroli paszportów z karteczką z numerem miejsca. Wlókł się za Alexem, uśmiechając się.

Reżyser przyglądał się swojemu przygnębionemu towarzyszkowi i ogarniały go coraz większe wątpliwości.

Miał ochotę klepnąć Bena po ramieniu - „Będzie dobrze, Ben, zobaczysz” - ale kiedy poprzedniego dnia próbował pocieszyć chłopaka w podobny, typowo amerykański sposób, zielone oczy Bena zabłyły groźnie, pełne wściekłości, jego ręce zacisnęły się w pięści... Alex

nie zdawał sobie sprawy, jak mało brakowało, by chłopak zmiażdżył go w swoich mocarnych rękach i wbił zęby w jego szyję.

Bena ogarnęła taka wściekłość, że przed oczami zamigotały mu czerwone cętki i zacisnął pięści w morderczym zaślepieniu. Ledwo się opanował. Wiedział, że nie wolno okazywać agresji, ale kiedy reżyser klepnął go po plecach...

Rozpacz, która rosła w nim, odkąd dowiedział się o śmierci starej kobiety i o tym, że Rita i Johnston wyjechali, została spotęgowana przez gniew. Ben nie był pewien, czy chce wyć z bólu, czy dać upust emocjom i zabijać.

Szli krętymi, to wznoszącymi się, to opadającymi korytarzami, wreszcie stanęli przed wejściem do samolotu.

Chłopak nie mógł uwierzyć, że samolot może być tak ogromny: nie widział nawet, jak bardzo jest wielki. Ben rozumiał, że nie wraca do domu, ale gdzieś w głębi umysłu, który walczył sam ze sobą, żeby nie stracić kontroli i pozostać świadomym, mówił sobie, że obiecano mu kiedyś powrót do domu. Czuł się zdradzony; wiedział, że Alex był za to odpowiedzialny. Brazylia. Co to jest Brazylia? Dlaczego musi tam jechać? Po co ma grać w filmie?

Tym razem nie wyjrzał przez okno, wiedział, że zobaczy jedynie białe chmury i oślepiający blask. Jedenaście godzin lotu - co Ben będzie robić przez cały ten czas? Lecieli klasą ekonomiczną: Alex nie mógł sobie pozwolić na rozrzutność.

Zaczęto rozdawać napoje. Reżyser powiedział Benowi, że powinien wypić trochę wody i chłopak się napił.

Czy trzeba mu dać tabletki nasenne? Być może miał inny metabolizm i jego organizm nie toleruje leków, podobnie jak organizm kota, który po połknięciu proszków przeciwbólowych albo tabletek nasennych mógłby się zatruć, a nawet zdechnąć. Ale problem ten został wkrótce rozwiązany, Ben zasnął, ściskając kurczowo znieawidzony pas. Z trudnością wytrzymał gwałtowne napięcie w ciele, od czasu do czasu budził się, rozglądał się dokoła i znowu zapadał w sen.

W Rio był ranek, Bena obudziło okrutnie jasne światło.

Chwycił się za genitalia i spróbował wstać. Alex zdążył doprowadzić go do toalety. Zupełnie, jakbym opiekował się dzieckiem, myślał. On sam miał syna z małżeństwa, które skończyło się rozwodem.

W hotelu wszystko poszło gładko. Ben rozumiał, co się dzieje, stanął obok lady w recepcji, na jego twarzy malowała się ufność. Chwilę później Alex zorientował się, że coś jest nie w porządku: Ben, który ledwo przyzwyczał się do języka francuskiego, usłyszał nowy

język - portugalski.

- Co to jest? - spytał Ben ostrym tonem, zły i rozżalony.

- Co oni mówią?

Alex wyjaśnił. Spędził wiele czasu, opowiadając chłopakowi o Brazylii, o Rio, o tym, jak piękny jest ten kraj; o lasach, plażach i morzu, które było wszędzie, zapomniał tylko powiedzieć Benowi, że mieszkańcy mówią po portugalsku.

Reżyser miał ochotę spać w oddzielnym pokoju, ale bał się zostawić chłopaka samego w labiryncie nowego hotelu, więc nocowali w tym samym pokoju, ale tylko jedną noc. W Rio łatwo jest wynająć mieszkanie - następnego dnia mieli się przeprowadzić.

Reżyser marzył o tym, żeby się wyspać. W samolocie nie spuszczał Bena z oczu, ale i teraz nie mógł się położyć; chłopak, który się wyspał i miał mnóstwo energii, chodził po pokoju jak zwierzę, badając nowe miejsca. Wszedł do łazienki, sprawdził prysznic, spuścił wodę, otwierał i zamykał szafki i szuflady. Pokój znajdował się na jednym z najwyższych pięter hotelu. Ben wyrzwał przez okno, potem spojrzął w dół, ale nie przestraszył się, chociaż nie lubił windy. Położył się na swoim łóżku i po chwili wstał.

Alex przyglądał mu się, nie doszedł jeszcze do siebie z powodu zmiany czasu.

- Jestem głodny - powiedział Ben.

Obsługa hotelowa przyniosła steki, Ben zjadł swoją porcję, równie chętnie jak porcję Alexa. Alex zamówił owoce, ten kraj słynął ze wspaniałych owoców. Ben mruczał z rozkoszy, jedząc ananasa, cały utaplał się w soku. Alex ucieszył się, widząc, że chłopak idzie pod prysznic, nie musiał mu nic mówić. Ben długo siedział w łazience.

Alex słuchał dźwięków dochodzących zza drzwi. Co to jest?, myślał. To ma być piosenka - to głośne pomrukiwanie?

Podłoga w łazience zalana była wodą, Alex musiał ją wytrzeć.

Było dopiero południe.

Reżyser zaczął dzwonić do znajomych, miał ich wielu w tym mieście. Z niektórymi współpracował przy reżyserowaniu sztuki, innych poznał podczas kręcenia filmu w Kolumbii i Chile. Niektórzy byli znajomymi jego znajomych. Robił wszystko, żeby nie zasnąć. Wiedział, że jeśli zapadnie w sen, obudzi się dopiero następnego dnia. Umówił się na wczesną kolację. Przedtem chciał pokazać Benowi miasto. Było gorąco, światło odbijało się od fal, Ben człapał, trzymając się Alexa, miał niemal zamknięte oczy. Reżyser zabrał chłopaka z powrotem do hotelu, Ben powiedział, że w Nicei chodził na spacer wieczorem, w ciągu dnia wyszedł tylko raz, kiedy było pochmurno. Usiedli przy stoliku przed hotelem i wypili sok owocowy. Chłopak skulił się na krześle, nie uśmiechał się, z czego Alex był

zadowolony, ale był dziwnie czujny, odwracał głowę raz w jedną, raz w drugą stronę i, nie wychylając się z głębokiego cienia, jaki rzucał parasol, obserwował nowych ludzi, starając się zrozumieć nowe dźwięki. Ludzie to przychodzili, to znów odchodzili, albo po prostu siedzieli przy stolikach, jak w innych miejscach, gdzie bywał Ben, i zaintrygowani zerkali na chłopaka.

Najpierw rzucali ukradkowe spojrzenie, czuli, że coś jest nie w porządku, w ich umysłach rodziły się pytania.

Drugie spojrzenie było dłuższe - no, zwyczajny duży mężczyzna, nie ma nic złego w tym, że ktoś jest duży i muskularny - ale te ramiona, mówcie, co chcecie, ale takie ramiona... Odwracali się i zerkali na Bena po raz trzeci, szybko, ukradkiem. Tak, ma mięśnie, ale nie grzeszy urodą. I wreszcie ostatnie spojrzenie wprost, jakby dziwny wygląd chłopaka usprawiedliwiał ich brak delikatności. Co to jest? Na co ja patrzę? Gorące popołudnie miało się ku końcowi, senność Alexa stała się dla niego torturą. W końcu nie wytrzymał i zaczął namawiać Bena, żeby wrócił z nim do hotelu. Chłopak chciał zostać w kawiarni, gdzie mógł obserwować ludzi i słuchać rozmów. Poza tym były tam kobiety, które się do niego uśmiechały.

Kiedy znaleźli się w pokoju hotelowym, Alex rzucił się na łóżko i zasnął. Nawet nie zdjął butów.

Ben usiadł na swoim łóżku, nie miał ochoty się kłaść.

Siedział na brzegu łóżka i przyglądał się Alexowi. Nie dzielił z nikim pokoju od czasu, kiedy mieszkał ze starą kobietą: jej nie musiał się przyglądać, ani badać. Kiedy

Rita pozwalała mu zostać na noc, był jej wdzięczny, nie pragnął niczego innego. Ale teraz był sam na sam z mężczyzną, który go tam przyprowadził, chociaż Ben wcale o to nie prosił. Chłopak nie lubił Alexa, choć wydawał się miły: czuł, że Alex go oszukuje.

Bezbronny mężczyzna leżał na łóżku z rozrzuconymi rękami i nogami, z twarzą odwróconą w stronę Bena, na wpół przymknięte oczy zdawały się patrzeć na chłopaka.

Ben mógł podejść do Alexa leżącego na łóżku i zabić go, reżyser nawet by się nie zorientował. Chłopak poczuł, jak złość spotęgowana przez smutek wypełnia jego ramiona, ręce, pięści. Mógł pochylić się do przodu i wbić zęby w gardło leżącego przed nim mężczyzny... Ale Ben wiedział, że tak nie można, wiedział, że musi się opanować. Oczy pociemniały mu od gniewu, ale wewnętrzny głos powiedział mu: Przestań. Nie wolno. To niebezpieczne. Mogą cię za to zabić.

Chłopak siedział na łóżku, rozpaczliwy gniew stopniowo go opuszczał, rozluźnił pięści.

Myślał o Richardzie: nagle zaczęło mu się wydawać, że Richard był jego prawdziwym

przyjacielem, że naprawdę go lubił.

Siedział przez długi czas z rozkraczonymi nogami, oparł pięści na kolanach, pochylił się do przodu i patrzył.

W którymś momencie wyciągnął rękę - muskularną rękę zaciśniętą w pięść i przysunął ją do ręki Alexa, która leżała na łóżku, tak blisko. Nogi reżysera były ukryte pod dzinsami, ale Ben wiedział, że jego własne nogi w porównaniu z nogami Alexa są jak pnie drzewa. Twarz reżysera w zestawieniu z jego twarzą wydawała się mała i delikatna.

Klatkę piersiową Alexa wystającą spod niedbale zapiętej koszuli porastało skąpe owłosienie. Niby byli do siebie podobni, a jednocześnie tak bardzo się różnili... Chłopak mógłby zgnieść Alexa w swoich rękach, a on nie byłby w stanie nawet się ruszyć.

Ben podszedł do okna. Światło bijące z jasnej pieczary nieba raziło go w oczy, spozjrzał w dół. Byli na piątym piętrze. Nie tak wysoko jak u starej kobiety. W dole poruszali się ludzie, ludzie mówiący w obcym języku wydawali z siebie niewyraźne, cikliwe dźwięki, jakby mieli usta pełne cukru.

Zadzwoił telefon. Alex nawet się nie poruszył. Telefon nadal dzwonił. Ben podniósł słuchawkę i powiedział po angielsku:

- Alex śpi.

Po drugiej stronie rozległ się kobiecy głos. Kobieta powiedziała, że wie o przyjeździe Alexa, i oznajmiła, że przyjdzie do hotelu. Reżyser obudził się. Ben powiedział, że odwiedzi ich kobieta o imieniu Teresa. Alex wyskoczył z łóżka, chociaż wciąż czuł zmęczenie.

- Och, Teresa - powiedział. - To wspaniale, to świetnie.

Wziął prysznic i wrócił z łazienki w czystym ubraniu.

Było koło osiemnastej. Zabrał Bena do foyer, gdzie przyszli ludzie, było ich coraz więcej; w końcu jedenastoosobową grupą poszli do restauracji. Alex powiedział, że to miejsce spodoba się Benowi, ponieważ podają tam przede wszystkim mięso.

Wszyscy próbowali rozmawiać z Benem. Zadawali mu pytania w stylu: „Skąd jesteś?”, „Pracujesz z Alexem?”, „Grałeś w filmach czy w teatrze?”. Odpowiedzi chłopaka zbijały ich z tropu, ponieważ nie miały sensu. Na przykład, zapytany „skąd jesteś?”, Ben odpowiedział, że jest z hotelu Excelsior w Nicei, a kiedy przyjazny, zaintrygowany rozmówca nie dawał za wygraną, Ben dodał, że na pewno nie jest Szkotem, ale nie zna nazwy swojego rodzinnego miasta. Znajomi Alexa traktowali Bena z uprzejmą rezerwą i starali się na niego nie gapić. Ale Teresa była naprawdę miła, chłopak od razu to wyczuł.

Siedzieli w typowej dla Rio restauracji, gdzie na stołach czekały na gości talerze pełne pomidorów, pikli i sosów, ale ludzie przychodzili tam głównie dla mięsa. Na talerzach leżały

udźce i nabite na szpikulce kawałki pieczonego mięsa różnego rodzaju, podawano przede wszystkim wołowinę. Ben nigdy nie widział takiej ilości i takiej różnorodności mięsa, zrobiło mu się przyjemnie, ale był zbyt przygnębiony, żeby poczuć radość. Czuł się obco wśród ludzi, którzy gawędzili wesoło, i obejmowali się; nie rozumiał, co mówią, nie znał ich języka. Czasem zwracali się do Bena zniekształconą angielszczyzną, ale nawet wtedy trudno mu było ich zrozumieć. Wkrótce kolacja dobiegła końca, chłopak wsiadł do samochodu z Alexem i jego kilkoma znajomymi. Pędzili wzdłuż plaży, światło księżyca odbijało się od fal, mijali jasno oświetlone wysokie budynki. W hotelu Ben słyszał, jak reżyser i jego znajomi robili plany na następne dni; ludzie cieszyli się, że Alex przyjechał, jakby nastąpiło święto.

W pokoju hotelowym chłopak zdjął ubranie; pamiętał, żeby powiesić je na wieszakach. Potem położył się do łóżka nago, jak zawsze. Patrzył, jak Alex zakłada piżamę - ubranie, w którym spała większość ludzi. Jego rodzice też. On też, kiedy był mały, ale tego nienawidził. Po chwili zasnął.

Teraz Alex, podobnie jak wcześniej Ben, usiadł na brzegu łóżka, pochylił się do przodu i zaczął się przyglądać chłopakowi. Wyciągnął rękę, jak wcześniej Ben, podwinął nogawkę spodni i porównał swoją nogę z nogą Bena, który leżał na kołdrze, tak było gorąco. Chłopak narzucił na podbrzusze prześcieradło. A więc jakiś instynkt mówi mu, że trzeba przykryć genitalia, pomyślał Alex. To dziwne, przecież zwierzęta nie zachowują się w ten sposób. Ale on nie jest zwierzęciem. Ale jeśli Ben nie był zwierzęciem, to... Takie myśli pojawiały się niebezpiecznie często w umyśle Alexa i w umysłach wielu ludzi.

Reżyser spał. Ben spał. Rano zjedli na śniadanie mnóstwo owoców, przyniesionych przez obsługę hotelową, potem zabrali swoje rzeczy i poszli do mieszkania, które Alex wynajął na ulicy niedaleko morza. W windzie reżyser wyjaśnił Benowi, że mieszkanie jest niezbyt wysoko, na trzecim piętrze: chłopak nadal nie lubił wind. Mieli dwa duże pokoje - sypialnie, które oddzielał większy pokój - salon. Oprócz tego była tam nieduża kuchnia, łazienka z prysznicem i toaleta. Ben miał swój własny pokój. Alex obawiał się, że to niebezpieczne, ale musiał mieć pokój dla siebie, przede wszystkim dlatego, że miał dziewczynę, Teresę. Ben miał własny pokój po raz pierwszy od czasu, kiedy mieszkał z rodziną. Instynktownie zerknął na okna: nie było w nich krat. Czuł się jednak nieswojo. Sprawdził drzwi - tak, mógł wyjść i wrócić, miał klucz. A więc to nie była pułapka... Pokój z pojedynczym łóżkiem i dużymi oknami przypominał mu pokój z dzieciństwa. Było południe. Alex powiedział, że jest zmęczony z powodu zmiany czasu, Ben wywnioskował z tego, że reżyser jest chory. Sam czuł się dobrze. Alex poszedł do swojego pokoju, mówiąc, że później odwiedzą ich jego znajomi.

Powiedział, że się zdrzemnie, a potem pójdą razem na zakupy i przygotują w kuchni jedzenie. Ben wrócił do swojego pokoju, wkrótce ogarnęło go zniecierpliwienie... wyrzwał przez okno na ulicę i usłyszał ludzi mówiących niezrozumiałym językiem... spojrzął na okna domu naprzeciwko. Zobaczył ludzi, którzy poruszali się; nie miał pojęcia, co robią. Poszedł do salonu. Leżały tam pisma; rysunki i fotografie przedstawiały ludzi, których nie znał, wiedział, że fotografie jego przyjaciół nigdy nie pojawią się w kolorowych magazynach. Chce wrócić do domu, powtarzał w myślach. Dom, dom.

Postanowił sprawdzić, czy nie jest więźniem, więc wyszedł. Udało mu się nie wpaść w panikę w starej, hałaśliwej windzie. Przeszedł do końca ulicy i wrócił. Było tam niewielu ludzi, ale czuł na sobie spojrzenia wszystkich.

Jeden z przechodniów - młody chłopak o agresywnej twarzy poszedł za nim. Ben miał ochotę pobiec przed siebie, ale wiedział, że lepiej tego nie robić, wrócił szybkim krokiem do hotelu, gdzie czuł się bezpiecznie. Czekał na windę, wiedząc, że chłopak czai się z tyłu na ugiętych nogach, gapiąc się na niego. Ben często przybierał taką pozycję. Miał ochotę odwrócić się i złapać chłopaka za ramiona, ale wiedział, że mu nie wolno. Chłopak był tuż za nim, kiedy nadjechała winda... Czego on chce? - Ben wjechał na górę. Kiedy włożył klucz do zamka, drzwi się otworzyły. W środku czekał na niego Alex.

- Jesteś... Zastanawiałem się...

Alex uśmiechał się, ale chłopak wyczuł jego zdenerwowanie. Alex zaproponował, żeby usiedli przy stoliku przed hotelem. Ben zgodził się. Siedzieli, jedząc kanapki i pijąc sok, i patrzyli na przechodniów o wszystkich kolorach skóry: czarnym, brązowym, jasnobrązowym i białym. Na ulicy było mnóstwo skąpo ubranych dziewcząt. Niektóre siedziały przy stolikach - same albo w parach. Ben nie mógł oderwać od nich oczu, czuł pożądanie. Myślał o Ricie, o tym, że go lubiła. Alex ostrzegł chłopaka, że dziewczyny często mają swoich ochroniarzy.

- Tak jak Rita miała Johnstona - powiedział Ben. W ten sposób Alex dowiedział się o nim czegoś nowego.

- Czy on zabierał jej pieniądze? - spytał.

- Rita nigdy nie prosiła mnie o pieniądze - powiedział Ben. - Lubiła mnie.

- Tutejsze dziewczyny biorą dużo pieniędzy.

Wszystko szło gładko - siedzieli pod parasolem i patrzyli na ludzi, od czasu do czasu Alex witał się ze znajomymi.

Potem kupił jedzenie, Ben pomógł mu zanieść siatki do mieszkania. Kiedy reżyser zaczął przygotowywać kolację, chłopak zaproponował, że mu pomoże. Powiedział, że umie

gotować, ale jedynymi rzeczami, jakie potrafił zrobić, były grzanki i owsianka, potrawy, które przygotowywał dla starej kobiety. Alex zamierzał ugotować coś bardziej wyrafinowanego. Ben usiadł w dużym pokoju, wdychając zapach ziół i gorącego mięsa. Wkrótce pojawiło się mnóstwo ludzi. Chłopak patrzył, jak goście całują się, ściskają, padają sobie w ramiona, gawędzą wesoło; ich zęby błyszcząły. Na zewnątrz zrobiło się ciemno. Noce w tym kraju były inne niż w Nicei - powolne i gorące, w powietrzu unosił się czasem silny zapach morza.

Niektórych gości Ben poznał już poprzedniego wieczoru; Alex przedstawiał go nowym osobom, mówiąc: „To jest Ben. Wystąpi w moim filmie”. Jego znajomi mówili: „Como vai?”, „Witaj”, „Cześć”, rzucali Benowi zaciekawione, zdziwione spojrzenia, a potem udawali, że nie patrzą na niego. Chłopak był do tego przyzwyczajony. Przyłapywał ich na tym, że się gapią, chociaż robili wszystko, żeby tego nie zauważył. Pojawiło się mnóstwo jedzenia na tacach, w pokoju stały butelki z winem, z których goście nalewali sobie do kieliszków. Panował hałas, ludzie mówili głośno, Ben prawie nic nie rozumiał, nawet wtedy, kiedy przechodzili na angielski. Robili plany, które dotyczyły także jego. Rozmawiali, jedli i pili do późna.

Chłopak zasnął w pokoju, który przypominał mu dom rodzinny. Miał lekki sen i obudził się wcześnie. Nie wyszedł na ulicę ze strachu przed młodocianym zabójcą, który go prześladował. Zjadł owoce, stanął przy oknie i zaczął wyglądać na zewnątrz. Alex obudził się późno, przyszedł do salonu razem z Teresą - Ben nie zauważył, że poprzedniej nocy reżyser zamknął się w swoim pokoju z kobietą.

Teresa była serdeczna i pomocna, zrobiła Benowi jedzenie i dała mu sok. Kiedy zauważyła, że jest smutny i milczący, zaczęła zadawać mu różne pytania swoją łamaną angielszczyzną: „O czym myślisz, Ben?”, „Co lubisz?”, „Podać ci coś?”. Teresa podobała się Benowi, ale wiedział, że jest dziewczyną Alexa.

Dni miały powoli, Ben z nudów dużo spał. Wieczorem przychodzili ludzie, którzy zachowywali się hałaśliwie, śmiali się głośno i mówili po portugalsku. Do Alexa i Bena zwracali się łamaną angielszczyzną, trudno było zrozumieć, co mówią. Czasem przynosili jedzenie, nie zawsze. Ben siedział z boku i ich obserwował. Próbował zrozumieć, dlaczego różnią się tak bardzo od niego, zachowywali się swobodnie, bycie razem nie sprawiało im trudności.

Większość z nich miała gładką ciemną skórę i ciemne oczy, w przeciwieństwie do Alexa, który był blady, szczupły i miał jasne włosy, nosił jasnoniebieskie spodnie i koszule, czasem białe. Kosmyki gęstych włosów opadały mu na czoło, ale twarz reżysera zdradzała jego wiek, miał zmarszczki pod oczami. Alex miał czterdzieści lat, o pięć więcej niż Ben,

zgodnie z tym, co napisano w jego paszporcie. W rzeczywistości chłopak miał osiemnaście lat, był o wiele młodszy od znajomych Alexa, którzy ich odwiedzali. Ben zdawał sobie sprawę, że nie wygląda jak typowy osiemnastolatek: nie miał młodej twarzy. Kiedy myślał o swoim wieku, przypominały mu się słowa starej kobiety: „Dobry z ciebie chłopak, Ben”.

Teresa była wysoką młodą kobietą, miała duże pośladki i duży biust, ale była szczupła w pasie. Nosila pasek, który podkreślał jej wąską talię. Miała czarne włosy, luźno opadające na ramiona i ciemne oczy. Lubiła się śmiać, na jej twarzy zawsze widniał uśmiech. Ben uspokajał się, kiedy słyszał jej łagodny głos. Dziewczyna obejmowała Alexa, obejmowała ludzi, którzy do nich przychodzili, także Bena. „Drogi Ben”, mówiła często, otaczając go ramionami. Chłopak czuł wtedy pożądanie, ale wiedział, że musi się opanować. Nikt inny go nie dotykał. Tylko Teresa potrafiła przełamać dystans, który wyrósł między nim a innymi ludźmi. Tylko ona brała go za rękę i bawiła się nią, ścisnęła jego wielkie ramiona i mówiła: „Ale ramiona! Co za ramiona, Ben!”, albo podchodziła, kiedy z kimś rozmawiał i go obejmowała.

Paulo, który pracował kiedyś z Alexem, był ich częstym gościem. Razem pisali scenariusz filmu o Benie, ale nie zawsze pracowali w mieszkaniu. Czasem siadali przy stole w salonie i rozmawiali, nie patrząc na Bena. W tym czasie Teresa sprzątała i gotowała albo siedziała na fotelu, wymachując nogami i obserwując mężczyzn, czytała pisma albo śpiewała. Potem mężczyźni wychodzili, Ben czuł, że krępuje ich jego obecność. Wiedział, że historia w scenariuszu wciąż się zmienia, ponieważ Brazylia różniła się od północy: Ben uważał, że pochodzi z północy.

Paulo różnił się od Alexa wyglądem, był potężnym mężczyzną, miał gładką brązową skórę, duże brązowe oczy, ciemne włosy, małe i pulchne ręce, nosił pierścionki na palcach. Paulowi zależało na tym, żeby Alex był z niego zadowolony. Ben czuł, że wszystkim znajomym Alexa na tym zależało. Nieustannie go o coś pytali, patrzyli na niego, chcieli usłyszeć, co myśli.

Czasem na kolacji pojawiała się piętnaście albo dwadzieścia osób. Alex kupował codziennie mnóstwo jedzenia i gotował razem z Teresą. Dziewczyna często wypominała reżyserowi, że zaprasza tylu ludzi, niektórych wcale nie znał. Ben był świadkiem ich kłótni. Zdaniem Teresy część gości przychodziła tylko po to, żeby się najeść.

Alex witał każdego słowami: Jasne, wejdz, siadaj, czego się napijesz?”.

- Mówisz, jak moja żona, Tereso. Zamknij się już - odpowiadał Alex.

Kiedy poprzednim razem był w Brazylii i reżyserował sztukę, miał podobne mieszkanie. Wtedy także zapraszał ludzi, pracujących dla niego i ich znajomych. Zazwyczaj

Amerykanie albo ci, którzy mieli dużo pieniędzy, zapraszali do siebie biedniejszych ludzi. Niewielu spośród znajomych Alexa - aktorów, tancerzy i piosenkarzy miało pracę. Dla reżysera było rzeczą naturalną, że gości ich u siebie i ich karmi. Często znajdował powód, aby dawać im pieniądze - radził się ich w różnych sprawach, prosił, żeby coś dla niego przetłumaczyli, pokazali mu jakieś interesujące miejsce albo zabrali go do muzeum.

Alex dostał od producenta niewielką sumę; poprzednim razem, kiedy reżyserował tu film i sztukę, miał więcej pieniędzy. Teresa wiedziała, że wkrótce zostaną bez grosza.

Scenariusz wciąż nie był gotowy, chociaż Paulo i Alex pracowali nad nim codziennie.

Na razie mieli tylko zarys historii. W dzikiej, pięknej części Brazylii, u podnóża wzgórz, w pobliżu wysokich gór mieszkało plemię ludzi takich jak Ben. Żywili się tym, co znaleźli w lesie - warzywami i owocami, do polowania używali pałek, łuków i strzał; znali też ogień - w jednej ze scen mieli zobaczyć, jak piorun uderza w drzewo, rozniecając ogień.

Problem polegał na tym, że w scenariuszu niewiele się działo, poza sceną z odkryciem ognia, polowaniami, spółkowaniem i zbieraniem roślin. Ben słuchał tego wszystkiego i czuł, że jest w tej historii coś fałszywego, ale nie potrafił tego wytłumaczyć, zresztą nikt go nie pytał o zdanie. Czasem Alex i Paulo podnosili głowy znad notatek, na ich twarzach malowało się zmartwienie, pisali na luźnych kartkach papieru kolejne wersje szkiców i schematów scen, zerkali na Bena, nie zdając sobie z tego sprawy, i marszczyli brwi.

W jakim kierunku mieli poprowadzić historię w filmie?

Być może sielankową atmosferę przerwie nadejście bardziej cywilizowanego plemienia i... i co? Osobnicy z obu plemion połączą się w pary i zapoczątkują nowe plemię? Nowo przybyli mogliby zabijać ludzi z plemienia Bena, a on sam zginąłby, bohatersko ich broniąc. A może lepiej, żeby ludzie z plemienia Bena pozabijali przybyszy, odsuwając w czasie to, co nieuniknione, ponieważ i tak kiedyś nadejdą nowe plemiona. Alex i Paulo uważali, że z castingiem nie będzie żadnych problemów. Zamierzali zaangażować do filmu miejscowych Indian. Miejsce kręcenia filmu nie zostało jeszcze ustalone. Trzeba będzie je znaleźć i porozmawiać z Indianami, którzy na pewno ucieszą się, że będą mogli zarobić pieniądze: to nie ulegało wątpliwości.

Zdecydowali, że najlepsze miejsce do kręcenia filmu to wzgórze Matto Grosso - był to pomysł Paula - tymczasem pogoda na tym terenie popsuka się, szalały deszcze i doszło do powodzi. Wycieczka, podczas której Alex i Paulo mieli dokonać oględzin terenu, została przełożona o tydzień. Alex i Paulo ustalili, że Ben poleci z nimi samolotem do dużego miasta, a stamtąd przetransportuje ich mały prywatny samolot. Mężczyźni uważali za oczywiste, że chłopak z nimi pojedzie. Ben słyszał odgłosy rozmowy dobiegające z drugiego pokoju i czuł,

jak wzbiera w nim tłumiony od dawna żaloszny gniew. Dokąd chcieli go zabrać? Znowu będzie musiał opuścić miejsce, które polubił, i odbyć podróż dwoma samolotami. Nowe miejsca, - być może nowy język.

Ben spytał Teresę, kiedy będzie musiał wyjechać; odpowiedziała, że wkrótce. Dziewczyna wypominała Alexowi, że chce zabrać ze sobą Bena, uważała, że to okrutne z jego strony. Czyż nie widział, jak bardzo chłopak jest nieszczęśliwy?

Pewnego wieczoru, kiedy zrobiło się późno i goście zbierali się do wyjścia, usłyszeli miarowe: łup! łup! łup! dobiegające zza ściany - z pokoju Bena. Nikt nie zauważył, że chłopak cicho opuścił towarzystwo, kiedy goście rozmawiali o wzgórzach górach, dokąd twórcy filmu zamierzali pojechać. Teresa otworzyła po cichu drzwi i zobaczyła, że Ben siedzi w kuckach na podłodze oparty na pięściach i wali głową o ścianę, łup! łup! łup! Dziewczyna zamknęła drzwi, wróciła do dużego pokoju i powiedziała wszystkim, co zobaczyła.

- Tak zachowują się dzieci - stwierdził Alex. - Syn mojego sąsiada walił głową o ścianę całymi godzinami.

Lekarz twierdził, że chłopak nie zrobi sobie krzywdy.

- On nie chce jechać - powiedziała Teresa. - Boi się.

Goście milczeli, słuchając miarowego: łup! łup! łup!

- Uszkodzi sobie mózg - powiedział jeden z nich.

- Nie, nie - powiedział Alex. - Zostawmy go w spokoju

Goście wyszli. Alex i Teresa siedzieli w dużym pokoju, nasłuchując. Było to niepokojące. Teresa miała łzy w oczach, czuła ból w sercu. Walenie nie ustawało. W końcu dziewczyna poszła do pokoju Bena. Chłopak walił głową o ścianę, płacząc jak małe dziecko. Teresa uklękła obok niego, objęła go i powiedziała:

- Ben, drogi Ben, biedny Ben, już dobrze, jestem tu.

Z jego ust wydobył się okrzyk bólu i gniewu. Odwrócił się i wtulił owłosioną twarz w jej piersi. Teresa poczuła się tak, jakby trzymała w ramionach małe zrozpaczone dziecko.

- Ben, już dobrze. Nie musisz nigdzie jechać. Obiecuję ci.

Została z nim na podłodze, trzymając go w objęciach, dopóki się nie uspokoił. Alex zajrzał do pokoju, zaniepokojony, po chwili się wycofał. Ben przestał płakać, Teresa pomogła mu wstać i zaprowadziła go do łóżka. Potem wróciła do Alexa. Spojrzała na niego z wyrzutem, w jej oczach błyszczały łzy.

- Nie możesz go ze sobą zabrać - powiedziała. - Obiecałam mu, że będzie mógł zostać. Nie możesz tego zrobić.

- Właściwie wcale go nie potrzebujemy - odparł Alex.

W górach, gdzie ich oczekiwano, wciąż padało. Każdego wieczoru przychodzili goście, siadali przy stole, jedli, pili, kłócili się, śmiali i słuchali walenia w ścianę, oddzielającą duży pokój od pokoju Bena. Chłopak w ten sposób wyrażał ból i wściekłość.

Gniew Bena był przerażający, rozsadzał jego ciało, sprawiał, że ręce zaciskały się w pięści; chłopak chciał bić, gryźć i niszczyć - zemścić się przede wszystkim na Alexie. Nie uwierzył Teresie, kiedy powiedziała mu, że Alex nie zabierze go ze sobą: był pewien, że reżyser oszukuje dziewczynę, tak jak oszukał jego.

Uporczywe łomotanie działało wszystkim na nerwy, goście próbowali nie zwracać uwagi na hałas, ale rozmowa urywała się, mimowolnie zaczęli nasłuchiwać.

- Nie przejmujcie się - mówił Alex. - Nic sobie nie zrobi.

Znowu zaczęli rozmawiać, tym razem głośniej, żeby zagłuszyć hałas, ale na ich twarzach malowała się obawa, zdenerwowanie, nawet strach. Po pewnym czasie znowu milkli, zastygali z kieliszkami w rękach, na talerzach leżało nietknięte jedzenie. Łup! łup! łup! rozlegało się tuż obok.

- Z pewnością uszkodzi sobie mózg - powiedział Paulo.

- Nie - odparł Alex. - Dzieci często tak robią. Nic mu nie będzie.

Słuchając nocnego łomotania, Alex uświadomił sobie, że wizja, która powstała w jego umyśle w nicejskim hotelu, nie wystarczy, żeby stworzyć film i pokonać nieuniknione trudności związane z reżyserowaniem. Zdawał sobie sprawę, że może liczyć na dodatkowe pieniądze od producenta dopiero, kiedy skończy scenariusz albo przynajmniej szczegółowy plan.

Alex i Paulo postanowili polecieć w góry, chociaż deszcz wciąż tam padał. Wszyscy zgadzali się, że krajobraz pasuje do filmu. Mężczyźni mieli wyjechać w poniedziałek, w niedzielę po południu zaś duży pokój, gdzie zazwyczaj ucztowano, wypełnił się gośćmi. Twórcy filmu zamierzali wyjechać co najmniej na tydzień. Teresa i Ben mieli zostać sami w mieszkaniu, gdzie goszczono tyle osób.

Ben chodził po pokoju, który przypominał mu klatkę, i słuchał, jak ludzie mówią, mówią, robią plany. Po pewnym czasie wyszedł ze swojego pokoju i zaczął się przyglądać gościom. Nie zauważyli go. Byli trochę pijani, obściskiwali się, robili dużo hałasu. Teresa otoczyła ramionami Alexa, jej czarne włosy opadały na jego szyję.

Chłopak podszedł do drzwi i wymknął się z mieszkania.

Było późne popołudnie, jasne światło padało ukośnie, ale raziło go w oczy mniej niż w samo południe. Ben nie wiedział, co ma robić. Szedł ulicą opadającą w dół, gdzie błękitniał pasek morza. Bolały go oczy, chociaż miał na nosie ciemne okulary, ale nie przejmował się

tym. Wkrótce tuż przed nim pojawiła się długa biała plaża, na której ludzie opalali się albo grali w rozmaite gry. Wielu stało w wodzie i skakało przez fale. Dziewczęta były niemal nagie. Ben zaczął się im przyglądać: tak, miały na sobie jedynie dwa paski materiału, jeden zasłaniał brodawki ich piersi. Bena rozsadzała wściekłość, miał ochotę krzywdzić i zabijać. Szedł tą stroną plaży, która była bliżej ulicy, i mrużył oczy, starając się je uchronić przed świetlistymi szpilkami. Słuchał szumu fal, głosów, śmiechu, na plaży było mnóstwo ludzi, wszyscy dobrze się ze sobą czuli, nie przeszkadzało im, że mają różny kolor skóry i są różnego wzrostu - nikt się na nich nie gapił.

Na tej plaży, podobnie jak na większości plaży Rio, grasował gang złodziei, składający się głównie z dzieci i nastolatków. Członkowie gangu zauważyli Bena, kiedy tylko pojawił się na piasku. Mieli opracowany sposób działania: nastolatek albo nawet dziecko zbliża się do wybranej osoby i rzuca jej na buty grudki tłuszczu. Dopiero po pewnym czasie ofiara zauważa obrzydliwą tłustą plamę na jednym albo na obu butach. Członkowie gangu, którzy pracują w grupach, idą za ofiarą i czekają na moment, kiedy zauważy ona plamę, wówczas jeden z nich podbiega do ofiary i proponuje, że za pieniądze wyczyści jej buty.

Ben nie miał przy sobie pieniędzy. Trząśł się z wściekłości.

Chwycił uśmiechniętego chłopaka, który pochylił się nad jego butem ze szmatką, i przytrzymał go w żelaznym uścisku, krzycząc przeraźliwie. Chłopak nie mógł złapać oddechu. Po chwili nadbiegli inni członkowie gangu, żeby ratować kolegę. Policjant, który akurat tamtędy przechodził, zobaczył, co się dzieje, i ruszył w ich kierunku.

Bena niemal w ogóle nie było widać, z kłębowiska ciał wystawało co jakiś czas jego ramię, noga, głowa.

Alex i Teresa ze znajomymi biegli w kierunku Bena.

Na tym odcinku plaży było zupełnie cicho. Teresa krzyczała do policjanta po portugalsku:

- Niech pan im powie, żeby przestali! On jest z nami.

Kto? Bena nie było widać, z kłębowiska ciał dochodziły wrzaski i pomrukiwanie.

Policjant uderzał pałką w głowy, ramiona, nogi, cokolwiek tylko się pokazywało. Chwycił jednego z napastników za włosy i odciągnął na bok. Nagle ktoś krzyknął: „policja!” i członkowie gangu natychmiast się rozbiegli: niektórzy zakrwawieni, jeden z ręką wyglądającą na złamaną. Ben siedział skulony, zasłaniając głowę rękami. Napastnicy zdarli z niego ubrania, jeden z nich uciekł z koszulą Bena, zniknęły jego poplamione buty.

Teresa zaczęła się kłócić z policjantem, jej głos był na przemian ostry, to znowu błagalny.

- On jest z nami... z nim. - Wskazała na Alexa. - Robimy film. Film dla telewizji.

Policjant cofnął się o kilka kroków, ten argument go przekonał. Patrzył na Bena, na jego owłosione ramiona i zarośniętą twarz; chłopak uśmiechał się żałośnie, jego białe zęby błyszczały.

Teresa objęła Bena, chłopak dyszał ciężko i jęczał, jego klatka piersiowa to podnosiła się, to znów opadała.

Teresa bała się, że odgłosy, które wydawał Ben, sprowokują policjanta - wyobraziła sobie, że na twarzy mężczyzny, który był wstrząśnięty i zmartwiony, pojawia się wyraz okrucieństwa.

- Chodź, Ben - powiedziała i prowadziła go. Alex szedł z drugiej strony, ale chłopak nie patrzył na niego, wpatrywał się w Teresę, błagał ją bezgłośnie, żeby go ocaliła; po jego żalostnej twarzy ciekły strużki krwi.

Policjant patrzył zdumiony na Bena, Teresę i ich znajomych, ale pozwolił im odejść.

W mieszkaniu siedzieli goście, tylko niektórzy zauważyli nieobecność Bena i kilku innych osób. Zawsze widywali chłopaka w czystych, eleganckich ubraniach i teraz byli zszokowani tym, co zobaczyli.

Teresa zaprowadziła Bena do łazienki i go rozebrała; nie okazywała skrępowania, podobnie jak stara kobieta, i przemawiała do niego łagodnie.

- W porządku, jesteś bezpieczny. Nie bój się. Biedny Ben. Stań pod prysznicem, właśnie tak.

Dziewczyna zmyła z niego piasek i bród, zatamowała krew ciekącą z rany na czole, włożyła jego podarte spodnie do pralki i założyła mu czyste ubranie. Ben nie protestował, robił to, o co prosiła, obracał się, podnosił nogę albo rękę.

Był w szoku, dyszał ciężko, zbladł, oczy pociemniały z rozpacz.

Teresa usiadła z nim na łóżku i zaczęła go kołysać.

- Już dobrze, Ben, jestem twoją przyjaciółką. Będzie dobrze, zobaczysz.

Teresa wiedziała, że Alex czeka na nią w łóżku, reżyser miał wyjechać następnego dnia. Postanowiła jednak zostać z Benem. Chłopak leżał na łóżku w ubraniu, nie spał.

Teresa trzymała go za rękę, przemawiając do niego łagodnie.

Martwiło ją, że Ben jest bierny i obojętny. Ta młoda kobieta, która wiele już w życiu przeszła, zdawała sobie sprawę, że chłopak, przeżywa załamanie nerwowe. Ben był dla niej zagadką, ale domyślała się, że przechodzi coś w rodzaju przemiany wewnętrznej.

Rano Alex i Paulo pojechali na lotnisko; Teresa została w mieszkaniu z Benem, miała wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupować jedzenie. Pieniądze Bena wciąż pozostały

prawie nienaruszone.

Chłopak wyszedł ze swojego pokoju i zrobił coś, czego nigdy przedtem nie robił: usiadł przy dużym stole zamiast na krześle, w rogu pokoju. Siedział, rozglądając się po pustym pokoju i zerkając na Teresę, która sprzątała.

Posłusznie zjadł to, co przygotowała.

Ben rzeczywiście się zmieniał. To, co wydarzyło się nad brzegiem morza, uświadomiło chłopakowi, że jest bezradny, mimo swojej siły. Napastnicy zachowali się wobec niego okrutnie, było ich wielu. Kiedy unieruchomili Bena, gniew opuścił go, czuł jedynie smutek, był zupełnie bezradny podczas tych kilku chwil - trzech minut, może nawet mniej. Do tamtej pory wierzył, że siła jest jego ratunkiem, dzięki niej był niezależny. Teraz wiedział już, co to znaczy bezradność, napastnicy byli wobec niego okrutni, upokorzyli go, chcieli zranić.

- Kiedy będę mógł wrócić do domu? - spytał Teresę.

Dziewczyna wiedziała, że Ben mieszkał w Londynie, domyślała się, że właśnie tam chce wrócić. Powiedziała ostrożnie, że Alex na pewno zabierze go do domu.

- Chcę jechać do domu - powiedział Ben. - Teraz.

Kiedy Teresa skończyła sprzątanie i gotowanie, przyniosła chłopakowi sok owocowy i usiadła obok niego ze swoją szklanką soku. Ben miał nadzieję, że dziewczyna obejmie go i jej miękkie czarne włosy opadną na niego, tak właśnie się stało.

- Biedny Ben - powiedziała. - Biedny Ben, tak ci współczuję.

- Chcę jechać do domu.

Teresa także chciała wrócić do domu, ale podobnie jak Ben nie miała miejsca, które mogłaby nazwać domem.

Oto historia Teresy: Urodziła się w biednej wiosce w południowowschodniej Brazylii, gdzie panowała taka susza, że zwierzęta umierały, a pola pokrywał kurz.

Dziewczyna pamiętała suszę i głód, widziała, jak sąsiedzi wyjeżdżają na południe do Rio i Sao Paulo. Pewnego dnia jej ojciec powiedział, że muszą wyjechać, w przeciwnym razie umrą z głodu: matka, ojciec i czwórka dzieci, Teresa była najstarsza. Część drogi przejechali autobusem, ale potem musieli wybrać: autobus albo jedzenie. Szli całymi dniami, jedli chleb i kukurydzę, którą kradli z pól.

W miarę jak posuwali się na południe, robiło się coraz bardziej zielono. Zamieszkali w zatłoczonej faveli, w pobliżu Rio, gdzie domy budowano jeden nad drugim na zboczu wzgórza; im wyżej stał dom, tym był bezpieczniejszy, ponieważ w czasie opadów woda spływała w dół po wzgórzu. Za ostatnie pieniądze urządzili schronienie z plastikowych płacht

rozpostartych na patykach. Poniżej stało wiele podobnych chat i lepszych domów, między którymi widniały pęknięcia spowodowane przez erozję.

Skończyły się pieniądze. Ojciec dziewczyny wraz z innymi biednymi mężczyznami szukał pracy, przyjmowali każdą propozycję, czasem znajdowali coś na dzień lub dwa.

Byli głodni i zdesperowani. Potem zaczęło się coś, czego Teresa z początku nie rozumiała, chociaż wiedziała, że dziewczęta z faveli zarabiały pieniądze, sprzedając swoje ciała. Ojciec i matka milczeli, ale dziewczyna wiedziała, czego od niej oczekują - chcieli, żeby wyżywiła sześćosobową rodzinę. Teresa porozmawiała z koleżankami, które utrzymywały swoje rodziny. Dziewczęta kręciły się w pobliżu baraków, gdzie wieczorem pojawiali się żołnierze, albo szły do kawiarni, gdzie przesiadywali drobni złodzieje. Większość z tych dziewczyn pogodziła się ze swoją niską pozycją społeczną, z tym, że źle je traktowano, straciły już nadzieję, że ich życie zmieni się na lepsze.

Żeby zająć wyżej, trzeba było mieć pieniądze na elegancką sukienkę i buty, a przecież wszystko, co zarabiały dziewczęta oddawały rodzinom. Teresa była mądra i przewidująca, nie zamierzała być wiecznie dziwką żołnierzy.

Najpierw poszła z koleżanką, żeby zobaczyć, jak to wygląda.

Z łatwością zaczepiła żołnierza, który wziął ją na stojąco, opartą o ścianę, i dał jej tyle reais, że starczyło jej na jedzenie przez kilka dni. Teresę prześladował strach przed chorobą, bała się, że jej życie nigdy nie zmieni się na lepsze. Chodziła z żołnierzami, dopóki nie zarobiła na sukienkę i buty. Większość pieniędzy dawała matce, która za każdym razem pytała: „Tylko tyle?”. Jej głos był ostry, wstydziła się patrzeć córce w oczy, ale nieustannie ją karciała, chociaż przedtem były przyjaciółkami. Kiedy dziewczęta wychodziły o zmroku na ulicę, mieszkańcy faveli wyzywali je, kiedy wracały, mężczyźni szli za nimi i próbowali zmusić, żeby oddały im się za darmo.

Teresa była przedtem uczciwą dziewczyną, chodziła do kościoła. Ksiądz i nauczyciel lubili ją, mówili rodzicom Teresy, że ich córka jest darem od Boga. Ale teraz ludzie ją wyzywali. Czowała się podle. Od czasu, kiedy przybyli z północy, nosiła stare, dziurawe dzinsy i koszulę ojca.

W takim stroju wychodziła na ulicę, dlatego klienci płacili jej mało. Nie było gdzie się umyć. Miała tłuste włosy, wiedziała, że brzydko pachnie.

Musiała pokonać strach, aby wejść do sklepu i kupić sukienkę. Była pewna, że ją wyrzucą. Wiedziała dokładnie czego chce: już dawno wypatrzyła sukienkę wiszącą na wystawie. Weszła do sklepu, ściskając pieniądze w ręce, i powiedziała:

- Chcę kupić tę sukienkę.

Wiedziała, że nie pozwolą jej przymierzyć sukienki, ponieważ była brudna. Sprzedawczyni wzięła od niej pieniądze i włożyła sukienkę do torebki, zerkając ze złością na dziewczynę.

- Czy mogłaby pani przechować mi ją... przez kilka dni? - spytała Teresa.

Sprzedawczyni nie chciała się zgodzić, ale dziewczyna patrzyła na nią tak błagalnie, że w końcu uległa. Powiedziała, że przechowa sukienkę, ale tylko przez tydzień.

Teresa nie chciała wracać z sukienką do faveli: matka zmusiłaby ją, żeby sprzedała strój i kupiła jedzenie.

Dziewczyna zrobiłaby to, w głębi ducha wiedziała, że matka miałaby rację: dobrze znała jej rozpacz, kiedy dzieci były głodne, a w domu brakowało jedzenia.

Teresa uprawiała seks z mężczyznami na stojąco przy ścianie, w ciemności, a nawet w ciągu dnia, aż zarobiła na dobre buty. Zabrała sukienkę ze sklepu i ją założyła.

Sukienka była wąska w pasie, miała niewielki dekolt.

Teresa wyglądała teraz jak inna osoba. Przebrała się za krzakiem w parku. Założyła ładne subtelne buty na wysokim obcasie, chociaż wiedziała, że nie będzie jej łatwo w nich chodzić. Postanowiła się umyć, a to wymagało nie lada odwagi. Weszła śmiało do dużego hotelu - jednego z najlepszych, z taką miną, jakby była jego właścicielką.

Chodzenie w pantoflach na wysokim obcasie sprawiało jej trudność, bała się, że ludzie to zauważą. Mężczyźni z recepcji przyjrzeni się uważnie Teresie, ale doszli do wniosku, że dziewczyna przyszła do jednego z hotelowych gości. Dziewczyna znalazła pustą toaletę. Podwinęła sukienkę i, używając szmatki, którą przyniosła, umyła nogi i resztę ciała do pasa; potem zdjęła sukienkę, umyła piersi i pachy. Miała ochotę zabrać mydło dla rodziny, ale powstrzymała ją duma: Nie jestem złodziejką, pomyślała.

Drzwi otworzyły się, osoba, która weszła, obojętnie zerknęła na Teresę, skorzystała z toalety, a potem stanęła obok dziewczyny, która myła ręce, i odkręciła wodę.

Po chwili nieznajoma wyszła. Teresa chciała jeszcze umyć włosy, więc musiała podjąć największe ryzyko.

Kiedy wsadziła głowę pod kran, przestała słyszeć, co się dzieje dokoła. Miała szczęście. Kiedy wyprostowała się, żeby wycisnąć wodę z włosów, do toalety weszła kobieta.

Spojrzała na Teresę, ale nic nie powiedziała. Po chwili wyszła. Dziewczyna uczesała mokre włosy. Wiedziała, że teraz, w nowej czerwonej sukience i białych butach na wysokim obcasie, nie różni się niczym od innych dziewcząt. Wyszła z hotelu i usiadła przy stoliku, na słońcu, żeby wysuszyć włosy. Zbliżało się południe. Przy stolikach siedzieli ludzie, Teresa nie umiała ich ocenić, w większości turyści; zauważyła też kilka dziewcząt z faveli.

Podobnie jak ona dziewczęta wyglądały bardzo ładnie.

Pochodziły z najgorszych slumsów, ale wolno im było siedzieć przed hotelem, ponieważ miały ładne sukienki, buty i pieniądze na drinka. Nikt ich nie wyrzucał. Jedynie kelner mógł się przyczepić. Klienci prawdopodobnie nie domyślali się, kim są dziewczęta, ale kelnerzy wiedzieli wszystko.

Kiedy jeden z nich podszedł do stolika Teresy, dziewczyna zamówiła sok pomarańczowy i przez jakiś czas siedziała sama. W pewnym momencie zobaczyła, jak jedna z dziewcząt wchodzi do hotelu w towarzystwie mężczyzny.

W końcu do Teresy przysiadł się mężczyzna; wiedziała, że musi być odważna. Mężczyzna był turystą, znał kilka słów po portugalsku. Był Niemcem. Kiedy spytał: „ile?“, Teresa wymieniła absurdalnie wysoką sumę; oczekiwała, że mężczyzna ją wyśmieje: z drugiej strony jednak wiedziała, że hotel jest luksusowy, goście noszą eleganckie ubrania i jedzą wykwintne potrawy. Turysta powiedział: „w porządku“, zgodził się. Dziewczyna przeżyła chwilę grozy: co będzie, jeśli Niemiec zaproponuje, żeby poszli do jej pokoju? Ale on wziął Teresę pod rękę i poszli do małego hotelu, który znajdował się w innej części miasta. Nikt ich nie zatrzymał, kiedy wsiadali do windy. Teresa miała ze sobą plastikową torebkę ze sklepu. Były w niej jej stare ubrania, które nie pachniały ładnie. Kiedy wychodzili z windy, zostawiła tam torebkę.

Teresa spodobała się mężczyźnie, powiedział, że zostaje jeszcze tydzień, i chciał ją widzieć codziennie. Miała wielkie szczęście: nawet nie wiedziała jak wielkie. Ale być może nie była to tylko kwestia szczęścia, Teresa była piękna.

Sama doszła do tego wniosku, przeglądając się w długim lustrze, które wisiało w pokoju. Była piękna i potrafiła zadowolić mężczyzn. Polubiła turystę, był inny niż żołnierz.

Pod koniec tygodnia, który spędziła z Niemcem, wręczyła matce największą sumę pieniędzy, jaką kiedykolwiek jej dała. Nie było to wszystko, co zarobiła: pod stanikiem nosiła pliki banknotów. mając poczucie, że jest w ciągłym niebezpieczeństwie. Dziewczyny takie jak ona nie trzymały pieniędzy w banku. Teresa nie miała nawet dowodu osobistego, wiedziała, że będzie mieć kłopoty, jeśli złapie ją policja. Po całym dniu stania w kolejce dostała małą karteczkę, na której było napisane, że nazywa się Teresa Alves. Była rozczarowana, dokument nie pasował do jej wizerunku samej siebie. Dowód osobisty nie rozwiązał jej problemu z pieniędzmi. Właściciel jednego ze sklepów przechowywał pieniądze klientom, ale kazał sobie płacić za przysługę. Teresa nie ufała mężczyźnie, oddawała mu połowę tego, co zarobiła.

Przez tydzień nie zbliżała się do stolików wystawionych przed eleganckim hotelem;

usiadła tam dopiero wtedy, kiedy kupiła nową sukienkę - zieloną i po raz pierwszy w życiu poszła do fryzjera. Była bez wątpienia najpiękniejszą dziewczyną w kawiarni. Natychmiast znalazła nowego klienta, Greka. Przez kilka miesięcy robiła w hotelu karierę.

Mogła wyżywić rodzinę, miała oszczędności, mimo to zastanawiała się, jak uciec od bycia prostytutką. Wiedziała, że ryzyko zarażenia się chorobą jest mniejsze niż wtedy, kiedy chodziła z żołnierzami, ale i tak się bała, nawet kiedy lekarz, do którego poszła, powiedział, że jest zdrowa.

Bycie dziwką sporo kosztowało. Musiała wydawać pieniądze na ubrania, drogie drinki, kosmetyki i fryzjera, płaciła służącej z hotelu za przechowywanie jej eleganckich ubrań. Wydała na to wszystko tyle pieniędzy, ile jej ojciec - biedny farmer - zarobił przez całe życie.

Szczęście wciąż jej dopisywało: jeden z klientów, Amerykanin, który pracował w teatrze, płacił jej za informacje o lokalnych obyczajach, zabierał ją ze sobą w różne miejsca i prosił, żeby tłumaczyła dla niego proste rzeczy. Teresa nie znała dobrze angielskiego, ale udawała, że świetnie zna ten język. Stała się postacią znaną w świecie telewizji, filmu i teatru. Dostała pracę. Przestała być prostytutką, chociaż wiedziała, że pracując uczciwie, zarobi mniej. Raz na kilka dni jechała do faveli; wynajmowała tani pokój w Rio, nareszcie miała miejsce, gdzie mogła bezpiecznie trzymać pieniądze i ubrania. Jej matka była rozgoryczona, powtarzała, że dziewczyna pewnego dnia zniknie na zawsze i pozwoli rodzinie umrzeć z głodu.

Ale Teresa nie mogłaby zrobić czegoś takiego, matka dobrze o tym wiedziała. Reagowała złością, ponieważ było jej wstyd; obie zdawały sobie z tego sprawę. Teresa powiedziała rodzicom, że ma dobrą pracę; nie wierzyli jej, ale udawali, że wierzą - żeby zachować jej twarz i swoją - nie chcieli żyć z pieniędzy dziwki.

Rodzinie dziewczyny powodziło się lepiej niż innym rodzinom z faveli. Jej ojciec zbudował dom z cegieł z żelaznym dachem, o który często dudnił deszcz. W dwóch pokojach zamiast sześciu mieszkali trzy osoby: matka, ojciec i chorowita mała dziewczynka. Dwóch młodszych braci Teresy, z których jeden miał czternaście lat, a drugi dwanaście, przyłączyło się do gangu, którego członkowie grasowali po ulicach, kradnąc, co popadło. Chłopcy wracali do domu tylko po to, żeby poprosić o pieniądze, i znowu znikali. Czasem Teresa spotykała na ulicy dzieci z gangu, szukała wśród nich braci. Często widziała ich, przemykających obok niej albo siedzących beczynn timer na krawężniku.

Ich wzrok był pusty. Narkotyki. Brali je i sprzedawali.

Dziewczyna karciała braci, ale wiedziała, że powinna bać się tych bezlitosnych dzieci

ulicy, które dla garstki reais potrafiły zabić. Teresa pomagała matce w wychowywaniu braci, dzięki niej mieli jedzenie, czuła więc, że ma prawo ich besztać. Dawała im pieniądze. Ale musiała uważać, obawiała się, że wkrótce nie tylko bracia będą żądać od niej pomocy.

Dwa lata wcześniej zatrudnił ją Alex, który reżyserował sztukę w mieście, zostali kochankami. Teresa starała się udowodnić, że zależy jej na nim, nie chciała, żeby reżyser myślał, że jest z nim, ponieważ boi się stracić pracę. Ale jemu by to nie przeszkadzało, nie zwracał na takie rzeczy uwagi. Alex lubił Teresę, ufał jej, nie miał pojęcia o brudnych drogach jej życia, o tym, że uciekła z dalekiej, biednej wioski, a potem sprzedawała ciało, żeby wydobyć się z nędzy. Alex brał rzeczy takimi, jakie były. Poznał w Rio piękną Teresę i uznał, że na nią zasługuje. Umiał korzystać z życia, potrafił też być hojny.

- Mam matkę - powiedziała mu Teresa. - Daję jej pieniądze.

Alex wypłacał jej dużą pensję, żeby część pieniędzy mogła dawać matce.

Kiedy dziewczyna myślała o swojej sytuacji, wpadała w panikę. Jej rodzice i chorowita siostra byli od niej całkowicie zależni finansowo; zastanawiała się, jak pomóc braciom. Wynajmowała pokój od nieznannej śpiewaczki, która dzięki temu miała pieniądze na jedzenie, ale był on mały. Bracia Teresy nie mogli tam zamieszkać. Gdyby lepiej zarabiała, mogłaby wynajmować coś większego... Ale nie chciała wrócić do prostytucji. Odpowiedzialność zaczęła jej ciążyć. Dziewczyna skończyła siedemnaście lat, ale wszystkim mówiła, że ma dwadzieścia dwa. Kłamała, jak wówczas, kiedy twierdziła, że dobrze zna angielski. Często śniła o swojej rodzinnej wiosce, gdzie życie było bardzo ciężkie, ale tam miała bliskich, którzy się o nią troszczyli.

Potrzebowała kogoś, kto chroniłby ją przed niebezpieczeństwami, brakowało jej silnych ramion matki.

Teresa oparła głowę na rękę. W dzieciństwie nie przypuszczała, że w przyszłości będzie mieć tak wiele zmartwień. Obok niej przy stole siedział Ben i powtarzał smutnym głosem:

- Chcę jechać do domu.

Od czasu do czasu dziewczyna otaczała go ramionami.

- Biedny Ben - mówiła. - Dobry z ciebie chłopak.

Jednocześnie myślała o tym, że ten brodaty mężczyzna ma trzydzieści pięć lat. Tak było napisane w paszporcie Bena, chociaż on sam powiedział jej, że ma osiemnaście lat. Ludzie traktowali go jak dziecko, a on próbował spełnić ich oczekiwania, myślała Teresa. Ludzie zachowują się tak, jak inni ich traktują. Postanowiła, że będzie zachowywać się w stosunku do Bena jak wobec dorosłego mężczyzny. Od czasu do czasu prosiła, żeby w czymś

ją wyręczył - naszykował jej kanapkę albo zrobił kawę.

Wierzyła, że pod jej wpływem chłopak zacznie zachowywać się inaczej.

Ben nie zawsze siedział z Teresą. Drzwi oddzielające duży pokój od jego sypialni były zwykle otwarte, Teresa domyślała się, co chłopak robi. Zazwyczaj leżał na łóżku albo siedział na nim i przymierzał ciemne okulary. Po południu jego pokój zalewały drżące fale światła. Ben miał wrażenie, że w powietrzu unoszą się świetliste drzazgi i igielki, aby kłuć go w oczy. Kręciło mu się w głowie.

Przymierzał okulary jedne po drugich, zwykle wybierał najciemniejsze. Richard kupił mu dwie dodatkowe pary.

Po pewnym czasie chłopak zdejmował okulary i patrzył na fale światła, które przesuwały się po ścianie. Dlaczego moje oczy są inne? - kierował to pytanie do czegoś, co nazywał Losem albo Przeznaczeniem. Targał nim ból spotęgowany współczuciem, które okazywały mu stara kobieta i Teresa, powtarzając: „Biedny Ben”. Ale dlaczego, dlaczego różnił się tak bardzo od innych ludzi?

Tymczasem Alex i Paulo byli w górach. Dostali się tam małym samolotem z miasta, skąd samolot odlatywał tylko raz dziennie. Zamierzali dojechać tam samochodem, ale okazało się, że drogi są nieprzejezdne z powodu ulewy.

Zatrzymali się w małym hotelu, a raczej pensjonacie, który Paulo pamiętał z ich pierwszej wędrowki w tamte okolice. Odwiedzali to miejsce poszukiwacze złota, antropolodzy i geolodzy. Były tam cztery pokoje, budynek otaczała duża weranda, siedząc na niej, obaj mężczyźni pracowali nad scenariuszem. Włóczyli się często po wzgórzach, myśląc o Benie, o Benie i ludziach z jego plemienia. Wizja, która narodziła się w umyśle Alexa w nicejskim hotelu, była wciąż żywa, ale coraz mocniej nakładał się na nią inny obraz Bena - żalostnej, gwałtownej istoty, o której Alex i Paulo sądzili, że jest chora. Reżyser miał wyrzuty sumienia, czasem żałował, że przywiózł Bena do Brazylii, żałował całego pomysłu. Nic nie wychodziło z jego planów. Zupełnie inaczej pracowało się... kiedy wszystko szło dobrze i poszczególne elementy pasowały do siebie: ludzie, zdarzenia, artykuł w gazecie albo przypadkowo wzięta do ręki książka - wszystko to przyspieszało proces twórczy, człowiek wiedział, że los mu sprzyja. Od kiedy Alex zaczął pracować nad tym projektem, napotykał same trudności, pojawiało się coraz więcej przeszkód. Pisali scenariusz wiele razy, za każdym razem wierzyli, że będzie dobry, ale po pewnym czasie pojawiały się wątpliwości i dochodzili do wniosku, że to, co stworzyli, jest złe. Postać Bena miała być najmocniejszą stroną tej historii, postać Bena - takiego, jakim był naprawdę. Tymczasem właśnie z tą postacią mieli największe trudności; kiedy myśleli o Benie, słyszeli miarowe: łup! łup! łup! głową w ścianę.

Żartowali, że odgłos ten przypomina walenie dochodzące z kopalni, która znajdowała się niedaleko pensjonatu. Mieli nadzieję, że dzięki żartom uda im się spojrzeć na postać Bena z innego punktu widzenia.

Alex i Paulo nie tylko wspinali się po wzgórzach i niewysokich górach, odwiedzili też plemię Indian. Od tamtego spotkania rozpoczął się proces delikatnego, lecz nieodwracalnego usuwania ze scenariusza postaci Bena.

Polecieli czteroosobowym samolotem - był to już ich trzeci lot podczas wyprawy - nad rzekami i lasami, w końcu wylądowali w lesie tropikalnym. Powitali ich ludzie, którzy nie byli wrogo nastawieni, zareagowali entuzjastycznie, zobaczyli, co przywieźli im biali... za radą Paula. Dwa małe radia na baterie - baterie w grubych plastikowych torbach, które chroniły je przed wilgocią i gorącem - puszki z jedzeniem, ubrania, noże. Paulo rozmawiał z nimi, znał trochę miejscowy język. Alex przyglądał się w milczeniu.

Co za twarze, myślał. Co za ciała! Ci piękni ludzie wiedli nad brzegiem rzeki żywot pełen nieskażonego piękna.

Właśnie tak wyobrażał sobie ludzi, którzy w pierwotnej wersji scenariusza mieli najechać na plemię Bena, a potem...

Paulo i Alex nie mieli pomysłu, co dalej.

Mężczyźni zauważyli wiele pięknych dziewcząt, szczególnie jedna była najpiękniejszą i najdelikatniejszą istotą, jaką Alex kiedykolwiek widział. Miała około czternastu lat, tak mu powiedziano, i wkrótce miała wyjść za mąż.

Indianie nie mieli nic przeciwko temu, żeby wystąpić w filmie, ale postawili jeden warunek - reżyser nie miał prawa zabrać nikogo z młodych ludzi do dużego miasta, gdzie było wiele pokus. Zdaniem Indian najbliższe miasto znajdowało się godzinę drogi samolotem stamtąd, ale twórcy filmu nie mogli znaleźć go na mapie.

Ta dziewczyna... Alex i Paulo nieustannie o niej myśleli i mówili; byli nią zafascynowani. Wrócili na werandę pensjonatu, którym kierowali kobieta i mężczyzna w podeszłym wieku. Codziennie rano staruszkowie pytali Alexa i Paula, co przygotować do jedzenia, ale zawsze podawali tę samą potrawę: kurczaka z ryżem i fasolą na ostro. Alex i Paulo pili chłodne piwo z lodówki, która działała na baterie, ponieważ w górach prąd często wysiadał. Odrzucili wcześniejsze wersje scenariusza i zaczęli pisać na nowo - zaczęli od plemienia Indian i dziewczyny. Byłoby nieprawdą, gdybyśmy powiedzieli, że postać Bena zniknęła całkowicie ze scenariusza. Najpierw bohaterka została zmuszona do wyjścia za mąż za dzikiego mieszkańca wzgórz, który znalazł złoto i chciał ją kupić. Mężczyzna miał, zdaniem Alexa, niektóre cechy Bena, głównie głupotę i gwałtowność. Później adorator

zamienił się w zwyczajnego mężczyznę, który utykał na jedną nogę. Dziewczyna go wyleczyła. Można więc powiedzieć, że jedynie chora noga symbolizowała całą nienormalność Bena. Film, który powstał, odniósł sukces. Odtwórczyni głównej roli została gwiazdą, i mieszkańcy Rio mogli oglądać ją codziennie w telewizji. Było to szczęśliwe zakończenie - tak uważała dziewczyna, przynajmniej na początku kariery: kiedy dorosła, zmieniła zdanie.

Alex zadzwonił do Teresy z miasta, do którego polecili, żeby mieć dostęp do stacjonarnego telefonu. Powiedział, że zostanie w górach jeszcze co najmniej tydzień. Zapewnił dziewczynę, że życie w górach jest tanie i powiedział, że chce raz jeszcze odwiedzić plemię Indian. Poprosił Teresę, żeby opiekowała się Benem i nigdzie nie wyjeżdżała.

Chciał, żeby przygotowała go na wiadomość, że nie wystąpi w filmie.

Teresa była oburzona i tego nie ukrywała. Uważała, że Alex nie powinien był postąpić w ten sposób: przywiózł Bena do obcego kraju i porzucił. Ale była też zadowolona, czego nie dała po sobie poznać; wiedziała, że chłopak męczyłby się bardziej, gdyby musiał stanąć przed kamerą, może nawet by się załamał. Teresa uspokoiła się, omówili praktyczne szczegóły. Kończyły się pieniądze. Alex zaproponował, żeby dziewczyna skorzystała z pieniędzy Bena. Obiecał, że odda mu, kiedy wróci. W końcu spytał, jak Ben się czuje.

- W porządku - powiedziała Teresa. Nie zamierzała mówić Alexowi prawdy.

- To świetnie.

- Czy mam powiedzieć mu, że odwiedzisz go niedługo do domu?

- Tak, tak, obiecałem mu. Ale myślałem o tym, Tereso.

Ben mógłby zostać w Rio, jeśli polubił to miasto. Co o tym myślisz?

- On chce wrócić do domu - powiedziała dziewczyna drżącym głosem.

- Dobrze, w porządku. Powiedz mu, że niedługo wrócimy.

Teresa powiedziała Benowi, że nie zagra w filmie, była pewna, że chłopak się ucieszy. Nie wspomniała o tym, że Alex niedługo wróci, ponieważ wiedziała, że Ben boi się reżysera.

Minęły dwa, potem trzy tygodnie. Ich życie biegło zwyczajnym, codziennym trybem. Rano Teresa kupowała świeży chleb, potem robiła sobie kawę, a Benowi nalewała do szklanki sok owocowy. Próbowwała go namówić, żeby jadł więcej, ale chłopak stracił apetyt, był chudy i słaby.

Teresa uwielbiała plażę, ale Ben nie chciał tam chodzić.

Bał się też sam zostawać w domu. Dziewczyna chodziła z nim do kawiarni hotelowej, nie tam, gdzie pracowała, aby uwolnić się od nędzy, ale do innego hotelu, gdzie nikt jej nie

znał. Ben zakładał ciemne okulary i słomkowy kapelusz, który kupiła mu Teresa. Chłopak nosił kapelusz w ten sposób, że zasłaniał mu oczy. Spędzali kilka godzin przy stoliku, pijąc sok i patrząc na ludzi. Teresa uważnie obserwowała reakcje Bena: od czasu do czasu chłopak garbił się i uśmiechał, odsłaniając zęby.

- Co się stało, Ben?

- On jest zły - mówił chłopak. - On mi coś zrobi.

- Jestem przy tobie, Ben.

Teresa patrzyła na obcą osobę, która wydawała się całkiem niegroźna, i zastanawiała się, czym przeraziła Bena. Nie znajdowała odpowiedzi na to pytanie. Czasem na twarzy chłopaka pojawiał się uśmieszek zadowolenia.

Teresa orientowała się po chwili, że Ben przygląda się kolejnej równie niegroźnej osobie - zazwyczaj kobiecie.

- Musisz uważać, kiedy uśmiechasz się do kobiet.

- Lubię ją - mówił zazwyczaj Ben.

A raz dodał:

- Ona chyba też mnie lubi.

Podczas tych wypraw Teresa czuła, że dokoła czyha mnóstwo niebezpieczeństw, cieszyła się, kiedy wracali do domu. Robiła chłopakowi steka i próbowała zachęcić go do jedzenia, sama zjadała kanapkę. Długimi gorącymi południami leniuchowali, czasem wpadali znajomi Teresy - jedna lub dwie osoby, ale wieczory wyglądały inaczej niż wtedy, kiedy mieszkał z nimi Alex. Goście przynosili butelkę wina, mięso do ugotowania albo owoce - wiedzieli, że nie mogą liczyć na darmowy posiłek. Teresy nie było stać na urządzenie przyjęć, brała tyle, ile musiała z pieniędzy Bena. Chłopak nie chował się w swoim pokoju, siadał przy stole ze znajomymi Teresy. Nie uczestniczył w rozmowach, nie rozumiał wszystkiego, o czym goście mówią, ale przysłuchiwał się i docierało do niego więcej, niż mogło się wydawać Teresie i innym. Teresa i jej znajomi nieustannie się śmiali, Ben zastanawiał się, co jest przyczyną ich wesołości: chłopakowi większość rzeczy wydawała się przerażająca. Bardzo często myślał o starej kobiecie, o tym, jak o niego dbała. We wspomnieniach nawet w kotce widział przyjaciela, którego stracił. Wiedział, że Ellen Biggs umarła, ale to nie powstrzymywało go od myślenia o tym, że powitałaby go z radością, gdyby zapukał do jej drzwi.

Goście, którzy odwiedzali Teresę, należeli do niższej klasy społecznej niż znajomi Alexa. Nie było wśród nich reżyserów, scenarzystów, znanych aktorów ani tancerzy.

Do grona znajomych Teresy należeli mało znaczący ludzie ze świata teatru i telewizji

- technicy telewizyjni, specjalistki od PR, także tłumacz, z którym dziewczyna się zaprzyjaźniła, ponieważ chciała poznać lepiej język angielski. Trochę uczyła ją angielskiego charakteryzatorka; zaś piosenkarka z klubu, gdzie bywali marynarze, nauczyła Teresę grać na gitarze i śpiewać piosenki po angielsku. Wśród gości nie było dziewcząt z faveli ani nikogo, kto wiedział o jej przeszłości. Pośród gości często bywała dobra znajoma Teresy - Inez. Teresa była dumna z tej znajomości. Inez pochodziła z dobrej rodziny, jej ojciec był profesorem na uniwersytecie; pracowała jako asystentka w laboratorium.

Teresa poznała ją, kiedy kręcono krótki film dla telewizji o genach i dziedziczeniu. Reżyser filmu konsultował się w niektórych sprawach z ojcem Inez. Przyjaciółka Teresy była zafascynowana teatrem jak większość ludzi, których życie od urodzenia toczy się utartą koleiną. Uważała, że jest skazana na przewidywalność.

Teresa bała się tej mądrej, wykształconej kobiety, która potrafiła pięknie mówić i miała w życiu możliwości, o których Teresa nawet nie mogła marzyć. Z kolei Inez była pod wrażeniem Teresy. W przeciwieństwie do Alexa, który wydawał się nie wierzyć, kiedy Teresa powiedziała mu, że przeszła setki kilometrów na piechotę, żeby dotrzeć do Rio, Inez wiedziała, przed czym uciekała jej przyjaciółka.

Nieraz leciała samolotem nad wysuszonymi terenami, gdzie unosiły się tak gęste chmury pyłu, że ledwo było widać koryta rzek w dole i domy otoczone tumanami kurzu, Inez wiedziała o istnieniu faveli. Kiedy usłyszała historię Teresy, ogarnęło ją współczucie, ciekawość i coś w rodzaju winy. W Rio nie można uciec przed nędzą, człowiek staje z nią oko w oko na każdym zakręcie. Jej symbolem są bezdomne dzieci i członkowie gangów ulicznych, którzy śpią na chodnikach, podobni do stert porzuconych ubrań, taplają się w fontannach jak ptaki, piszczą i krzyczą, piją wodę i rozglądają się, czy w pobliżu nie ma policjantów, którzy czekają tylko, żeby ich zamknąć albo nawet zabić.

Kiedy Inez dowiedziała się, że Teresa ma rodzinę w faveli, spytała, czy może tam z nią pojechać; od dawna chciała odwiedzić to miejsce, ale powstrzymywał ją strach, wiedziała, że z Teresą będzie się czuć bezpiecznie.

Z początku Teresa nie chciała się zgodzić, bała się, że mądra, kapryśna przyjaciółka wzgardzi nią, w końcu się zgodziła. Miała powód. Powiedziała Inez, żeby założyła mocne buty, sama ubrała się w dzinsy, białą koszulę i buty na płaskim obcasie. Młode kobiety dojechały taksówką do miejsca, skąd widać było fawelę na wzgórzu, i brudnymi ścieżkami, które wiły się wśród chat, weszły na szczyt. Ojciec Teresy spał na łóżku zrobionym z plastikowych płacht przymocowanych do drewnianej ramy, którą znaleźli na śmietniku; matka siedziała pod daszkiem z toreb rozpostartych na kijach, trzymając na kolanach chorą

dziewczynkę.

Teresa wręczyła matce kopertę z pieniędzmi, unikając jej wzroku. Twarz kobiety nie złagodniała; powitała Inez chłodno, chociaż dziewczyna zrobiła na niej duże wrażenie.

Teresa o tym wiedziała - nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby wziąć Inez za prostytutkę, była zbyt dystygowana.

Matka Teresy nie poczęstowała ich niczym, ale Teresa obeszła łóżko, na którym spał mężczyzna, zdjęła z pułki plastikową butelkę i naląła wody do dwóch szklanek, dla siebie i przyjaciółki. Nie miały gdzie usiąść. Teresa zauważyła, że Inez boi się pić ze szklanki, która mogła być zakażona. Młode kobiety stały w milczeniu, podczas gdy matka siedziała, wachlując śpiące dziecko i patrząc na rozpadające się dachy chat. W końcu przełamała się i spytała Inez, czym się zajmuje. Dziewczyna powiedziała, że pracuje w laboratorium. Ponura kobieta, która nigdy się nie uśmiechała, położyła dziecko na łóżku, w rogu i przyniosła dwa stołki - jeden dała Inez, drugi córce.

Spytała Inez, gdzie poznała Teresę, z wyrzutem wymawiając imię córki. Inez powiedziała, że poznały się, kiedy Teresa brała udział w robieniu filmu dla telewizji. Teresa miała nadzieję, że jej przyjaciółka o tym wspomni: jej matka złagodniała nagle, wiadomość zrobiła na niej wrażenie.

Przedtem starała się nie patrzeć na swoją zhańbioną córkę, jakby Teresy nie było, ale teraz spojrzała na nią ze łzami w oczach. Kiedy żegnała się z córką, objęła ją po raz pierwszy od dwóch lat i wybuchła płaczem. Teresa także się rozpląkała. Matka szlochała, patrząc, jak dwie schludne, piękne młode kobiety, potykając się, schodzą stromymi ścieżkami ze wzgórza.

Inez była poruszona wizytą. Kiedy dotarły do domu, rozpląkała się w obecności Bena. Powiedziała, że podziwia Teresę, och, nie była w stanie myśleć o tych wszystkich biednych ludziach, jak to mądrze ze strony Teresy, że stamtąd uciekła. Inez była szczerą, Teresa nie miała co do tego żadnych wątpliwości, ale myślała: Muszę podziękować ci za coś, czego nigdy nie zrozumiesz. Inez nie wiedziała, że Teresa była kiedyś prostytutką; gdyby o tym wiedziała, czułaby jeszcze większy podziw dla przyjaciółki i jeszcze większą pogardę dla swojego spokojnego życia.

Wydarzenia, które nastąpiły później, z pewnością nie zaskoczyłyby Rity i Johnstona. Inez pracowała dla biologa, przyjaciela jej rodziców, który kierował laboratorium. Inez powiedziała mu o Benie, opisała go jako yeti.

- W każdym razie coś w tym rodzaju.

Nikt nie wiedział, do jakiego gatunku należy Ben.

- Jest opóźniony w rozwoju - powiedziała. - Tak sędzę.

Powinieneś go zobaczyć.

Inez powiedziała Teresie, że jej szef - jak to taktownie określiła, nie wspominając, że ów „szef” był przyjacielem jej rodziców i znała go całe życie - chciałby poznać Bena. Wzbudziło to czujność Teresy, zaczęła się obawiać.

Być może zareagowałyby inaczej, ale słowa „naukowiec”, „nauka” napawały ją strachem: nie wiedziała nic o nauce.

Całe jej wykształcenie sprowadzało się do tego, że umiała czytać, znała podstawy arytmetyki i była religijną osobą.

Nie całkiem zdawała sobie sprawę, jak głęboka była jej ignorancja: to, że Inez zdobyła tak gruntowne wykształcenie, graniczyło z cudem, sama nigdy nie miała takich możliwości, mogła o nich jedynie marzyć. Imponowało jej, że Inez przyjaźni się z naukowcami, podczas gdy ona sama spotykała się z dziewczynami pracującymi w barze, aktorkami, z których większość nie miała pracy, i piosenkarkami, które występowały w klubach, żeby zarobić na kolacje i czasem nawet zaoszczędzić kilka reais. Inez fascynowała ją, ponieważ pracowała w laboratorium i rozumiała tajemnice współczesnego świata. Teresa spytała, co naukowiec zrobi z Benem.

- Po prostu chce go zobaczyć - powiedziała jej przyjaciółka.

Inez zdawała sobie sprawę, że kłamie, ale była kobietą wykształconą i uważała, że nie ma nic ważniejszego niż prawda naukowa: jej wiara w naukę miała charakter niemal religijny, podobnie było w przypadku Teresy. Inez wiedziała, że biolog nie poprzestanie na przyjrzeniu się chłopakowi, ale czuła się ważna i silna, miała nadzieję, że dzięki niej Ben - zagadka naukowa, trafi w ręce kogoś, kto ją rozwiąże. Nie powiedziała o tym Teresie, która czuła, że przyjaciółka ją okłamuje. Spokojna, uśmiechnięta twarz Inez stała się nagle twarzą wroga. W tamtej chwili ich przyjaźń umarła.

Teresa postawiła warunek: spotkanie miało być zorganizowane w taki sposób, żeby nie przestraszyć Bena.

Ustaliły, że Inez i jej szef przyjdą w następną sobotę, Teresa zamierzała też zaprosić kilku przyjaciół, których Ben znał. Chłopaka nie poinformowano, że przyjdzie ktoś szczególnie. Teresa była zdenerwowana, ale mówiła sobie, że wszystko jest pod kontrolą, miała nadzieję, że Inez nie złamie warunków, które Teresa postawiła.

Nadeszło niedzielne popołudnie. Ben, Teresa i jej znajomi siedzieli przy stole, kiedy Inez pojawiła się z Luizem Machado, przystojnym, gładkim w obyciu mężczyzną około czterdziestki, który uśmiechał się, dając wszystkim do zrozumienia, że mogą się rozluźnić. Znajomy Inez był szefem departamentu w instytucie, gdzie prowadzono badania nad

roślinami lasów tropikalnych, jednego z wielu podobnych departamentów. Luiz Machado nie zajmował się takimi przypadkami jak Ben, ale znał dyrektora innego departamentu, określanego jako „złe miejsce”, który z pewnością uznałby Bena za prawdziwy skarb. Luiz Machado robił wszystko, żeby nie przestraszyć chłopaka, ale było oczywiste, że Ben czuje się nieswojo w jego obecności.

Skarcił Inez za to, że weszła w tak bliską relację z Teresą, nie podobało mu się, że pojechały razem do faveli.

Powiedział, że Inez mogła zostać zamordowana albo porwana. Jeśli chce znaleźć przyzwoitego męża (a wiedział, że chce) powinna być ostrożna - znajomości Inez z ludźmi z niższych sfer mogą zniechęcić kandydata na męża.

Jego brązowe oczy uśmiechały się, przez pewien czas zerkał życzliwie na ludzi siedzących przy stole, potem przeszył Bena długim, uporczywym spojrzeniem. Chłopak odwzajemnił spojrzenie, jego oczy pociemniały, zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Starał się zrobić na gościu dobre wrażenie: Teresa zabrała go wcześniej do fryzjera, który ostrzygł Bena i przyciął mu brodę. Założył koszulę dobrej jakości szytą na miarę, na jego twarzy pojawił się szeroki, przestraszony uśmiech, który ludzie interpretowali zwykle w niewłaściwy sposób. Naukowiec wyciągnął rękę, żeby się z nim przywitać, ale Ben nie podał mu swojej.

Naukowiec usiadł obok Inez. Tylko Teresa wiedziała, po co Luiz przyszedł. Wszyscy znali Inez, wiedzieli, jak ma na imię, wiedzieli, że jest bogatą dziewczyną, która wspomaga finansowo ludzi teatru. Zaczęto rozmawiać, na stole pojawiło się jedzenie i wino. Ben milczał, od czasu do czasu patrzył na Luiza, po czym zerkał na boki, jakby chciał uciec. Naukowiec uśmiechał się uprzejmie, nie patrzył już na Bena tak często jak wcześniej, posyłał mu krótkie spojrzenia, a i tak za każdym razem dowiadywał się czegoś nowego. Chłopak nie tknął jedzenia. Teresa bała się, że pójdzie do swojego pokoju i zacznie walić głową o ścianę. Inez ciągle się uśmiechała, mówiła do Teresy przepraszającym tonem, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy. Ta zwykle opanowana młoda kobieta miała poczucie winy i Teresa czuła się zakłopotana. Atmosfera była napięta. Po pewnym czasie Luiz oznajmił, że musi wrócić do laboratorium, tak, musi coś sprawdzić, chociaż jest niedziela - eksperymenty nie respektują kalendarza.

Wstał i spojrzał na Inez, która natychmiast podniosła się z krzesła, chociaż miała ochotę jeszcze zostać. Ta dwójka z wyższych sfer podziękowała i pożegnała się.

Po ich wyjściu goście poczuli się swobodniej, przy stole zrobiło się wesoło. Ale Ben poszedł do swojego pokoju i usiadł przy oknie w ciemnych okularach: niebo zalane było popołudniowym światłem słonecznym, białe iskry sypały się ze skrzydeł ptaków krążących

nad morzem.

Kiedy wyszli ostatni goście i zrobiło się cicho, Ben wrócił do salonu i zobaczył, że Teresa siedzi przy stole, płacząc. Dziewczyna czuła, że jest w sytuacji bez wyjścia, była zupełnie bezradna.

- Kiedy będę mógł wrócić do domu? - spytał Ben.

- Kiedy Alex zabierze mnie do domu?

Teresa przestała płakać, ponieważ Ben wspomniał o Alexie: zwykle tego nie robił. Teresa pomyślała, że chłopak musi być przerażony.

Nic nie powiedziała.

- Kim jest ten człowiek?

- To bardzo mądry człowiek.

- Co on ze mną robi?

Trafność tego pytania pogłębiła jeszcze obawy dziewczyny.

- Nie wiem, Ben. - powiedziała. - Ale on nie robi ci krzywdy.

- Nie lubię go.

Teresa też go nie lubiła. Ona i Inez pochodziły z różnych środowisk, mimo to czuły się ze sobą swobodnie. Ale z Luizem było inaczej: Teresa nie potrafiła zaufać temu przystojnemu wiecznie uśmiechniętemu mężczyźnie.

Luiz zadzwonił do niej następnego dnia.

- Nie podoba mi się to - powiedziała mu Teresa. - Nie chcę tego robić.

Potem próbowała z nią porozmawiać Inez.

- Powiedziałam: nie - przerwała jej Teresa.

Ben był w pokoju i Teresa nie chciała przy nim rozmawiać z Inez. W końcu zgodziła się na spotkanie ze znajomym Luiza i Inez - Alfredo miał porozmawiać z nią i z Benem.

Odłożyła słuchawkę i zobaczyła, że Ben uśmiecha się szeroko.

- Ben, oni chcą, żebyś coś dla nich zrobił. Nie skrzywdzą cię.

Ben nadal się uśmiechał, rzucając na boki nerwowe spojrzenia.

- To nic takiego. Mnie też o to poprosili.

- O co?

- Chcą zrobić badania. - Zaczęła mu tłumaczyć, na czym polegają badania, chociaż sama niewiele o nich wiedziała. - Pobiorą ci krew i może znajdą odpowiedź na pewne pytania.

- Dowiedzą się, dlaczego jestem inny niż wszyscy?

- Tak, o to właśnie chodzi.

- Nie chcę.

Późnym wieczorem zadzwonił dzwonek do drzwi

- Alfredo przyjechał z laboratorium, które znajdowało się wiele mil stamtąd, wśród niskich gór. Teresa zauważyła, że Ben cały się trzęsie.

- W porządku, Ben - powiedziała. - Nie bój się.

Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła mężczyznę, który nie pochodził z wyższych sfer, był kimś takim jak ona - wysoki mężczyzna o brązowej karnacji, podobnie jak Teresa miał ciemne oczy i czarne włosy; patrzyli na siebie i zaczęli mówić z akcentem regionu, z którego oboje pochodzili. Alfredo wyruszył w niebezpieczną podróż dziesięć lat wcześniej; był starszy od Teresy. Podobnie jak ona mieszkał w faveli, uciekł stamtąd i miał się różnych prac, stopniowo piął się w górę. Dzięki inteligencji i szczęściu, bez którego nie mogą się obyć nawet odważni i zaradni, osiągnął sukces, jaki rzadko osiągali ludzie z jego środowiska - został asystentem w laboratorium.

Asystent - tak nazywało się jego stanowisko, w rzeczywistości Alfredo pełnił funkcję „chłopaka do wszystkiego.

Woził ludzi samochodem, czyścił sprzęt, mył stoły w laboratorium, pomagał w przygotowaniu próbek i, podobnie jak Teresa, uczył się angielskiego. Opanował ten język nieco lepiej niż ona.

Teresa zdała sobie sprawę, że ludzie z laboratorium postąpili bardzo sprytnie, przysyłając Alfreda. Liczyli na to, że Teresa zaufa człowiekowi, który pochodzi z tego samego środowiska, i mieli nadzieję, że Ben polubi tego bezpośredniego mężczyznę. Chłopak usiadł z nimi przy stole i próbował zrozumieć, o czym mówią - prowadzili ożywioną rozmowę o swoim dzieciństwie, o tym, jak potoczyło się ich życie, o ucieczce z faveli. Ponieważ Ben nie rozumiał, o czym mówią, próbował wyczytać jak najwięcej z ich twarzy. Wiedział, że obcy mężczyzna go nie skrzywdzi; polubił Alfreda, ponieważ czuł, że Teresa go polubiła.

Ale kiedy skończyli rozmawiać, Teresa powiedziała:

- Ben, oni chcą, żebym przyjechała z tobą do laboratorium. Zrobią nam badania - najpierw mi, potem tobie.

Przekonasz się, że nic mi nie jest, i przestaniesz się bać.

- Nie chcę - powiedział Ben.

Podczas rozmowy o dzieciństwie Alfredo obserwował Bena.

- Naukowcy chcą dowiedzieć się więcej o ludziach takich jak ty - powiedział.

- Nie ma ludzi takich jak ja. Mam rodzinę, w domu.

Ale oni są zupełnie inni. Nigdy nie widziałem kogoś takiego jak ja.

- Ale ja widziałem ludzi takich jak ty – powiedział Alfredo.

Reakcja Bena sprawiła, że Alfredo nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Ben pochylił się do przodu, jego oczy pełne były wdzięczności, po brodzie spływały łzy.

Złożył swoje wielkie dłonie, wydawało się, że jasny płomień szczęścia rozświetlił jego ciało od wewnątrz.

- Tacy jak ja? Ludzie tacy jak ja?

- Tak - powiedział Alfredo. Wiedział, że chłopak czeka na dalsze słowa, ale nie chciał niszczyć jego szczęścia.

Ben łkał, ale nie były to łzy rozpacz; radość, którą czuł, była prawie nie do zniesienia, wstał i zaczął krążyć po pokoju, tańcząc, tupiąc i wydając odgłosy podobne do szczekania. Dwoje obserwatorów wiedziało, że w owej chwili Bena opuścił smutek, który czuł przez całe życie.

Teresa patrzyła wyczekująco na Alfreda; wiedziała, że powinien powiedzieć coś jeszcze, ale zdawała sobie sprawę, że Alfredo milczy z tego samego powodu co ona.

- Ludzie tacy jak ja - śpiewał chłopak. - Jak ja. Ludzie tacy jak Ben.

Przestał na chwilę tańczyć i spytał:

- Tacy sami?

- Tak, tacy sami.

- Zabierzesz mnie do nich?

Alfredo powinien był w owej chwili powiedzieć Benowi smutną prawdę, ale nie chciał niszczyć jego szczęścia.

Teresa wiedziała, że chłopak cierpiał, martwiła się o niego, ale dopiero teraz uświadomiła sobie, jak głęboka była rozpacz, którą nosił w sercu. To uniesienie i wybuch radości były reakcją na coś, czego nie mogła sobie nawet wyobrazić. Teresa nigdy nie przeżyła czegoś takiego.

Bywała nieszczęśliwa i przestraszona, ale co musiał czuć Ben przez ten cały czas?

Chłopak nadal tańczył, robił tak dużo hałasu, że Teresa zaczęła się martwić o sąsiadów z dołu. Miała nadzieję, że nie ma ich w domu. Po pewnym czasie chłopak podszedł do stołu, usiadł i zwrócił się do Alfreda:

- Zabierzesz mnie tam jutro?

- To daleko stąd - powiedział Alfredo. - W górach.

Bardzo daleko stąd.

- Najpierw musimy pojechać na badania - ty i ja - powiedziała Teresa.

- Nie musimy - sprzeciwił się Ben.

- Musimy - powtórzyła Teresa.

- Musimy - przytaknął Alfredo.

Ben wywnioskował z tego, że badania są warunkiem, na który musi się zgodzić, jeśli chce poznać ludzi podobnych do siebie. Zgodził się więc następnego dnia pojechać z Teresą i Alfredem do laboratorium. Alfredo miał po nich przyjechać.

Ben nie spał w nocy, Teresa leżała w łóżku, szlochając od czasu do czasu. Myślała o Alfredzie, wiedziała, że to mężczyzna dla niej. Spodobała mu się. Gdyby nie sprawa z Benem, spędziłaby noc, marząc o Alfredzie. Ale te badania ją przerażały. Wiedziała jedynie, że pobiorą Benowi krew. Nie lubiła pobierania krwi, ale przecież wielu ludzi się temu poddawało. Nie znosiła zastrzyków. Współczesna medycyna była dla niej czymś obcym; tylko raz poszła do lekarza, żeby sprawdzić, czy nie zaraziła się chorobą weneryczną i postanowiła, że nigdy tam nie wróci. Inez mówiła o pobieraniu krwi w taki sposób, jakby nie przychodziło jej do głowy, że ktokolwiek może się tego bać.

Teresa myślała także o Benie, który był zbyt szczęśliwy, żeby zasnąć.

Zanim Alfredo wyszedł, Teresa szepnęła mu do ucha, tak, żeby chłopak nie słyszał:

- Naprawdę widziałeś ludzi takich jak Ben?

- Malowidła - powiedział Alfredo. - Znalazłem je w górach, kiedy pracowałem w kopalni. Malowidła na skałach, zrobili je ludzie pierwotni. Na skałach w naszej wiosce można znaleźć podobne malowidła, ale te były lepiej zachowane.

Rozumiała, dlaczego Alfredo nie był w stanie powiedzieć Benowi prawdy. Czowała, że powinna to zrobić, ale nie potrafiła. Radość chłopaka wypełniała pokój, Teresa czuła ją wszędzie wokół siebie. Kiedy poszła do kuchni, żeby napić się wody, usłyszała, jak Ben wzdycha i mruczy w swoim pokoju. Te radosne dźwięki sprawiały, że dziewczyna uśmiechała się, chociaż była bardzo zdenerwowana dniem, który miał nadejść.

Następnego dnia ubrany i uczesany Ben siedział przy stole, wpatrując się w drzwi, kiedy wszedł Alfredo. Chłopak wiedział, że będzie musiał wsiąść do samochodu, ale był na to przygotowany.

Jechali wzdłuż plaży, Ben starał się nie patrzeć na fale morskie, po pewnym czasie wyjechali z miasta, za oknem migały pola, gdzie krowy stały w wysokiej, soczystej trawie. Jechali w kierunku wzgórz. Ben siedział, trzymając się kurczowo krawędzi okna, które było otwarte, żeby miał czym oddychać. Mimo to zrobiło mu się niedobrze i Alfredo musiał się zatrzymać. Ben wysiadł, Teresa też. Chłopak zwymiotował, potem stanął na poboczu i spojrzał na wzgórza: miał ochotę uciec, ale przypomniał sobie o obietnicy Alfreda... Wrócił

do samochodu. Po chwili znaleźli się na krętej drodze, która pięła się po zboczu wzgórza. Chłopak chwycił Teresę za rękę, czuł się okropnie.

- Patrz, Ben - powiedziała dziewczyna.

Chłopak otworzył oczy i jęknął ze strachu, nad nimi trzech mężczyzn frunęło pod kolorowymi kwadratami przypominającymi skrzydła. Ben nigdy nie widział czegoś takiego.

- Co to jest? Co oni robią? - spytał.

Alfredo uspokoił go, powiedział, że mężczyźni latają na lotniach.

- Lotnia - taki wielki parasol, na którym opada się łagodnie w dół.

Wysiedli z samochodu, wysoko zadarli głowy i patrzyli na mężczyzn, którzy minęli ich i wylądowali niżej, poza zasięgiem ich wzroku, na wijącej się drodze. Ben obserwował ich z otwartymi ustami.

- My też tak możemy? - spytał.

- Tak - powiedział Alfredo. Zdawał sobie sprawę, że nie tylko Benowi, ale i Teresie imponował bogaty, mądry świat, w którym ludzie latają na parasolach i czują się bezpiecznie, bo ich życie zawsze było bezpieczne. - Moglibyśmy pofrunąć, gdybyśmy mieli pieniądze.

- Pieniądze - powiedział Ben. - Gdzie są moje pieniądze?

- W sejfie, w mieszkaniu - powiedziała Teresa. Z pieniędzy Bena zostało bardzo niewiele, ale Teresa była pewna, że Alex odda chłopakowi to, co musiała wydać.

- Chciałbyś pofrunąć tak jak oni? - spytał Alfredo. Był ciekaw, w jaki sposób Ben postrzegał mężczyzn na lotniach, którzy zniknęli za horyzontem.

Chłopak milczał, wpatrując się w jakiś odległy punkt.

Nie wiedzieli, o czym myśli.

Wsiadli z powrotem do samochodu, droga prowadziła przez wzgórza. Krajobraz był piękny, Teresa cieszyła się, że może patrzeć na wzgórza, ale Ben siedział z zamkniętymi oczami. Musieli znowu się zatrzymać i chłopak zwymiotował.

W końcu dotarli do „instytutu”. Teresa i Ben wyobrażali sobie, że zobaczą budynek, ale przed ich oczami ukazało się coś w rodzaju miasta: niskie pawilony, pomiędzy których wyrastały wysokie, imponujące budynki, na jednym z nich widniał czarny napis: „Szpital”. Na całym świecie istnieją szpitale, laboratoria, instytuty naukowe i stanowiska obserwacyjne, których funkcje ulegają pomieszeniu. Ben i Teresa wciąż rozglądali się za „instytutem”, kiedy samochód zatrzymał się przed budynkiem, nieróżniącym się niczym od tuzina pozostałych. Alfredo otworzył drzwi, żeby mogli wysiąść. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego i przestraszonego. Powiedziano mu, żeby pod żadnym pozorem nie zbliżał się do niektórych budynków, nie wolno mu było wspominać o nich w obecności Bena i Teresy. Tego, co działo

się w owych budynkach, wstydzieli się wszyscy pracownicy, a nawet jeśli nie wstydzieli się, to byli temu bardzo niechętni. Alfredo czuł coś więcej niż zwykle zainteresowanie Benem - wyobrażał sobie, że tak było z innymi ludźmi - litował się nad chłopakiem, ale też miał poczucie winy. Powinien był się zastanowić, zanim powiedział Benowi o rysunkach, o tym, że widział podobnych do niego ludzi. Dopiero teraz zdawał sobie sprawę, jak straszne mogą być konsekwencje tego, co zrobił. W którymś momencie trzeba będzie powiedzieć Benowi prawdę, Alfredo wiedział, że chłopak będzie, delikatnie mówiąc, rozczarowany. Teraz jednak miał inne zmartwienie: zastanawiał się, co jego zwierzchnicy - Alfredo nie przepadał za nimi - mieli zamiar zrobić z Benem?

Zabronili mu mówić o złym miejscu - o czymś, co ludzie nazywali „klatkami” - w obecności chłopaka; Alfredo domyślił się, że chcą go skrzywdzić. Czuł się nieswojo, jedynym pocieszeniem dla niego była obecność Teresy.

Powiedział jej, że badania nie są wcale takie straszne; uśmiechnął się, żeby podnieść ją na duchu, ten uśmiech mówił coś więcej. Bena i Teresę zaprowadzono do dużego pokoju pełnego aparatury doświadczalnej, tymczasem Alfredo parkował samochód; chciał być blisko Teresy, ale kazano mu zająć się czymś innym.

W pokoju czekały dwie młode kobiety w białych kombinezonach. Jedną z nich była Inez, która musiała pożyczyć kombinezon: zdecydowano, że jej obecność uspokoi Bena.

Chłopak był przestraszony, podobnie jak Teresa, ale dziewczyna robiła wszystko, żeby tego nie okazać.

Asystentce udzielono wcześniej szczegółowych instrukcji.

Poprosiła Bena, żeby „pomógł” Teresie, siadając obok niej i biorąc ją za rękę. Teresa usiadła na niskim stole i wyciągnęła rękę. Asystentka założyła jej gumową opaskę i na pompowała ją, żeby zmierzyć ciśnienie. Potem nadeszła kolej Bena. Chłopak uśmiechał się, kiedy mierzono mu ciśnienie. Asystentka uznała to za dobry znak, nie wiedziała, co oznacza ten uśmiech. Ben poczuł wściekłość, kiedy opaska zacisnęła się wokół jego ręki. Asystentka powiedziała Teresie, że pobierze jej krew. Dziewczyna zamknęła oczy i odwróciła głowę, żeby nie patrzeć na strzykawkę wypełnioną ciemną krwią. A teraz Ben: czy się zgadza?

- Chodź, Ben - powiedziała Teresa. - Musisz to zrobić.

Tak jak ja.

Chłopak pozwolił, żeby asystentka wbiła mu igłę, i patrzył, jak zbiorniczek napęla się krwią: nie było to dla niego nic nowego, pobierano mu krew w dzieciństwie.

Był przyzwyczajony do badań bardziej niż Teresa, która jako dziecko nie korzystała z drogich usług służby zdrowia.

Wszystko szło jak z płatka. A teraz - badanie wzroku.

W pokoju pojawiła się inna kobieta. Okuliści badali już wzrok Benowi w Nicei, chłopak więc nie protestował.

Uszy... Inez poprosiła Teresę, żeby spytała Bena, czy robiono mu kiedykolwiek testy słuchu.

- Dlaczego sama go o to nie spytasz? - powiedziała Teresa. W jej cichym głosie brzmiała gorycz; nie była w stanie spojrzeć w oczy Inez, która była wszystkiemu winna, a na dodatek zachowywała się w sposób prowokujący.

- Czy miałeś kiedyś testy słuchu, Ben? - spytała Inez.

Chłopak wiedział, że ma lepszy słuch niż inni ludzie, ale powiedział tylko:

- Tak.

Siedział cierpliwie, kiedy wsadzano mu do ucha rozmaite instrumenty i świecono latarką.

A teraz mocz: Inez spodziewała się, że chłopak odda mocz w ich obecności - jak zwierzę, pomyślała Teresa - ale Ben wziął pojemnik i zaczął się rozglądać za osobnym pomieszczeniem.

- Wejdz za zasłonę - rozkazała Inez. Teresa miała wrażenie, że jej głos brzmi ostro i pogardliwie. Ben oddał mocz za zasłoną i przyniósł pojemnik.

Obcięli mu trochę włosów i paznokci i pobrali do badania fragment jego naskórka.

Ben poddawał się tym zabiegom w milczeniu, z obojętnością - uśmiechał się.

A teraz chcieli przyczepić mu do głowy elektrody, żeby zbadać aktywność jego mózgu, ale kiedy Ben zobaczył urządzenie, cofnął się ku drzwiom, chciał uciec. Teresa (ponaglana przez Inez) zapewniła go, że i ona podda się badaniu, ale to nie przekonało chłopaka.

- Dobrze, wobec tego zrobimy rentgen.

Teresa po raz pierwszy w życiu poddała się zdjęciom rentgenowskim. Badanie trwało długo, zrobiono jej rentgen nóg, rąk, stóp, miednicy, kręgosłupa, ramion i szyi.

Pominięto głowę, żeby nie przestraszyć Bena. Chłopak stał z boku, przyglądając się zdjęciom, które asystentka podawała Teresie, a potem jemu. Z zainteresowaniem patrzył na kości Teresy.

- Miałeś kiedyś rentgen? - spytała Inez.

- Tak - powiedział Ben. - Raz złamałem nogę.

Inez westchnęła niecierpliwie, żałowała, że chłopak nie wspomniał o tym wcześniej, ale powiedziała tylko:

- Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy to zrobili, prawda?

Ben zniósł wszystko cierpliwie. Teresa stała tuż obok, Inez czuwała nad przebiegiem badań.

Zrobiło się późne popołudnie.

- Jestem głodny - powiedział Ben.

Nie chciały, żeby Ben wzbudził komentarze, więc nie zabrały go do stołówki. Przyniesiono kanapki. Teresa była głodna, chłopak nigdy nie lubił chleba, wyjął z kanapek plasterki mięsa i zjadł. Teresa poprosiła o owoce, Ben zjadł je z chęcią.

Inez powiedziała, że przyczepią mu do głowy elektrody i zrobią badanie mózgu.

- Nie - powiedział Ben, a potem zaczął krzyczeć: - Nie, nie, nie!

Chcieli zbadać, jak funkcjonuje układ trawienny, krwionośny i oddechowy Bena. Zamierzali zrobić mu wiele innych badań, ale badanie mózgu należało do najważniejszych.

- Nie! - krzyknął raz jeszcze Ben i zaczął tupać.

Inez poszła zadzwonić; z jej drobnej, szczupłej postaci emanowała determinacja, którą Teresa dobrze rozumiała.

- Chcę jechać do domu - powiedział Ben. Miał na myśli mieszkanie w Rio.

Inez wróciła, na jej twarzy widniał szeroki, fałszywy uśmiech. Nie patrzyła na Teresę, która domyślała się, że przyjaciółka nie powie jej prawdy. Oznajmiła, że Alfredo odwiezie ich do domu.

Wracali krętymi drogami przez wzgórza. Ben miał mdłości, musieli zatrzymać się dwa razy. W końcu jechali wzdłuż morskiego brzegu, a potem znaleźli się w mieszkaniu. Alfredo wszedł na chwilę i powiedział, że nazajutrz chcą zrobić Benowi kolejne badania. Ben powiedział: „nie”, czego asystent się spodziewał.

Alfredo i Teresa stali blisko siebie, patrząc sobie w oczy.

Bez słów powiedzieli sobie, że będą bronić Bena, nie podobało im się to, co się działo. Powiedzieli sobie także, że bardzo się lubią. Gdyby nie obecność chłopaka, który pochylił się nad stołem i zaczął uderzać pięściami o blat, tych dwoje najprawdopodobniej padłoby sobie w ramiona, albo coś zostałyby powiedziane. Teresa i Alfredo bardzo szybko stali się sobie bliscy, tak jakby znali się od dawna; kilka miesięcy później wzięli ślub. Ich historia ma szczęśliwe zakończenie: spełniły się ich marzenia.

Po wyjściu Alfreda Teresa i Ben siedzieli przez jakiś czas przy stole. Potem dziewczyna usmażyła mu steka i jeszcze jednego; Ben był bardzo głodny.

Teresa była tak zdenerwowana, że prawie nie spała w nocy, wiedziała, że naukowcy coś knują. Słyszała, jak Ben chodzi po swoim pokoju, ale przynajmniej nie walił głową o

ścianę.

Następnego ranka zadzwonił telefon: Luiz Machado oznajmił, że przyjedzie porozmawiać o Benie. Teresa powiedziała o tym chłopakowi, chwilę później rozległo się walenie w ścianę. Dziewczyna usiadła przy stole, przez jakiś czas trwała bez ruchu, jej oddech był płytki i nerwowy.

Zaczęła gładzić swoje długie czarne włosy, jakby miała nadzieję, że w ten sposób przywróci życiu jego naturalny porządek. Czekwała, mówiąc sobie, że musi być silna, musi bronić Bena i siebie. Na samą myśl o tych potężnych ludziach, robiło jej się słabo, miała ochotę uciec. Wymagano od niej, żeby zmierzyła się z kimś, kto reprezentował świat współczesnej nauki, którego bała się przez całe życie. Kto tego oczekiwał? Ona sama. Alfredo. I biedny Ben.

Luiz Machado przyjechał w towarzystwie Amerykanina Stephen. Profesor Gumlack albo Goonlach - Teresa nie dosłyszała jego nazwiska - był szczupłym, kościstym mężczyzną. Miał wypukłe kości policzkowe, usta lekko rozchylone z powodu wielkich zębów; głęboko osadzone oczy pod wyraźnie zarysowanymi łukami brwiowymi były tak wylupiaste, jakby miały lada chwila wypaść.

Profesor pracował w znanym instytucie w Stanach. Teresa domyśliła się, że to znany instytut, ponieważ Amerykanin, przedstawiając się, patrzył na nią wyczekująco, jakby sprawdzał, czy rozpoznała jego nazwisko. Wiedziała też, że kiedy nie dała mu odpowiedzi, profesor uznał, że jest ignorantką.

Kiedy Ben wszedł do pokoju, mężczyźni dali Teresie do zrozumienia, żeby go wyprosiła. Chcieli porozmawiać z nią o chłopaku, a potem wydać jej polecenia.

- To jest Luiz Machado, którego poznałeś wcześniej, Ben - powiedziała dziewczyna głośno, ponieważ bała się, że głos jej zacznie drżeć. - A to profesor Stephen... Gumlack...

- Gaumlach - poprawił ją szybko mężczyzna, okazując irytację.

- Profesor Gaumlach - powtórzyła ostrożnie Teresa.

- Profesor pochodzi z Ameryki, jak Alex. - Zwróciła się do mężczyzn: - Alex przywiózł tu Bena, ponieważ chciał zrobić z nim film. - Powiedziała do chłopaka: - Siadaj, Ben, wszystko w porządku.

Mężczyźni wyglądali na zbitych z tropu. Teresa tryumfowała: nie zamierzała wypraszać Bena z pokoju. Kiedyś traktowano ją jak służącą, ale nie zamierzała pozwolić, żeby w ten sposób postępowano z Benem.

Chwila ciszy. Profesor Stephen Gaumlach pochylił się do przodu i powiedział:

- To ważne, to naprawdę bardzo ważne.

Dziewczyna doznała wrażenia, że starannie wymawiane słowa toczą się w jej stronę niczym szklane kulki. Oczy profesora były zimne, fanatyczne, opętane. Rzadko czuła do kogoś taką antypatię jak do tego człowieka.

- Postaraj się zrozumieć, Tereso...

- Nazywam się Teresa Alves - przerwała mu.

Profesor spojrzął na nią, zdumiony, i zamrugął oczami.

Po chwili się poprawił.

- Panno Alves, prawdopodobnie jest to największe odkrycie mojego życia. Musi pani to zrozumieć. Taka okazja zdarza się bardzo rzadko. Ten... Ben jest niezwykle.

- Ben Lovatt. On się nazywa Ben Lovatt.

To na dobre uciszyło profesora, który wyduł swoje wielkie, wypukłe wargi i cmoknął ze złością. Zerknął na Luiza, jakby oczekiwał od niego pomocy. Luiz Machado przysłuchiwał się tej wymianie zdań z dystansem, był spokojny, opanowany, gładki w obyciu.

Ben też przysłuchiwał się rozmowie z uśmiechem.

Od czasu do czasu zerkał w bok, jakby miał nadzieję, że zobaczy ukryte w ścianie przejście, prowadzące do lasu, gdzie znał każdy zakręt i czuł się bezpiecznie. Są ludzie tacy jak ja, myślał. Alfredo powiedział, że są. Gdyby chłopak się nie bał, wypowiedziałby na głos tę myśl.

- Jeśli Ben się zgodzi, nie będę wam przeszkadzać - powiedziała cicho Teresa. - Jeśli nie, nie macie prawa go zmuszać.

Profesor Stephen otworzył swoje, jakby stworzone do wygłaszania przemówień, usta, żeby zaprotestować, pochylił się do przodu i podniósł rękę, ale Luiz uśmiechnął się przyjaźnie i powiedział, że nie ma mowy o zmuszaniu kogokolwiek. Powiedział to po portugalsku i dodał po angielsku, tak, żeby jego kolega zrozumiał:

- Trzeba mu wszystko wyjaśnić.

Po chwili znowu zwrócił się do Teresy po portugalsku:

- Nie rozumie pani, jakie to ważne. To rejon naukowych dociekań profesora Gaumlacha. Jest światowym autorytetem. O tych badaniach będzie głośno na świecie.

- Wciąż pan to powtarza - powiedziała dziewczyna po portugalsku. Po chwili przeszła na angielski: - Opiekuję się Benem. Alex Beyle powierzył Bena Lovatta mojej opiece.

Teresa przypuszczała, że Inez powiedziała Luizowi o Alexie; bała się, że naukowiec wie o zmianie planów reżysera, który nie zamierzał już robić filmu z Benem. Gdyby chłopaka zaangażowało studio filmowe, albo gdyby istniała przynajmniej szansa, że zagra w filmie, ludzie nie traktowałiby go jak dziwoląga, który nie ma gdzie się podziąć.

- Ben musi sam zdecydować - powiedziała.

Mężczyźni spojrzeli na siebie; Teresa wiedziała, że podejmują decyzje bez słów.

- Ben ma paszport - powiedziała z nadzieją w głosie.

Żałowała, że wcześniej o tym nie wspomniała.

Jej słowa zaskoczyły obu mężczyzn: nie spodziewali się tego.

- On jest z Wielkiej Brytanii. - Teresa nie знаła słowa „obywatel”. - Nie możecie go do niczego zmusić.

Krótkie milczenie: bezgłosny dialog między mężczyznami trwał, wiadomość o tym, że Ben posiada legalne dokumenty nie przeszkodziła im w podjęciu decyzji. Luiz podniósł się z krzesła, Amerykanin zrobił to samo. Nastąpiło formalne pożegnanie.

- Dona Teresa - powiedział Luiz.

- Panno Alves - dodał profesor Gaumlach.

Wyszli, nie patrząc na Bena.

Później zadzwonił Alfredo. Powiedział, że ma złe wieści.

Kazano mu pojechać do Rio i porozmawiać z Benem, gdyby chłopak nie zgodził się pojechać z Alfredem do instytutu, zwierzchnicy kazali mu użyć siły.

- Nie mają prawa - powiedziała Teresa. - Jak mogą zrobić coś takiego?

- Powiedziałem: nie - ciągnął Alfredo. - Nie zgodziłem się. Teraz nie mam pracy.

- Jeśli nie masz dokąd pójść, możesz przyjechać tutaj

- powiedziała Teresa. Próbowała w ten sposób wybadać, czy Alfredo ma żonę albo dziewczynę, czy ma gdzie mieszkać.

- Na szczęście nie jestem zakwaterowany w instytucie, tylko u przyjaciela. - Alfredo wiedział, o co pyta Teresa.

- Przyjadę do ciebie jutro, Tereso.

Kiedy pojawił się następnego ranka, drzwi mieszkania były otwarte, zamek został wyłamany. W środku nie było Teresy ani Bena.

Oto, co się wydarzyło: Teresa i Ben zjedli śniadanie.

Oboje byli zdenerwowani, czuli, że coś się wydarzy.

Dziewczyna powiedziała, że idzie na zakupy, kazała Benowi zostać w mieszkaniu i nikomu nie otwierać, chyba że przyjdzie Alfredo. Chłopak siedział posłusznie przy stole, a kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, krzyknął:

- Czy to Alfredo?

Ktoś zaczął pukać do drzwi, coraz natarczywiej i głośniejsze.

Ben siedział cicho, wiedział, że nie należało się odzywać.

Chwilę później wywarzono drzwi, do pokoju wpadło dwóch mężczyzn, chwycili Bena pod boki, a kiedy zaczął się wyrywać, zakneblowali mu usta. Zwieźli go na dół windą i wsadzili do samochodu. Zamknęli okna, zwiążali Benowi nadgarstki, kolana i kostki. Chłopak obijał się o ściany samochodu, kiedy pędzili przez wzgórza. Musieli się raz zatrzymać - Ben wymiotował i zaczął się dusić.

Wyjęli mu z ust kawałek materiału, zmusili, żeby wypił trochę taniego wina - był to jedyny napój, jaki mieli - i zatkali mu z powrotem usta tym samym kawałkiem materiału. Kiedy dotarli na teren instytutu, minęli budynek, w którym Ben był poprzedniego dnia, i zatrzymali samochód przed innym, o którego istnieniu Alfredowi nie wolno było wcześniej wspominać. Do tego rodzaju zadań łatwo wynająć ludzi na całym świecie, w Rio było to równie proste jak w innych miejscach.

Kiedy Teresa wróciła z zakupami, zastała drzwi otwarte i wyłamany zamek; Ben zniknął. Dziewczyna przez chwilę nie mogła złapać tchu. Opadła na krzesło stojące przy stole z rękami rozrzuconymi przed siebie, wtuliła twarz w ramiona. Jej pierwszą myślą było: Alfredo przyjedzie i mi pomoże. Nie wiedziała, że Alfredo był już w mieszkaniu i pędził teraz samochodem w stronę instytutu, żeby sprawdzić, co się stało. Może Alex wróci, pomyślała Teresa.

Ale reżyser dzwonił dwa dni wcześniej, żeby powiedzieć, że zamierza złożyć kolejną wizytę Indianom. „Moi Indianie”, mówił o nich.

Nie przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić do Ambasady Brytyjskiej i powiedzieć, że porwano obywatela brytyjskiego.

Teresa nie wiedziała, że obywatele tego kraju mieli prawo korzystać z tego rodzaju pomocy; wiedziała jedynie, że paszport jest świadectwem tożsamości respektowanym przez urzędników. Często kartkowała paszport Alexa, w którym były różne wizy, myślała wówczas: Być może pewnego dnia będę taki mieć. Wtedy odwiedzę te wszystkie kraje.

Przez chwilę nie mogła zebrać myśli, potem przypomniała sobie, że Alfredo nie przyszedł. Miała nadzieję, że zadzwoni, żeby to wyjaśnić. Nie była w stanie usiedzieć na miejscu, wstała i zaczęła na oślep chodzić po pokoju, w którymś momencie wpadła na krzesło. Otworzyła szerzej okno, do pokoju wpłynęło ciężkie, gorące powietrze. W końcu przyszła jej na myśl Inez. Tak, Inez: Teresa zadzwoniła do niej, a kiedy usłyszała w słuchawce głos Inez, powiedziała:

- Słuchaj, mówi Teresa.

I dodała szybko, zdecydowanym tonem:

- Nie odkładaj słuchawki, Inez, nie rób tego.

Usłyszała głośny oddech, wiedziała, że Inez się boi.

- Gdzie jest Ben? - spytała. - Zabrali go. Gdzie on jest?

Po drugiej stronie rozległo się słabe: „Nie wiem”.

- Wiesz - powiedziała Teresa zimnym tonem, który zdumiał nawet ją samą. - Jest tam, gdzie byliśmy wczoraj?

- Nie - odparła Inez.

W ciszy, która zapadła, słyszały swoje oddechy. Po chwili Teresa odezwała się:

- Zabiję cię. Jeśli mi nie pomożesz, to cię zabiję.

W owej chwili Inez uświadomiła sobie, dlaczego fascynowała ją ta przedstawicielka niższej klasy, zrozumiała, dlaczego pociągali ją biedni ludzie, wiodący ciężki żywot.

Poczuła dreszcz strachu, te słowa przebiegły przez jej ciało, poraniły nawet oczy.

- Byłaś moją przyjaciółką, Inez. I zrobiłaś coś takiego.

- Nie wiedziałam - wykrztusiła Inez. - Nie wiedziałam, że oni to zrobią.

- Ale teraz już wiesz. Wiesz, gdzie on jest.

Inez wiedziała, gdzie był Ben; samochód, w którym zamknięto chłopaka, przejechał przed budynkiem, w którym pracowała. Wszyscy w instytucie wiedzieli. Pracownicy tłoczyli się przy oknach, słuchając jęków i krzyków dobiegających z samochodu. Niektórzy twierdzili, że widzieli, jak Ben rzuca się i szamocze. Inez, podobnie jak inni pracownicy, wiedziała, dokąd mężczyźni wiozą Bena, zrobiło jej się niedobrze. Nie tylko ona zareagowała w ten sposób. Asystentka z laboratorium, która poprzedniego dnia robiła Benowi badania, była w szoku. Powiedziała kolegom z instytutu, co o tym myśli. Jej zdaniem ten dziwoląg podobny do yeti był łagodną istotą, niemal jak przeciętny człowiek; nikt nie powinien traktować go w ten sposób. Porwanie Bena, o którym wszyscy się wkrótce dowiedzieli, sprawiło, że napięcie i wstyd, związane z istnieniem tego budynku, odżyły.

Inez usłyszała, jak Teresa mówi:

- Masz po mnie przyjechać. Muszę znaleźć Bena. Muszę pojechać tam, gdzie go trzymają.

- Nie mogę - powiedziała Inez. - Nie mogę tak po prostu wyjść z pracy.

Wiedziała, co usłyszy:

- Inez, ja mówię serio. Zabiję cię. Jesteś złym człowiekiem.

Teresa kazała jej natychmiast przyjechać do Rio.

- Ben ma paszport, Inez. Oni nie mają prawa tego robić. Powiedz im.

Inez podczas rozmowy siedziała w laboratorium. Asystentka, która poprzedniego dnia robiła Benowi badania, słyszała całą rozmowę; powiedziała ze złością do Inez:

- Dlaczego oni to robią? On nie jest zwierzęciem.

Inez poszła do samochodu. Miała nadzieję, że nie zobaczył jej nikt ze zwierzchników - szczególnie Luiz.

Pojechała do Rio, myśląc o tym, że może stracić pracę.

Ale tak naprawdę w to nie wierzyła. To, co się wydarzyło, było niezgodne z prawem. Inez miała pewność, że ludzie odpowiedzialni za porwanie Bena (wobec którego nie żywiła żadnych uczuć, nawet nie myślała o nim jako o osobie), zamierzali wywieźć go gdzieś daleko, skąd nigdy nie wróci. Zdarzało się, że ludzie znikali. Luiz, nie, nie on, tylko ten Amerykanin, liczył na coś i miał rację - pracownikom instytutu tak bardzo zależało na utrzymaniu cennych, ciężko wywalczonych stanowisk, że nie pisnęliby słówkiem o całej sprawie. Jeśli chodzi o Inez, jaką popełniła zbrodnię? Po prostu wyszła z instytutu na kilka godzin.

Jechała szybko. Teresa czekała na nią z torbą, do której włożyła ubrania Bena i jego ciemne okulary. Nie miała pojęcia, co zrobi, kiedy znajdzie (znajdą) chłopaka. Tuż przed przybyciem Inez zadzwonił Alfredo. Dowiedział się od kierowcy, który go zastępował w instytucie, że zabrali Bena w „złe miejsce”. Alfredo powiedział Teresie, żeby do niego przyjechała, wynajmował pokój w domu na wsi, niedaleko instytutu. Ustalili, że zastanowią się wspólnie, jak uwolnić Bena.

Jechały w milczeniu drogą przez wzgórza. Teresa patrzyła na profil Inez; na zimnej, pięknej i jednocześnie obcej twarzy przyjaciółki malowało się poczucie winy. Teresa bała się, że wpadła w pułapkę, zaczęła się zastanawiać, czy Inez zamierza ją porwać, żeby uniemożliwić pomoc dla Bena. Zdobyła się na odwagę i ją o to spytała. Inez zaczęła płakać, powiedziała, że Teresa jest niesprawiedliwa i okrutna, przecież to nie ona porwała Bena, prawda?

Kiedy dojechały do domu, o którym mówił Alfredo, Inez zatrzymała samochód. Wsiadając, Teresa powiedziała:

- Powiedz im, że zrobili coś bardzo złego. Policja może ich ukarać. Powiedz im.

Inez nie zamierzała nikomu o tym mówić, miała tylko nadzieję, że nikt nie zauważył jej nieobecności.

Teresa stała na zakurzonej poboczu jezdni, słońce oświetlało jej postać; zobaczyła Alfreda, który wyszedł z małego domu. Kiedy uśmiechnęli się do siebie, na chwilę zapomnieli o niepokoju związanym z Benem; otoczył ją ramieniem i poprowadził do swego pokoju.

Było popołudnie, około trzeciej. Alfredo wiedział, gdzie jest Ben, i powiedział o tym Teresie. Uważał, że powinni tam pojechać, dopiero kiedy zrobi się ciemno. Zazwyczaj w

nocy nie było nikogo w pobliżu „klatek”, ale tego wieczoru mogło być inaczej - z powodu Bena. Chłopaka obezwładniono lekami uspokajającymi, tak powiedział kierowca zastępujący Alfreda. Słyszał, jak Luiz i Amerykanin rozmawiają w samochodzie. Luiz miał ambiwalentny stosunek do tego, co się stało: słowo „paszport” zrobiło na nim wrażenie. Stephen za wszelką cenę chciał zatrzymać Bena w instytucie.

- On ma trochę nie po kolei w głowie – powiedział Antonio, przyjaciel Alfreda. - Zupełnie jak pies, który trzyma w pysku kość. Już jej nie wypuści.

Antonio znał „klatki” lepiej od Alfreda. Powiedział, że będą potrzebowali mocnych obciążników do przecinania drutu. Najpierw, radził, trzeba przeciąć kabel alarmowy, połączony z głównym budynkiem, gdzie przez całą noc czuwał strażnik. Zapytał, co Alfredo zamierza zrobić dalej?

Alfredo powiedział mu. Antonio odparł, że w takim razie musi uciec z nimi, był pewien, że straci pracę, którą tak niedawno dostał.

Alfredo i Teresa zaczęli robić plany. Byli pewni, że jeśli uda im się wywieźć Bena z Rio, nikt nie ruszy za nimi w pogoń. Alfredo powiedział Teresie, że jeśli ktokolwiek im zagrozi, będą musieli zawiadomić brytyjskich przedstawicieli w Rio. Dziewczyna słuchała go z zainteresowaniem, dopiero teraz dowiedziała się, że obywatele obcych krajów mogą ubiegać się o tego rodzaju pomoc.

Teresa nigdy by nie pomyślała, że rząd może poświęcić tyle uwagi jednej osobie, takiej jak ona. Ale tu chodziło o amerykańskiego profesora, szaleńca. Kiedy Antonio określił w ten sposób Gaumlacha, Teresa wcale się nie zdziwiła: nie miała co do tego wątpliwości. Pamiętała jego wielkie, nabrzmiałe wargi, z których sypały się słowa, zielone oczy, wydające się niczego nie dostrzegać, ponieważ profesor nieustannie był skupiony na tym, co działo się w jego wnętrzu, żył swoją obsesją.

- Czy to ważne? - spytała Alfreda Teresa. - Czy to ważne: wiedzieć kim Ben jest?

- Uważają, że Ben musi być cofnięty w rozwoju - o tysiące lat. Dzięki niemu mogliby dowiedzieć się czegoś o ludziach żyjących tak dawno temu.

Ten pomysł wydał się Teresie interesujący - to była druga strona osobowości Teresy, tak różna od jej płomiennego niepokoju o Bena. Traktowała go jak bezradne dziecko i zdawała sobie z tego sprawę. Nie obchodzili ją ludzie, którzy żyli dawno temu. Obchodził ją Ben, którego kochała.

Podczas rozmowy w gorącym pokoju, pijąc cocacolę, uświadomili sobie, że istniał jeszcze jeden problem, który będą musieli rozwiązać. Ben wierzył, że Alfredo wie, gdzie mieszkają podobni do niego ludzie.

- Musimy mu powiedzieć - odezwała się Teresa. Pamiętała nagły wybuch radości Bena - wydawało się, że szczęście rozsadza ciało chłopaka, kiedy myślał o ludziach podobnych do niego. Teresa nie była w stanie powiedzieć Benowi.

Nie była mu w stanie powiedzieć, że ludzie ci istnieją jedynie na malowidłach skalnych. To było okrutne, straszne... Ale ktoś musiał mu powiedzieć prawdę.

- Może zabierzemy go w to miejsce, żeby zobaczył malowidła na skałach? Lepsze to niż nic, nie uważasz?

- Kiedy pracowałem w kopalni niedaleko Jujuy, chodziłem po wysokich górach. Lubię to - być sam w górach.

Ale tamte góry są wysokie, bardzo wysokie, inne niż góry tutaj. Niewielu ludzi się po nich wspina. Pewnego ranka obudziłem się - kiedy zasypiałem, było ciemno - i ujrzałem przed sobą malowidła na skale. Padało na nie światło słoneczne. Malowidła widać, kiedy świeci słońce, ale wystarczy odrobina cienia i znikają. Można tamtędy przejść i ich nie zauważyć... Tak czy inaczej, pojedziemy tam.

Teresa wiedziała, ile pieniędzy zostało Benowi. Była to całkiem spora suma, ale dziewczyna nie zamierzała wydać ani reala więcej, niż musiała. Alfredo miał oszczędności. Mogli kupić trzy tanie bilety lotnicze.

- Nie ma problemu - powiedział Alfredo. - Umówię się z przyjacielem, żeby przyjechał po nas samochodem.

Mam tam znajomych. Pracowałem w kopalni trzy lata.

Znajdę pracę. Przez pewien czas będę się trzymać z dala od Rio, kiedyś już byłem do tego zmuszony... opowiem ci o tym, Tereso...

Oboje myśleli o tym, że jeśli Alfredo zacznie pracować w kopalni i Teresa z nim zamieszka, wówczas straci wszystko, czego dorobiła się w Rio.

- Czy w Jujuy jest teatr i kursy tańca? Czy przyjeżdżają tam reżyserzy? - spytała.

- W kopalni płacą całkiem nieźle - powiedział Alfredo.

- Znają mnie. Mogę tam popracować rok, a ty będziesz czekać na mnie w Rio.

Po raz pierwszy ich wzajemne zrozumienie przybrało kształt słów.

- Możemy wziąć ślub w Jujuy. W ten sposób będziemy mieć pewność - rok minie szybko.

Teresa myślała o trzech latach, które spędziła w Rio.

Ten okres intensywnych znajomości i wydarzeń wydawał jej się bardzo długi.

- Porozmawiamy później - dodał Alfredo, widząc na jej twarzy powątpiewanie.

Zapadał zmrok. Na jednym ze wzgórz pomiędzy drzewami połyskiwały światła

instytutu. Wzięli obcęgi do przecinania drutu i powoli ruszyli przed siebie, tak jakby mieli zamiar odwiedzić kogoś, kto mieszkał na terenie instytutu.

A jednak minęli kwatery zajmowane przez pracowników i weszli do lasu otaczającego instytut. Oboje byli dziećmi dzikiej natury, żadne z nich nie bało się lasu. Szli szybko ścieżką, którą ich stopy wydawały się rozpoznawać, minęli główne zabudowania instytutu i zostawili je za sobą. Kilkaset jardów przed nimi widniała odseparowana grupa oświetlonych budynków. Dochodziły stamtąd jęki, nawoływania, krzyki. Było to „złe miejsce”, Teresa o tym wiedziała.

- Nie podoba mi się tu - szepnął Alfredo.

Gdzie był Ben? Stanęli na skraju lasu, patrząc na rozrzucone budynki, nie wiedzieli, w którą stronę iść.

Nagle Teresa usłyszała znajomy łomot: łup! łup! łup! Po chwili hałas rozległ się znowu.

- On tam jest - powiedziała i zaczęła biec zakurzoną drogą w kierunku jednego z budynków. Im byli bliżej, tym głośniejszy stawał się łomot. Zrobiło się ciemno.

Budynek był oświetlony z przodu, a więc zakradli się od tyłu i zobaczyli, że okna są otwarte. Ze środka dolatywał obrzydliwy smród. Alfredo wskoczył na parapet i dostał się do wnętrza, Teresa za nim. Z lampy na suficie sączyło się słabe światło. Rzędy klatek, w których siedziały małe i duże małpy, ustawiono jedne na drugich tak, że odchody z górnych klatek musiały spadać na zwierzęta poniżej.

Były tam też króliki, których głowy unieruchomiono, po to, by można było wpuszczać im do oczu lekarstwa.

Duży kundel z niedbale zaszytą raną od ramienia do kości biodrowej leżał na brudnej słomiance z grzbietem całym w odchodach. (Psu zrobiono operację rok wcześniej; od czasu do czasu ranę otwierano, żeby sprawdzić, w jakim stanie są organy wewnętrzne. Podawano mu ten czy inny lek i zszywano go jak torbę z surowego płótna.

Rana była częściowo otwarta i można było dostrzec pulsujące organy.) Małpy wyciągały z klatki ręce, ich ludzkie oczy błagały o pomoc. Teresa nie widziała tego wszystkiego, patrzyła na Bena, który klęcząc w jednej z klatek, walił głową o kraty. Nie dano mu leków uspokajających, profesor Stephen nie chciał, żeby chłopak był oszołomiony. Ben był nagi, Ben, który nosił ubrania od urodzenia. W rogu klatki leżały jego odchody.

- Alarm - powiedziała Teresa do Alfreda, który zaczął szukać właściwego kabla. Na dźwięk jej głosu chłopak wyprostował się i zawył; podniósł głowę i spojrzał na dziewczynę.

- Cicho, Ben - szepnęła Teresa. - Zabierzemy cię stąd.

Jego oczy - co było w nich dziwnego? W słabym świetle wyglądały jak dwie czarne studnie, pełne przerażenia i rozpacz.

- Ben, Ben, bądź cicho, musisz być cicho.

Chłopak zamilkł, ale jego oddech podobny był do jęku. Alfredo znalazł kabel alarmowy i go przeciął. Potem zwymiotował: nie mógł znieść smrodu i duchoty.

Zabrał się za wycinanie otworu w klatce Bena. Pręty były grube - nawet bardzo silne zwierzę nie dałoby rady ich rozerwać. Teresa patrzyła na klatkę, w której leżała kotka z małymi. Do głowy zwierzęcia przymocowano przewody połączone z instrumentem przytroczonym do krat klatki. Cztery małe kotki ssąły mleko matki, każde miało przewody przyczepione do głowy. Kotka spojrzała na Teresę, w jej oczach było tyle wyrzutu, że dziewczyna miała ochotę zasłonić twarz rękami. Alfredo wywiercił otwór w klatce Bena.

- Cicho, bądź cicho, Ben - szepnęła Teresa i otoczyła chłopaka ramieniem.

Ben był brudny, trzął się na całym ciele - biedna, upokorzona istota... Ale chłopak zaskoczył ich - wyrwał się z uścisku, dał susa przez okno i zaczął biec w kierunku lasu. Teresa i Alfredo ruszyli za nim.

- Zatrzymaj się, Ben! Tam są ludzie, nie idź tam, wracaj.

Teresa i Alfredo poruszali się ostrożnie wśród drzew; w panującej dokoła ciemności nie dochodziły ich żadne dźwięki, ale Teresa wiedziała, że Ben jest w pobliżu.

- Usiądę tutaj, Ben. Alfredo też. On jest przyjacielem.

Chodź do mnie, Ben. Zabierzemy cię do domu Alfreda i od razu wyjedziemy.

Cisza. Dyskretne odgłosy lasu. Z tyłu, z budynku, w którym przed chwilą byli, dobiegło wycie małp - przeraźliwy dźwięk, prosto z piekła, spotykanego wszędzie tam, gdzie ludzie tworzą cywilizację.

- Ben, Ben, chodź tu do mnie. - Poznali po zapachu, że chłopak się zbliża.

- Zabierzecie mnie do ludzi takich jak ja? - usłyszeli.

- Tak, tak, Ben, zabierzemy cię - odparła Teresa, nie mniej niż on zrozpaczona.

Chłopak kucnął obok nich, dygocząc.

- Chodź, Ben, musimy zachowywać się cicho, bardzo cicho. Postaraj się nie robić hałasu.

W lesie byli bezpieczni, musieli jednak wyjść na odkryty teren, ryzykując, że ktoś ich zobaczy. Na szczęście większość pracowników jadła wieczorny posiłek. Z budynków dobiegały dźwięki telewizji, radia, głosy.

- A teraz biegnijmy - powiedział Alfredo.

- Szybko, Ben - dodała Teresa.

Cała trójka puściła się pędem, ciemną ulicą, poprzecinaną tu i ówdzie światłami domów, do pokoju Alfreda. Teresa wepchnęła Bena do łazienki, puściła prysznic i szorowała chłopaka, dopóty, dopóki woda wokół jego stóp nie przestała być brudna. Potem kazała mu wyjść, wytarła go i założyła mu czyste ubranie, które przyniosła. Alfredo znalazł sok i owoce. Benowi chciało się pić, ale nie tknął owoców. Wpatrywał się błagalnie w Teresę: jak mały z klatki, na które dziewczyna wołała nie patrzeć.

- Jakim prawem oni to robią? - spytała Alfreda.

Alfredo milczał, miał ponurą minę; Teresa wiedziała, że jest mu wstyd.

- Robią to w imię nauki - powiedział w końcu.

Ben przestał dygotać, ale ciężko mu było spojrzeć im w oczy. Skulił się na krześle, jego ręce zaciśnięte w pięści zwisały bezwładnie, wysunął głowę do przodu, w oczach wciąż gościł strach.

- Zawieziemy cię do Rio - powiedziała Teresa. - Jutro wsiądziemy do samolotu.

- Pojedziemy do moich ludzi?

- Tak - odparła dziewczyna bezradnie, nie była w stanie nawet spojrzeć na Alfreda.

Nie miała pojęcia, co zrobić.

Wymknęli się z pokoju około północy, kiedy w oknach instytutu było ciemno i jedynym hałasem, jaki rozlegał się na zewnątrz, było szczekanie psa. Antonio czekał na nich w samochodzie. Cała czwórka pojechała do miasta.

Dotarli do mieszkania późną nocą. Drzwi były zabite deskami, prawdopodobnie zrobił to dozorca.

Powiedzieli Benowi, żeby spróbował zasnąć, zapewnili go, że nie ma się czego bać. W międzyczasie Alfredo, Teresa i Antonio robili plany na przyszłość. Antonio także pracował w kopalni. Wyjął swój dowód tożsamości i położył go na stole.

- Twój jest w porządku? - spytał Alfreda.

Alfredo wyjął swój dowód z kieszeni i położył go obok dowodu Antonia. Teresa domyśliła się, że wcześniej mężczyźni mieli problemy z dokumentami, ale teraz wszystko było w porządku. Alfredo i Antonio spojrzeli na Teresę, dziewczyna wyjęła z torebki swój dowód. Na stole leżały już trzy dokumenty. Teresa pomyślała, że ich dowody wyglądają nędznie w porównaniu z paszportem Alexa.

- Kiedyś będę mieć prawdziwy paszport – powiedziała Alfredowi.

Antonio wybuchnął śmiechem. Alfredo także się roześmiał, ale po chwili spoważniał, wyczytał z twarzy Teresy, że dziewczyna mówi coś bardzo ważnego.

- Chciałabym mieć paszport, który wygląda jak mała książeczka. Amerykanie takie

mają.

Alfredo skinął głową, czekał na jej dalsze słowa. Teresa wskazała z pogardą na swój dowód.

- To nie wystarczy - powiedziała.

Alfredo zastanowił się przez chwilę.

- W porządku - powiedział. - Zrobię ci paszport.

Wstał, wyjął z szuflady plik kartek, złożył je tak, że tworzyły małą książeczkę, i podszedł do stołu. Usiadł i wziął do ręki długopis kulkowy, patrząc na dziewczynę z poważną miną. Nagle Teresa zaczęła się śmiać, Antonio także.

- Jesteście szaleni - powiedział Antonio. - Loco.

- Imię i nazwisko? - spytał Alfredo, udając urzędnika.

- Teresa Alves.

- Dona Teresa Alves. Pani ma czarne włosy?

Później wspominali tę scenę wielokrotnie, opowiadali swoim dzieciom, że w ten sposób Alfredo dowiedział się wielu rzeczy o Teresie i jej życiu, podczas gdy Antonio uśmiechał się, a Ben spał w drugim pokoju.

- Ciemnobrązowe - powiedziała Teresa i pokazała mu kosmyk włosów.

- Czarne w cieniu, brązowe w słońcu - powiedział

Alfredo. - Zauważyłem to wcześniej. - Napisał coś na kartce. - Twoje oczy są czarne, ale oni tego nie sprawdzą. Napisać - czarne?

- Tak.

- Ile masz wzrostu?

Powiedziała mu.

- Jesteś prawie tak wysoka jak ja. To dobry wzrost.

Masz jakieś znaki szczególne? Oni zawsze o to pytają.

- Mam pieprzyk... nisko na plecach.

Antonio się roześmiał.

- Na pośladku?

- Tak, a drugi na ramieniu, tutaj. - Teresa odsłoniła bluzkę, żeby Alfredo mógł zobaczyć.

- Nie będziemy im mówić o pieprzykach - powiedział.

- Coś jeszcze?

- Mam bliznę. Upadłam, kiedy ścinałam dynie dla kóz, i skaleczyłam się o ostry kamień. - Podniosła rękę: od nadgarstka do łokcia widniała cienka biała linia.

- Nie muszą o tym wiedzieć - powiedział Alfredo.

- W porządku. Wzrost, kolor włosów i oczu - to im wystarczy. Jak się nazywa wioska, w której się urodziłaś?

- Tak samo jak twoja. Szara wioska, szara prowincja, szary kraj. Wioska nazywa się Aljeco.

- Zapiszemy to. Data urodzenia?

Teresa zawahała się, nie była pewna, czy chce, żeby

Alfredo dowiedział się, że jest o wiele młodsza, niż mówiła.

Alfredo zauważył jej wahanie i powiedział:

- Zapiszę taką samą datę jak moja. A teraz potrzebne nam będzie zdjęcie.

Wręczył Teresie plik kartek i się uklonił.

- Pani paszport, dona Teresa.

Dziewczyna wstała, wzięła od niego kartki i dygnęła.

Spędzali czas na wesołym gawędzeniu; Antonio powiedział, że przyjedzie do Jujuy i będzie pracować w kopalni. Cieszył się, że wyjedzie na pewien czas z Rio.

Kiedy zrobiło się jasno, wypili kawę i mężczyźni pojechali kupić bilety lotnicze.

Teresa weszła do pokoju Bena, chłopak już się obudził. Powiedziała mu, że musi być odważny i cierpliwy.

Nawet jeśli ktoś przyjdzie, z pewnością go nie skrzywdzi. Powiedziała, że zamknie go w pokoju, poprosiła, żeby się nie bał. Wiedziała, że oni wrócą po Bena, a zamek został wyłamany i nie było możliwości, żeby chłopaka zamknąć. Zniosła Benowi sok, powiedziała, że najlepiej będzie, jeśli się prześpi, i raz jeszcze poprosiła go, żeby zachowywał się cicho, jeśli ktoś przyjdzie.

Niedługo potem Teresa usłyszała męskie głosy na klatce schodowej. Otworzyła drzwi i powiedziała:

- Widzicie? Złodzieje, których wynajęliście, zniszczyli nam drzwi.

Chciała ich upokorzyć, chociaż mężczyźni wyglądali niczym policjanci szukający przestępcy.

- Proszę usiąść - powiedziała i sama usiadła. Zauważyła, że mężczyźni patrzą na drzwi pokoju Bena.

Luiz usiadł u szczytu stołu, z przyzwyczajenia zajął najważniejsze miejsce. Amerykanin usiadł naprzeciwko Teresy. Dziewczyna była pewna, że w jego wybałuszonych zimnych oczach pojawi się za chwilę gniew.

Zaczęła od razu:

- Zrobiliście straszną rzecz. Zabraliście go siłą. On nie jest waszą własnością.

Jej słowa skierowane były do Luiza, który powiedział:

- To nie moja wina. Nie mam z tym nic wspólnego. Ta część instytutu znajduje się pod specjalną międzynarodową kontrolą; naukowcy nie prowadzą tam badań związanych z Brazylią.

Luiz czekał, aż odezwie się profesor Gaumlach. Ale on milczał; odwrócił głowę i wpatrywał się w drzwi pokoju Bena.

- A jednak przyszli tu panowie obaj - powiedziała

Teresa, czując, że ma nad nimi przewagę.

- Od dawna przyjaźnię się z profesorem Gaumlachem - powiedział Luiz.

- Wiedział pan, że ci mężczyźni przyjdą po Bena.

- W imieniu profesora Gaumlacha przepraszam za to, co się stało. - Zerknął po raz kolejny na kolegę, ale profesor go zignorował. - Moje instrukcje zostały źle zrozumiane. Nie powinni byli wyłamywać drzwi.

- Skoro spodziewał się pan, że oddamy Bena w wasze ręce, dlaczego przysłał pan tu bandytów? To zwykli bandyci z ulicy. - I, zanim mężczyźni zdążyli zareagować (Amerykanin najwyraźniej chciał coś powiedzieć), dodała:

- Rozebraliście Bena do naga i zamknęliście go w klatce jak zwierzę.

- Mówiłem już, że to nie ma nic wspólnego z naszą częścią instytutu - powiedział Luiz Machado. - To nieporozumienie.

- Byliście pewni, że nie znajdziemy Bena. Na tym polega nieporozumienie.

Luiz skinął głową, dając Teresie do zrozumienia, że ma rację. Był pełen podziwu dla jej samozaparcia: wiedziała przecież, jak ważną był osobą, Inez na pewno jej o tym powiedziała.

Stephen Gaumlach odezwał się, jakby nie słyszał nic z ich rozmowy:

- Nie może go pani zatrzymać. Czy pani tego nie zrozumie?

- Wiem, że chcecie robić na nim eksperymenty. Wiem o tym. Widziałam to na własne oczy... - Teresa dotknęła palcami wskazującymi swoich oczu.

Profesor pochylił się nad stołem, zacisnął pięści, twarz pociemniała mu od gniewu.

- Dzięki przedstawicielowi tego gatunku będziemy w stanie rozwiązać kwestie ważne dla całego świata, świata nauki. On może zmienić dotychczasową wiedzę.

Teresa poczuła się dotknięta, profesor trafił w jej czuły punkt, którym był niedostatek wiedzy i wykształcenia; obszar ten przypominał jej okno na nieznane niebo, przed którym gotowa była paść na kolana i oddawać mu cześć.

Teresa wybuchnęła płaczem. Wściekła, zaczęła sobie wmawiać, że płacze ze zmęczenia, ale nie była to prawda.

Jeśli chodzi o Luiza, był pewien, że ta głupia dziewczyna boi się, ponieważ wystąpiła przeciwko wielkiemu autorytetowi i mogła mieć z tego powodu poważne kłopoty.

Przypuszczał, że profesor Gaumlach traktował dziewczynę jak mysz, która stanęła na tylnych nogach i próbuje przestraszyć kota.

Płacz Teresy zirytował profesora Gaumlacha.

Mężczyźni byli pewni, że Teresa poniosła klęskę: a jednak mogła oskarżyć ich o różne rzeczy, łamali prawo, groziły im za to poważne konsekwencje. Ale Teresa nie myślała o łamaniu prawa, kiedy mówiła im to wszystko. Kiedy patrzyła na nienawistną twarz profesora i jego zimne, pełne złości oczy, przypomniawszy jej się nagi Ben, który był w klatce, i kotka, na którą spadały odchody z klatki powyżej.

- Voce e gente ruim - powiedziała po portugalsku.

Nawet jeśli jej przeciwnik nie zrozumiał słów, to z pewnością odczytał nienawistny ton. Dziewczyna powiedziała po angielsku:

- Jesteście złymi ludźmi. Pan jest złym człowiekiem.

Nie kierowała tych słów do Luiza, ale nie dlatego, że naukowiec twierdził, iż instytut nie ma z tym nic wspólnego; nie obchodziły jej też względy polityczne - na przykład to, że Amerykanin był mieszkańcem najpotężniejszego kraju na świecie - Teresy nie interesowała polityka. Czuła antypatię do Stephena, znienawidziła go od pierwszej chwili, tak jak wcześniej intuicyjnie przeczuła, że Alex Beyle jest sympatycznym, ale słabym mężczyzną. Był dla niej miły, ale zapomniał o niej natychmiast, kiedy tylko wyjechał. Teresa wiedziała, że ten sławny profesor przyczepił przewody do głów kotki, do głów kociaków, i badał uczucia kotki, która próbowała karmić małe, podczas gdy na jej białe futro spadały nieczystości. Ten słynny profesor męczy małpy - dziewczyna wciąż miała przed oczami ich małe, wyciągnięte w błagalnym geście ręce - domyślała się, że ten człowiek nie cofnie się przed niczym, nie obchodziło go, co czują zwierzęta. Był uosobieniem okrucieństwa.

Teresa płakała, była rozdarta.

- Mówiła pani, że Ben ma opiekuna, nie pamiętam jego nazwiska - powiedział Luiz.

- Inez - pana przyjaciółka, czyż nie? - zna to nazwisko.

Alex Beyle. To amerykański reżyser. Ben zostanie gwiazdą filmową.

- Z tego, co zrozumiałem, nie będzie żadnego filmu.

- To nie jest pewne. Alex jest w... - Wymieniła nazwę górskiej wioski, gdzie Alex i Paulo pracowali nad scenariuszem, lub scenariuszami. Przypuszczała, że Luiz nie słyszał o

tym miejscu. - Trudno się z nim skontaktować.

Pogoda jest zła, a telefon zepsuty. Kiedy Alex do mnie zadzwoni, powiem mu, że chciałby pan z nim porozmawiać o Benie.

Jej głos był pewny. Podniosła się z krzesła.

- Przepraszam, mam coś do zrobienia - powiedziała.

Mężczyźni powoli wstali. Luiz, jak zawsze spokojny, uśmiechał się. Drugi mężczyzna wciąż patrzył na drzwi pokoju Bena. Teresa dopiero teraz uświadomiła sobie, że profesor Gaumlach wygląda jak czerwona mrówka, podobieństwo było uderzające.

- Ben śpi - powiedziała. - Źle się czuje po tym, przez co przeszedł.

- Niech pani nie wywozi go z kraju - powiedział

Stephen; wyglądał tak, jakby jej groził.

- Ben może wyjechać, dokąd chce. Ma paszport stwierdziła Teresa.

- Powinniśmy już iść - zauważył Luiz.

Ze sposobu, w jaki mówił, oboje - Teresa i Stephen - wywnioskowali, że ma jakiś plan.

Mężczyźni wyszli. Teresa zaczęła płakać, czuła ulgę; cała się trzęsła, to spotkanie wiele ją kosztowało. Zdawała sobie sprawę, że mężczyźni będą próbowali przejąć kontrolę nad Benem w granicach prawa. Uważała, że obaj są odpowiedzialni za to, co się stało, obaj mieli władzę, byli do siebie podobni. Następnym razem nie uciekną się do porwania, będą mieli za sobą prawo: Ben zostanie zaarrestowany pod byle pretekstem.

Zanim Alfredo i Antonio wrócili, Teresa szykowała ubrania chłopaka. Cicho chodziła po pokoju Bena, żeby go nie obudzić - chłopak jęczał przez sen. Dziewczyna spakowała jego ciepły sweter i czapkę, to samo wzięła dla siebie.

Kiedy Alfredo i Antonio wrócili, opowiedziała im, co się wydarzyło. Postanowili nie tracić czasu.

- Szybko, Ben, polecimy samolotem, daleko stąd - powiedziała Teresa.

Chłopak usiadł na łóżku, przestraszony, ale po chwili jego twarz rozjaśniła nadzieja.

- Do moich ludzi? Teraz?

- Chodź, Ben - powiedział Alfredo.

Wymienili z Teresą bezradne spojrzenia: jak mogli pozbawić go nadziei? Oboje jednak zdawali sobie sprawę, że będą musieli powiedzieć chłopakowi prawdę.

Teresa zostawiła na stole list dla Alexa; napisała, że zabiera Bena w bezpieczne miejsce razem z przyjacielem. Nie napisała, dokąd jadą, była pewna, że ktoś inny przeczyta list, jeszcze zanim Alex wróci. Powiedziała dozorczy, żeby zgłosił włamanie na policję i

założył solidniejszy zamek.

Wyszli z mieszkania Alexa i wsiedli do samochodu Antonia, który zawiózł ich na lotnisko. Kiedy się żegnali, Antonio powiedział, że przyjedzie do Humahuaki, gdzie Alfredo zamierzał znaleźć pracę; było to kilka godzin drogi samochodem od Jujuy.

Wsiedli do dużego samolotu, jakim ludzie przemieszczają się z jednego kontynentu na drugi, ale w Sao Paulo przesiedli się do mniejszego, którego pasażerowie wyglądali na robotników. Samolot leciał nisko, mogli obserwować krajobraz. Cień samolotu przesuwiał się po spękanej ziemi, której mieszkańcy zadzierali głowy, jak niegdyś Teresa, i patrzyli na samolot, którym nigdy nie będą mogli polecieć.

Choć przecież Teresa też była kiedyś pewna, że nigdy nie wsiądzie na pokład samolotu. Ben patrzył w dół, zaciekawiony. Był to pierwszy raz od czasu krótkiej wycieczki z Johnstonem nad Londynem, kiedy chłopak nie spał w samolocie i mógł obserwować, co się dzieje dookoła. Z początku nie rozumiał, o co chodzi, kiedy

Teresa mówiła:

- Spójrz, tam jest duża rzeka.

Albo:

- Tam widać wzgórze.

- Rzeka? - pytał Ben. - To jest rzeka?

Albo:

- To są wzgórza? Przecież są płaskie.

Wkrótce jego umysł przyzwyczał się do nowego obrazu rzeczywistości, chłopak zaczął wszystko rozumieć i był z tego dumny. Na jego twarzy pojawił się niewyraźny uśmiech, który nie miał nic wspólnego z grymasem przerażenia. Teresa i Alfredo wiedzieli, o czym chłopak myśli.

- Znajdziemy dziś moich ludzi?

- Dziś nie, Ben. Oni są w górach.

- W tych górach na dole?

- Nie, one są małe w porównaniu z wysokimi górami.

Sam zobaczysz.

Samolot wylądował w Paragwaju, część ludzi wysiadła, część wsiadła. Po pewnym czasie zobaczyli w dole zielonożółte równiny i bydło. Zbliżali się do Humahuaki. Antonio i Alfredo zdecydowali, że lepiej wsiąść tam razem z górnikami, inżynierami i innymi pracownikami kopalni, niż w Jujuy, gdzie kontrola dokumentów była bardziej szczegółowa. Kiedy samolot lądował, zauważyli w dole ludzi, idących do kopalni, było ich mnóstwo. Nikt

nie zwracał sobie głowy granicami kraju, ani tym, w jaki sposób je przekraczano. Tysiące ludzi - nikt nie wie dokładnie ilu - przekonanych, że to jedynie umowny podział, przekraczało granice.

W małym budynku na lotnisku Teresa miała właśnie wyciągnąć dowód osobisty, kiedy mężczyzna za biurkiem poznał Alfreda; sam pracował kiedyś w kopalni.

Alfredo powiedział, że Teresa jest jego siostrą. Urzędnik tylko zerknął na Bena i pozwolił przejść temu potężnemu mężczyźnie, który tutaj nie zwracał niczyjej uwagi.

Tymczasem samolot, którym przylecieli, zbliżał się do Jujuy. Pasażerami byli głównie ludzie, którzy pracowali na tamtejszych plantacjach tytoniu.

Alfredo dzwonił wcześniej do znajomego i prosił, żeby przyjechał po nich samochodem na lotnisko. Jego kolega jeszcze się nie pojawił. Usiedli pod drzewem, rozkoszując się cieniem. Upał był nie do zniesienia. Teresa powiedziała, że boli ją głowa; czuła różnicę wysokości. Ben oznajmił, że czuje się dobrze; nie rozumiał, czym jest różnica wysokości. Pojął, co to znaczy, dopiero kiedy Alfredo powiedział mu, żeby wyobraził sobie, że u podnóża gór jest morze, a potem siebie wspinającego się do góry, krok po kroku.

- Tam znajdziemy moich ludzi?

- Tak.

Ben siedział, uśmiechając się, z jego ust wydobywały się ostre, krótkie dźwięki, ale ci, którzy go znali, wiedzieli, że śpiewa piosenkę.

Patrzyli na ludzi, którzy mijali ich, idąc do kopalni.

- W kopalni potrzebują ludzi do pracy – powiedział Alfredo. - Nie zadają tam niepotrzebnych pytań.

- O co mieliby cię pytać? - spytała Teresa. Czuła się tak, jakby stała nad krawędzią przepaści. - Dlaczego boisz się lotniska w Jujuy?

- Kiedy zacząłem pracować w instytucie, chcieli wiedzieć, czym się wcześniej zajmowałem. Powiedziałem im, że pracowałem w Jujuy. Nie wspominałem o kopalni w Humahuace; lepiej nie mówić więcej niż trzeba. Gdyby ludzie z instytutu chcieli, żebym miał kłopoty z powodu uwolnienia Bena i zawiezienia go do Rio, na pewno zadzwoniliby do Jujuy. Ale jestem pewien, że nie zajmą się tym. Mają gorsze plany względem Bena.

Rozmawiali po portugalsku. Ben usłyszał swoje imię i spytał:

- Co mówicie?

- Mówimy, że zabraliśmy cię z tamtego miejsca.

Alfredo dalej mówił po portugalsku, w dialekcie, który znali oboje, a którego nie rozumiałby nikt obcy. Bali się, że ktoś podsłucha ich rozmowę, chociaż w pobliżu nie było

nikogo.

- Jest jeszcze coś, Tereso. Przyjechałem tu, do kopalni, ponieważ miałem kłopoty. To było siedem lat temu. Mają o mnie informacje - moje nazwisko jest w policyjnych rejestrach.

Alfredo opowiedział jej historię, zdawało się jej, że słyszała ją już tyle razy, że mogłaby ją opowiedzieć za niego.

Alfredowi, podobnie jak Teresie, trudno było opuścić favelę. Należał do gangu ulicznego, miał na sumieniu drobne przestępstwa, policja go znała. Pewnej nocy doszło do bójki między Alfredem a przywódcą gangu - walczyli na noże. Alfredo ciężko ranił przeciwnika. Chłopak przeżył; całą winę zrzucił na Alfreda, chociaż to on zaczął bójkę.

Alfredo postanowił wyjechać z Rio. Wrócił trzy lata później. Miał zaoszczędzone pieniądze i umiejętności, które zdobył w kopalni. Gang, do którego wcześniej należał, zniknął; chłopak, którego Alfredo zranił, został zabity w jednej z wielu bójek. Alfredo był teraz odpowiedzialnym, kompetentnym mężczyzną, łatwo dostał pracę w instytucie.

Teresa postanowiła opowiedzieć mu o sobie: czuła, że nadszedł właściwy moment. Było to dla niej bardzo trudne, mówiła cicho, jąkała się, jej głos stawał się chwilami niedosłyszalny. Musiała powiedzieć mężczyźnie, którego kochała, że była dziwką. Alfredo był zakłopotany. Kręcił się na swoim miejscu, w którymś momencie zrobił taki ruch, jakby chciał wstać i odejść.

- Tereso, powiesz mi o tym innym razem. Powiesz mi, kiedy będziesz chciała.

- Ale muszę ci powiedzieć. Chcę.

- Posłuchaj, Tereso, przecież wiesz, że mieszkałem w faveli, tak jak ty. Znam to... Mam tam siostrę. Jeszcze nie udało się jej wyjechać. Ale pomogę jej. - Alfredo pochylił się do przodu, uśmiechnął się i chwycił ją za rękę. Teresa wiedziała, że jest mu ciężko. - Pomożemy jej razem, Tereso.

- Mówicie o mnie? - spytał znowu Ben.

- Nie, o nas - powiedziała Teresa po angielsku.

Przyjaciel Alfreda, Jose, przyjechał samochodem i pojechali do Jujuy, które znajdowało się około sześćdziesięciu mil stamtąd. Mężczyźni siedzieli z przodu, rozmawiając, Teresa usiadła z Benem z tyłu. Wiedziała, że chłopak będzie miał mdłości: jechali starym gruchotem.

Po prawej stronie pojawiły się góry, jechali w ich cieniu.

- Pojedziemy tam jutro? - spytał Ben.

- Nie. Musimy najpierw zorganizować sprzęt.

- Kiedy pojedziemy?

- Może pojutrze.

Teresa miała ochotę powiedzieć: „Posłuchaj, Ben, nie rozumiesz, nie wytłumaczyliśmy ci...”. Ale nie była w stanie wykrztusić słowa. Co teraz zrobimy?, myślała. Jak mu o tym powiemy?

Jose niegdyś pracował z Alfredem w Humahuace. Kiedy Alfredo i Antonio wyjechali, Jose zapisał się na kurs inżynierii górniczej i dzięki temu zyskał lepszą pozycję niż zwyczajni pracownicy kopalni. Miał mały dom w Jujuy, gdzie pracowała jego żona. Większość weekendów spędzali razem w domu, ale teraz jej nie było, pojechała odwiedzić krewnych.

Dom był mały i czysty - trzy pokoje, kuchnia i prysznic.

Jose miał telewizor i radio. Alfredo wynajmował pokój w podobnym domu w pobliżu instytutu; ludzie z ich środowiska mieszkali w podobnych domach na całym świecie.

Zjedli kolację przy włączonym telewizorze, ale nie patrzyli na ekran. Ben tonął w marzeniach, mężczyźni rozmawiali, Teresa zaś obserwowała ich i przysłuchiwała się rozmowie.

Cieszyła się, że Alfredo ma dobrego przyjaciela - dwóch dobrych przyjaciół. To podnosiło ją na duchu. Mężczyzna, który ma przyjaciół - każda żona wie, jakie to ważne.

Ojciec Teresy miał przyjaciół w wiosce, gdzie kiedyś mieszkali, ale kiedy wyjechali na południe nie zaprzyjaźnił się z nikim, rozmawiał tylko z żoną. W faveli nie było mężczyzn, z którymi mógłby usiąść i porozmawiać. Pił w samotności. Upijał się.

Odkąd Teresa poznała Alfreda, czuła, że smutek, który przygniatał ją do ziemi, zaczął znikać. Znali się krótko, a mimo to trudno jej było wyobrazić sobie, że mogłaby wrócić do samotnego życia.

Zrobiło się późno, nadszedł czas rozejścia się do swoich pokoi. Alfredo miał dzielić sypialnię z Josem, i to nie tylko dlatego, że chcieli jeszcze porozmawiać. Gdyby Teresa została sama z Alfredem... Ale on podniósł rękę, posłał jej uśmiech na dobranoc i poszedł za Josem. Teresa wiedziała, że to ona powinna być przy Benie, chłopak jej ufał. Myślała o tym, że w mieszkaniu Alexa Ben miał swój własny pokój. W pokoju, gdzie mieli spędzić noc, stały dwa łóżka w bliskiej odległości. Dziewczyna przebrała się w koszulę nocną w pomieszczeniu z prysznicem.

Kiedy wróciła do pokoju, Ben leżał na swoim łóżku w ubraniu. Wiedziała, że chłopak rozpoczął w wyobraźni podróż w góry. Ben uśmiechał się do sufitu.

- Wyruszymy wcześniej? - spytał.

- Jutro tam nie pójdziemy, Ben. Mówiłam ci.

Teresa zgasiła światło i weszła do łóżka. Myślała o tym, że od kiedy poznała Bena,

chłopak był niemal cały czas chory i przestraszony, nigdy nie widziała go takiego, jaki był naprawdę: radosnego i ufnego. W pokoju było ciemno, ale Teresa widziała twarz chłopaka. Ben uśmiechał się.

Wiedziała, że powinna powiedzieć: „Posłuchaj, Ben, zaszła pomyłka...”. Mijały sekundy, minuty, ale dziewczyna się nie odezwała.

Porozmawiam o tym z Alfredem i Josem, wymyślimy jakiś sposób, żeby mu to wytłumaczyć; po chwili jednak pomyślała, że to nie ma sensu. Ben spodziewał się, że spotka ludzi podobnych do siebie, nie będzie mu łatwo rozstać się z tym marzeniem. Gdyby powiedzieli: „Ben to nieszczęśni, źli ludzie, lepiej, żebyś się do nich nie zbliżał”, chłopak i tak chciałby ich poznać. Gdyby znaleźli jakieś miejsce w górach i powiedzieli: „Ci ludzie gdzieś się przenieśli”, Ben zacząłby ich szukać, tak wielka była jego potrzeba. Teresa próbowała wyobrazić sobie, jak to jest być innym niż wszyscy, i chociaż знаła uczucia paniki, pustki i samotności, nie potrafiła. Musimy mu powiedzieć, musimy, powtarzała w myślach, aż zasnęła. Kiedy się obudziła, zobaczyła Bena, który się nad nią pochylał.

Pokój wypełniało jasne światło księżyca. Chłopak miał zdjętą kurtkę i spodnie, kiedy Teresa zobaczyła, co trzyma w ręku, usiadła i powiedziała ostrym tonem:

- Nie, Ben. Nie. Przestań.

Chłopak pochylał się nad nią, nie była pewna, czy chciał na nią tylko patrzeć, czy też... Ben wyprostował się i puścił swojego wiotczącego penisa.

- Wracaj do łóżka, Ben - powiedziała Teresa.

Chłopak poszedł cicho w stronę łóżka i położył się.

Teresa położyła się także.

- Rita mnie lubiła - powiedział Ben ze złością. - Lubiła mnie. Ty mnie nie lubisz.

- Lubię cię, Ben. Wiesz o tym.

Słyszała jego oddech: był to oddech dziecka, które ma zamiar się rozplakać. Teresa uświadomiła sobie, że ten... mężczyzna, kimkolwiek był Ben - tryskający energią, kiedy był w dobrym humorze - miał swoje potrzeby.

W jaki sposób zaspakajał potrzeby seksualne, jakie były jego relacje z kobietami? Z Ritą spotykał się dawno temu.

Od tamtej pory upłynęło wiele miesięcy. Teresa wiedziała o tym, myślała, że Ben, który leżał na łóżku i sapał, tak bardzo pragnął poznać ludzi podobnych do siebie, ponieważ miał nadzieję, że znajdzie dla siebie kobietę.

Wkrótce oddech chłopaka uspokoił się, zasnął. Teresa nie spała. Kiedy zrobiło się jasno, wstała i poszła do kuchni zrobić kawę. Jej zapach obudził mężczyzn.

Drzwi oddzielające pomieszczenie od pokoju Bena były zamknięte, ale na wszelki wypadek Teresa mówiła cicho. Powiedziała im, że muszą wszystko wyjaśnić chłopakowi, muszą, to okrucieństwo tak go zwodzić.

- On sam wszystko zrozumie - powiedział Alfredo.

- Zrozumie, kiedy zobaczy malowidła.

- Boję się - powiedziała Teresa; nie miała na myśli siebie ani mężczyzn. Alfredo, a potem Jose zapewnili dziewczynę, że będą przy niej i, jeśli Ben się zdenerwuje, obronią ją i siebie. Alfredo wyczuł jednak, że to jej nie przekonało, powiedział przyjacielowi, że Teresa lubi Bena.

- Ja też go lubię. On nie jest... potworem.

- Czuje to samo, co my.

W tym momencie wszedł Ben; wyglądał jak dziecko - uśmiechnięty i pełen oczekiwania na to, co przyniesie nowy dzień. Zanim zdążył spytać: „Pojedziemy tam dziś?”,

Teresa wytłumaczyła mu, że tego dnia będą robić zakupy.

Pojechali samochodem Josego i kupili więcej ciepłych rzeczy na wycieczkę w górach, plastikowe kanistry na wodę, koc dla każdego i jedzenie. Zajęło im to cały ranek.

Potem Teresa zaczęła znowu narzekać na ból głowy spowodowany zmianą wysokości.

Jose zaparzył herbatę z liści koki i namówił ich, żeby wypili - herbata była antidotum na złe samopoczucie związane ze zmianą wysokości. Teresa przespała całe popołudnie, w tym czasie mężczyźni pojechali się z kimś spotkać, Ben zaś kręcił się po swoim pokoju.

Przy kolacji Alfredo i Jose powiedzieli Teresie, że mają dla niej propozycję. Mogłaby mieszkać w domu Josego razem z jego żoną, która pracowała w Jujuy i miała wolne weekendy, kiedy Jose wracał z Humahuaki. Tego ranka odwiedzili znajomego, pracującego w lokalnej stacji telewizyjnej. Stacja jest mała i biedna w porównaniu ze wspaniałymi stacjami Rio, ale jeśli Teresa będzie cierpliwa - zapewniał znajomy - na pewno się dla niej coś znajdzie.

Poza tym mogła spróbować w muzeum archeologicznym.

Jujuy przyciągało mężczyzn, pracujących na plantacjach tytoniu, górników i różnego rodzaju ekspertów, którzy potrzebowali ludzi takich jak Teresa, żeby się o nich troszczyć. Chcieli wiedzieć, co dziewczyna o tym sądzi.

- Zostaniesz w Jujuy? - spytał Alfredo.

Teresa od razu odpowiedziała: „tak”. Ben przysłuchiwał się rozmowie z miną dziecka, które wie, że o nim nie mówią. Co zrobimy z Benem?, pomyślała po raz pierwszy Teresa. Jeśli odeślemy go do Alexa, profesor Gaumlach dopadnie chłopaka. Nie mogą prosić żony

Josego, żeby pozwoliła Benowi tu zamieszkać. Nie zastanawiali się przedtem nad przyszłością Bena, myśleli tylko o tym, żeby jak najszybciej wywieźć chłopaka z Rio, gdzie groziło mu niebezpieczeństwo. Teresa była teraz odpowiedzialna za Bena, a skoro ona, to i Alfredo (ale dlaczego miałby się na to godzić?). A może powinni wysłać Bena do Londynu, do Rity, o której tak dużo mówił?

- O której jutro wyruszamy? - spytał chłopak.

- Jak tylko załadujemy rzeczy do samochodu.

- To rzeczy dla tych ludzi?

- Nie, zabieramy je dla siebie - powiedział Jose.

- W górach będzie zimno.

- Dlaczego oni mieszkają w zimnym miejscu?

- Zobaczysz - powiedział po chwili Alfredo. Troje przyjaciół wymieniło szybkie spojrzenia, po czym każde spojrzelo w inną stronę, tak żeby ukryć przed chłopakiem swoje zdenerwowanie. Ale Ben zauważył to, rozumiał o wiele więcej niż wydawało się ludziom.

- Dlaczego to powiedziałaś? - chciał wiedzieć. - Coś jest z nimi nie w porządku?

- Nie - zaprzeczyła Teresa. Jose dodał, że nie ma jeszcze dwudziestej i zaproponował, żeby wszyscy pojechali do hotelu w Jujuy i przekonali się, jak wygląda nocne życie miasteczka.

Ben powiedział, że nie ma na to ochoty. Teresa przypomniała mu, że lubił siedzieć w Rio na ulicy i przyglądać się przechodniom.

Było to ponure miejsce, w niczym nieprzypominające eleganckich hoteli, ciągnących się wzdłuż słynnych plaż Rio. Budynek kolorowo oświetlono od zewnątrz, dzięki czemu wyróżniał się z otoczenia, w głównej sali było jasno, tłoczno i głośno. Nikt nie zwrócił uwagi na czwórkę nowo przybyłych, w środku siedziało mnóstwo mężczyzn równie muskularnych, jak Ben. Na stołach rozłożono jedzenie, ale ludzie przychodzili głównie po to, żeby usiąść przy barze, ulokowanym pod jedną ze ścian. Wśród mężczyzn, którzy stali przy barze, byli głównie pracownicy plantacji tytoniu. Obserwowali śmiało młode kobiety, które przychodziły tam specjalnie dla nich. Cała czwórka precyzyjnie się do stolika; Ben miał niezadowoloną minę, drażnił go hałas. Teresa także nie czuła się najlepiej, wciąż miała migrenę i mdłości. Przyglądając się młodym kobietom, doszła do wniosku, że ona nigdy nie zachowywała się w sposób tak wulgarny i głośny. Była tego pewna. Myślała o tym, że kobiety, podobnie jak ona, miały na utrzymaniu rodziny - zaczęła żałować, że tam przyszła. W pewnej chwili zobaczyła młodą kobietę, którą ostatnio widziała przed hotelem, gdzie siedziała w nowej sukience, czekając na klientów. Bała się, że dziewczyna ją pozna i przywita się z nią, a wówczas Jose

dowie się całej prawdy. Wiedziała, że dla Alfreda nie byłoby to przyjemne. Skuliła się na krześle za Alfredem, który spojrzał na nią pytająco; po chwili zrozumiał, o co chodzi, i powiedział jej, że nie zostaną długo. W międzyczasie Josego przy barze zagadnęła dziewczyna, którą najwyraźniej dobrze znał: zaczęli żartować.

- Od jak dawna Jose jest żonaty? - spytała Teresa, a kiedy Alfredo się roześmiał, powiedziała: - Gdybym musiała czekać na ciebie w Rio, byłabym zazdrosna.

Była pewna, że Ben nie mógł tego rozumieć, ale chłopak spytał:

- Dlaczego, Tereso? Dlaczego jesteś zazdrosna o Alfreda?

- Żartowałam - odparła dziewczyna, nie odrywając wzroku od Josego i młodej kobiety. - Wcale nie żartowałam - szepnęła Alfredowi do ucha.

- Dzięki tobie nie będę miał kłopotów - powiedział Alfredo.

W tym momencie Jose podszedł do stolika, przyniósł piwo dla siebie i Alfreda, sok dla Bena i herbatę z liści koki dla Teresy.

- Przed nami ciężki dzień - powiedział do Teresy.

- Idziemy jeszcze wyżej w góry i będziesz się źle czuć, jeśli nie wypijesz herbaty.

- Czy ludzie tacy jak ja piją taką herbatę? - spytał Ben.

- Nie potrzebują jej, wystarczy spojrzeć na ciebie - powiedział Jose. - Skąd wzięłeś takie płuca? - spytał i roześmiał się znacząco. - Można by pomyśleć, że oni naprawdę istnieją - dodał po portugalsku. Jedynie Teresa i Alfredo zrozumieli ten okrutny żart, powiedział to po portugalsku, ale Ben zareagował tak, jakby coś zrozumiał.

- Dlaczego się śmiejecie? - spytał Josego podejrzliwie.

- Opowiadamy sobie brzydkie kawały - odparł Jose po angielsku i dodał po portugalsku: - Ależ ten Ben jest dociekliwy.

- Dlaczego to powiedziałaś? Dlaczego powiedziałaś moje imię, Ben, co o mnie powiedziałaś?

- Nic takiego - wtrąciła Teresa. Pomyślała, że Jose, w przeciwieństwie do Alfreda, nie dbał o uczucia innych.

Potem pomyślała: Ben nie może dowiedzieć się prawdy w taki sposób, to byłoby zbyt okrutne.

- O co chodzi? - spytał chłopak, przyglądając się uważnie ich twarzom.

W owej chwili Teresa mogła powiedzieć: „Ben, zaszła pomyłka...”, ale nie była w stanie tego zrobić. Milczała. Alfredo sprawiał wrażenie zakłopotanego, patrzył na nią przepaszająco, jakby uważał, że niedelikatny żart zranił ją, nie Bena. Jose wrócił do baru, żeby powiedzieć coś swojej znajomej - może kobieta była kimś więcej niż jego znajomą -

Teresa cieszyła się, że Alfredo był inny niż Jose.

Alfredo powiedział koledze, że powinni już iść. Wiedział, że Teresie nie podobało się to miejsce. Jose nie zauważyłby tego. Biedny Ben miał ponurą minę, rozglądał się podejrzliwie dokoła, jakby nie tylko tych troje, ale wszyscy ludzie z sali stali się jego wrogami. Teresa przeszła obok dziewczyny z Rio i poczuła, że przeszłość wyciąga macki, żeby ją porwać. Alfredo i Teresa szli w kierunku samochodu, Ben szedł za nimi, przyglądając się im podejrzliwie. Alfredo objął dziewczynę i powiedział:

- Zostaniesz ze mną, Tereso? Zgadzasz się? Kiedy zejdziemy z gór, weźmiemy ślub.

Powiedział to po portugalsku, ale ze względu na Bena dodał po angielsku:

- Teresa i ja chcemy wziąć ślub.

Chłopak nie zareagował. Co się stanie z Benem?, pomyślała Teresa. Alfredo pewnie uważa, że powinnam się opiekować Benem i nie zechce mnie.

Kiedy przyjechali do domu Josego, Ben powiedział, że chce pójść spać. Teresa, która bała się pomyśleć, co chłopak czuje, poszła z nim do pokoju; położyli się w ciemności.

Ben nie spał, pośród czerni widziała jego błyszczące oczy.

Chłopak milczał.

Teresa przysłuchiwała się rozmowie mężczyzn, którzy siedzieli w drugim pokoju. Wyobraziła sobie ich twarze - różnili się pod każdym względem. Jose był szczupłym, wiecznie spiętym mężczyzną, miał wystające kości policzkowe i czujne oczy. Pod opalenizną kryła się jasna karnacja, tak różna od brązowej skóry o odcieniu miedzi Teresy i Alfreda. Nasze dzieci będą ładne, myślała dziewczyna.

Odziedziczą urodę po Alfredzie i po mnie. Jesteśmy ładni.

Jose jest brzydki, ponieważ w jego życiu był okres, kiedy głodował. Poznała to po jego wyglądzie. Ja i Alfredo przynajmniej mieliśmy co jeść, zanim zaczęła się susza.

Nasze dzieci będą zdrowe. Wyobraziła sobie twarz Alfreda patrzącego na ich pierwsze dziecko. Kiedy te intymne i podnoszące na duchu myśli przelatywały przez umysł Teresy, jej serce biło mocno z troski o Bena.

Rano Ben milczał, nie zadawał żadnych pytań. Kiedy inni ładowali bagaże do samochodu, stał z boku z ponurą miną, gapiąc się na góry. Od czasu do czasu zerkał na nich, a wówczas w jego oczach pojawiały się zakłopotanie i czujność. Nagle zaczął tupać ze złością, wyglądało to tak, jakby tańczył, z jego ust dobywały się krótkie, gniewne okrzyki. Kiedy wpakowali wszystko do samochodu i zamknęli dom, Ben uspokoił się; stał, wpatrując się w górskie szczyty, okrutne, wysokie, ciemne szczyty.

Kiedy Teresa zauważyła wyraz twarzy chłopaka, podeszła do niego i położyła mu rękę

na ramieniu - delikatnie, żeby go nie rozzłościć. Ben nie zwrócił uwagi na jej pełen współczucia gest, nie ruszał się, patrzył przed siebie oczami pociemniałymi od bólu i zagubienia.

Teresa pomyślała: On wie. Musi wiedzieć. On to wszystko rozumie.

W samochodzie dziewczyna usiadła z przodu, ponieważ bała się, że będzie mieć mdłości. Była pewna, że Benowi zrobi się niedobrze. Alfredo usiadł z nim z tyłu, w pozycji świadczącej o tym, że spodziewa się ze strony Bena kolejnego ataku wściekłości.

Jechali najpierw szeroką drogą, mijając miasteczka, a także dziwny hotel, potem droga stała się węższa, zaczęła piąć się pod górę. Powietrze było rozrzedzone i rześkie, Teresa nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że jest jej niedobrze; ból głowy atakował ją zimnymi falami. Droga pięła się po zboczach wzgórz, to znowu opadała w dół, jechali przez tereny leżące u podnóża gór. Drzew było coraz mniej, wraz z nimi zniknął cień.

Wjechali wyżej, gdzie drzewa nie rosły. Zrobiło się chłodniej, wysiedli z samochodu i na swetry założyli kurtki. Ben stanął obok samochodu, spojrzął w górę, potem odwrócił się, patrzył na wzgórza, szczyty i skaliste doliny, gdzie nie było ani ludzi, ani domów. Późnym popołudniem dotarli do ostatniego hotelu przy tej drodze, która dalej zamieniała się w stromy szlak. W hotelu zatrzymywali się poszukiwacze, alpiniści i geolodzy. Byli to jedyni goście hotelowi. Teresa myślała tylko o tym, że wstrząsy się skończyły i może siedzieć nieruchomo z zamkniętymi oczami. Ben milczał. Podchodził do wszystkich okien po kolei i patrzył w górę. Alfredo zamówił lekki posiłek, ponieważ na tej wysokości czuli się źle. Przyniesiono im herbatę z liści koki, którą wypili z wdzięcznością. Byli na wysokości szesnastu tysięcy stóp; jedynie Ben czuł się dobrze.

- To dzięki twojej klatce piersiowej - powiedział Jose.

- W tym rejonie ludzie mają takie klatki piersiowe. Powietrze jest rozrzedzone i trzeba mieć duże płuca.

- Jacy ludzie? - spytał Ben. - Gdzie oni są? Tu nikogo nie ma.

Noc była zimna, za oknem dryfowała mgła; nic nie było widać. Poszli spać wcześniej. Jose spał w pokoju z Alfredem, a Teresa z Benem. Dziewczyna nie mogła zasnąć z powodu bólu głowy, Ben także nie zmrużył oka. W pokoju było ciemno i duszno, mgła za oknem, oświetlona przez lampę wiszącą nad wejściem, rzucała do środka słabą poświatę. Teresa myślała, że gdyby w tej chwili powiedziała Benowi, że ludzie podobni do niego nie istnieją, chłopak nie byłby zaskoczony.

Wstali wcześniej. Rozrzedzone powietrze oszołomiło ich; światło słoneczne odbijało się od szczytów górskich i skał. Mgła znikła, niebo było bezchmurne. Kiedy jedli śniadanie,

przyjechało dwóch mężczyzn; wybierali się w góry, ale zamierzali wrócić, zanim zrobi się ciemno.

- Nieprzyjemnie jest zgubić się w takim miejscu - powiedzieli.

Cała czwórka przeglądała rzeczy, które przywiozła ze sobą; to, czego nie potrzebowali, zostawili w pokoju hotelowym, dalszą drogę mieli pokonać na piechotę.

Właściciele hotelu obiecali pilnować samochodu. Każde z nich miało plecak z ciepłymi ubraniami, wodą i jedzeniem; Jose zabrał małą kuchenkę i patelnię.

Nie mieli zamiaru wspinać się wyżej, pozostali na tej samej wysokości.

- Dziś nie idziemy wyżej - powiedział ostrożnie Jose, nie spuszczać Bena z oka. Chłopak w milczeniu przyjął wiadomość, że dotrą na miejsce dopiero następnego dnia; nie było łatwo wyczytać z jego twarzy, co myśli, kiedy szedł, patrząc na rozległe przestrzenie. Teresa domyślała się, co Ben może czuć, oczy zachodziły jej łzami i odwracała głowę. Zanim wyruszyli, obserwowali, jak dwóch nowo przybyłych znika za stromą skałą, która rzucała cień na hotel.

Tej nocy zamierzali dotrzeć do chaty, służącej za noclegownię dla wspinających się; następnego dnia chcieli odnaleźć skałę, o której mówił Alfredo. Mieli na sobie swoje najgrubsze swetry i ocieplane kurtki, cały czas nosili ciemne okulary. Z początku szlak, którym szli, był na tyle szeroki, że mógł się na nim zmieścić osioł albo mul, potem zaczęły się wąskie ścieżki, tonące raz w słońcu, raz w cieniu. Alfredo zatrzymywał się na rozstajach i sprawdzał, czy idą we właściwym kierunku, sprzeczał się o to z Josem. Jego przyjaciel uważał, że lepiej iść uczęszczanymi drogami, ponieważ tamtędy chodzili „ludzie skał”; miał na myśli archeologów i paleontologów, którzy przewozili do muzeum w Jujuy to, co znajdowali w górach.

Jose spytał przyjaciela, dlaczego żaden z nich nie odkrył skały, którą widział Alfredo (Jose mówił o niej: „twoja galeria malowideł”).

- Sam zobaczysz - powiedział mu Alfredo.

Rozmawiali o tym po angielsku przy Benie, ale chłopak nie zadawał pytań, szedł w milczeniu za Josem, który podążał za Alfredem. Teresa trzymała się z tyłu, skąd mogła obserwować Bena. Była pewna, że chłopak zna prawdę. Jego brodatą twarz rozjaśniało pragnienie i oczekiwanie; Teresa miała wrażenie, że patrzy na smutne dziecko, które straciło nadzieję, że ujrzy obiecane cuda.

Droga była trudna, chociaż nie wspięli się wyżej. Szli ścieżkami pogrążonymi w głębokim cieniu, między stromymi skałami, od czasu do czasu mijali przepaście. Jedyne Ben czuł się dobrze, pozostałych bolały klatki piersiowe i głowy, chociaż wypili herbatę z liści

koki, którą Jose przygotował dla każdego w termosie. Zatrzymali się wczesnym popołudniem, znaleźli chatę, surowe schronienie, zbudowane z bali, które musiano przetransportować tam na grzbietach zwierząt - w pobliżu nie było drzew.

Alfredo powiedział, że chata jest w lepszym stanie, niż kiedy widział ją poprzednio. W miejscu, gdzie usiedli, między balami ziały dziury, część łupków z dachu odpadła.

Nikt nie nocował w chacie przez długi czas, jedynie jakieś małe zwierzątko, które zostawiło odchody. Uprzątnęli pomieszczenie i ułożyli bagaże pod ścianą. Jose zebrał gałązki i porosty, żeby rozpalić ognisko, ale było ich tak mało, że postanowili zostawić je na wieczór. Zmrok zapadł wcześnie, ponieważ otaczały ich wysokie szczyty górskie. Alfredo zdążył jednak ustalić trasę na następny dzień.

Wdrapywał się na skały, zatrzymując się czasem obok nieubłaganej ściany skalnej albo nad skrajem przepaści.

Kiedy zrobiło się zimno, a słońce znikło, siedzieli w chacie z kocami ułożonymi wokół małego ogniska. Szumiało im w głowach od przebywania na dużej wysokości, nikt nie miał apetytu. Cała trójka w napięciu czekała na słowa i Bena: „Gdzie są moi ludzie? Gdzie ich znajdziemy?”.

Alfredo miał małe radio, ale słabo działało. Z miejsca położonego kilka tysięcy stóp niżej dolatywała słaba, brzęcząca muzyka, kobiece i męskie głosy mieszały się z fragmentami wiadomości, kawałkiem piosenki, fragmentem przemówienia - w końcu wyłączyli radio.

Blask małego ogniska słabo oświetlał ściany, przez dziury w balach sączyło się zimne światło. Wyszli na zewnątrz i stanęli oszołomieni. W górach powietrze było wolne od zanieczyszczeń, gwiazdy błyszczały zimnym blaskiem, płynęły ku nim, sypiąc niebieskie, czerwone i żółte iskry. Droga Mleczna rozpościerała się na niebie niczym autostrada donikąd. Patrząc na czyste, jasne i wyraźne gwiazdy, mieli wrażenie, że kiedyś już to wszystko przeżyli. Milczeli, zatrwożeni. Nagle z ust Bena popłynął ostry, fałszywy śpiew. Zobaczyli, że chłopak się porusza - zaczął tańczyć i śpiewać do gwiazd.

- One mówią! - zawołał. - Śpiewają dla nas!

Spróbowali otworzyć swoje umysły i usłyszeć to, co słyszał Ben. Wydało im się, że dokoła rozbrzmiewa wysoki, krystaliczny szept, cichy brzęk, ale Ben wołał tryumfalnie:

- Gwiazdy śpiewają, gwiazdy śpiewają!

Tańczył, to podnosząc ręce do gwiazd, to opuszczając je, tupał i wymachiwał nogami, kręcił się w kółko. Patrzący na niego drżeli z zimna, chociaż byli owinięci kocami.

Chłopak nie mógł przestać. Byli pewni, że za chwilę padnie na ziemię z wyczerpania, tam, przed małym domkiem, zbudowanym między skałami i graniami, których szczyty

rozrywały pole gwiazd.

Wydawało im się, że mijają godziny, było im tak zimno; w końcu oprzytomnieli. Najpierw Teresa, a potem mężczyźni wrócili do chaty, żeby się ogrzać; przez szczeliny widzieli Bena tańczącego w świetle gwiazd, słyszeli jego hymn do niebios.

Później chłopak ucichł. Kiedy wyszli na zewnątrz, zobaczyli, że Ben stoi z rękami wyciągniętymi przed siebie, z podniesioną głową i patrzy wysoko, wysoko w górę. Rozgwieżdżone sklepienie niebieskie przesunęło się, cienie gwiazd przenikały przez pustą przestrzeń do miejsca, w którym stał Ben. Chłopak był w transie albo w ekstazie; w końcu opuścił ręce, znieruchomiał i zaczął dygotać. Teresa zaprowadziła go do chaty i owinęła kocami.

Siedział tam, gdzie go posadziła, i patrzył w dopalający się płomień ogniska. Znowu zaczął swoją cichą, pełną ostrych dźwięków piosenkę. Był daleko od swoich towarzyszy podróży, jakby wymazał ich ze świadomości.

Szeptali, żeby go nie zdenerwować. Nie zasnęli, czuwali, razem z nim.

Rano, kiedy otworzyli drzwi, chata pogrążona była w cieniu, niektóre szczyty lśniły złotym i różowym blaskiem płynącym z nieba.

Ogrzali się, pijąc gorącą herbatę, i wyszli przed chatę, żeby rozprostować kości. Ben był wciąż nieobecny, nie wiedzieli, o czym marzył. Zostawili wszystko w chacie i gęsiego ruszyli wąską ścieżką. Po jednej jej stronie było wysokie, czarne urwisko, po drugiej czarne skaliste zbocze schodziło do doliny nisko w dół. Ponad nimi fruwał kondor, obserwując ich posuwanie się śliską ścieżką. Po kilku godzinach Alfredo powiedział:

- To tu. Pamiętam to miejsce.

Skręcił gwałtownie w prawo i wszedł w szczelinę między skałami. Na tym odcinku musieli czołgać się i piąć do góry, chwyтали się krawędzi skał, wypukłości, w końcu znaleźli się na dużej, płaskiej przestrzeni, otoczonej graniami, przed nimi wyrosła wysoka ściana skalna. Było koło dziesiątej rano. Słońce znalazło się po drugiej stronie skał, między którymi szli wcześniej, nad nimi widniało jasne niebo.

Alfredo podszedł do podnóża ściany skalnej... cofnął się... znowu zbliżył się do skały, potrząsnął głową... przesunął się najpierw w jedną, potem w drugą stronę, mówiąc:

„Nie, to nie tu, tak, to tu”, cofnął się i znów wrócił. Nagle słabe światło oświetliło jeden ze szczytów, po chwili stało się mocniejsze, padło na krawędź ściany skalnej.

W końcu ich oczom ukazała się postać, która wyłoniła się ze lśniących głębin skały, gdzie inne postacie czekały, aż światło słoneczne powoła je do życia. Na skałę spłynęły fale słońca, ujrzeli galerię malowideł, galerię ludzi podobnych do Bena. Chłopak zrobił krok do

przodu, potem następny, stanął przed skałą. Trzy pozostałe osoby stały za nim, pozwalając, aby chłopak nasycił się widokiem.

Ostre światło słoneczne padało wprost na ścianę skalną pokrytą całkowicie malowidłami. Było ich co najmniej czterdzieści. Kilka postaci wyglądało tak jak Ben, ale były inaczej ubrane. Czy to kawałki kory? A może skóry?

Były to prawdziwe ubrania z miękkiego materiału, który tworzył fałdy, spięte paskami i zamocowane na ramionach ludzi za pomocą metalowych klamr. Były kolorowe, nie tylko szare i brązowe, ale także czerwone, niebieskie, zielone. Włosy sięgały tym ludziom do ramion, były dłuższe niż włosy Bena. Mieli wielkie klatki piersiowe, niektórzy, choć nie wszyscy mieli brody. Postacie bez brody musiały być kobietami - niższe i bardziej delikatne, chociaż miały umięśnione nogi. Nie dzierżyły w rękach broni, niektóre trzymały przedmioty, które wyglądały jak instrumenty muzyczne. Ben wpatrywał się w skałę. Pozostali nie mieli pojęcia, o czym myślał, ale ich serca biły gwałtownie; nie było to związane z przebywaniem na dużej wysokości, lecz z troską o Bena. Chłopak zbliżył się do skały i pogładził ręką kontury kobiety, która wydawała się do niego uśmiechać. Potem pochylił się do przodu i zaczął ją obwąchiwać, pocierając brodą o skałę; wydawał krótkie okrzyki, które były powitaniem.

Zapadła przerażająca cisza, którą potęgowały jeszcze ich zmęczone, świszczące oddechy.

Chłopak stał ciągle odwrócony tyłem do nich. Stał, głaszcząc kobietę, która uśmiechała się do niego z otchłani czarnej skały. Światło słoneczne powoli słabło, ześlizgując się ze skały, i postacie, jedna po drugiej znikwały. Po pewnym czasie zostało już tylko kilka postaci na brzegu ściany skalnej; Ben wciąż głąskał kobietę. Kiedy słońce przestało ją oświetlać, usłyszeli jego skowyt. Chłopak kucnął i przywarł do skały.

Słońce opuściło jaskinię, malowidła zniknęły. Wytężyli wzrok i dostrzegli na lśniącej skale, nad głową Bena, jedynie niewyraźne zarysy postaci, które jeszcze przed chwilą żyły. Zrozumieli, że ludzie, którzy tamtędy przechodzili, mogli niczego nie zauważyć - chyba że mieliby szczęście i znaleźliby się tam w momencie, kiedy słońce oświetlało skałę pod właściwym kątem.

Ben wyprostował się, wciąż stał odwrócony do nich plecami, nie był w stanie spojrzeć im w oczy. Czuł się zdradzony przez tych troje ludzi, którzy twierdzili, że są jego przyjaciółmi - nic dziwnego, że tak się czuł. Oni zaś bali się, co zobaczą na jego twarzy. Ale Ben nie odwrócił się, jedną ręką oparł się o skałę, zdawał się z niej zwisać.

W końcu odwrócił się z wysiłkiem: widzieli, jak mu ciężko.

Wydawał się niższy niż przedtem, biedna istota. W jego oczach nie było oskarżenia: nie patrzył na nich.

Teresa zdobyła się na odwagę i objęła Bena, ale chłopak nawet tego nie poczuł, nie zdawał sobie sprawy, że dziewczyna stoi obok niego. Wracali długą drogą do chaty. Ben szedł powoli obok Teresy. Kiedy znaleźli się w miejscu, gdzie była przepaść, chłopak zatrzymał się na chwilę i spojrzał w dół, ale kiedy Teresa go dotknęła, ruszył za nią. W chacie dorzucili do ognia, który już prawie zgasł. Zrobili herbatę i dali trochę gorącego napoju Benowi, ten jednak ich nie dostrzegał. Nagle - tak nagle, że cała trójka zastygła w bezruchu - chłopak wyszedł z chaty i pobiegł ścieżką, którą przyszli. Cisza. Po chwili Teresa zrozumiała, co się dzieje, chciała pobiec za Benem, ale Alfredo objął ją i powiedział:

- Zostaw go, Tereso.

Usłyszeli krzyk i odgłos toczących się w dół małych kamieni. Potem zapadła cisza.

Podnieśli się powoli i poszli w stronę, w którą pobiegł Ben. Dotarli do miejsca, gdzie z jednej strony ścieżka urywała się w przepaść. Ben leżał w dole, kupka kolorowych szmat. Jego żółte włosy wyglądały jak kępka górskiej trawy.

Pochylali się nad krawędzią i spoglądali w dół, trzymając się za ręce, żeby nie stracić równowagi. Zza zakrętu, gdzie powietrze tworzyło błękitną mgiełkę, przyplłynął podmuch nagłego wiatru, tak silny, że cofnęli się na występ skalny i przywarli do ściany. Teraz nie mogli już widzieć Bena, jedynie drugą stronę doliny, otoczoną graniami i urwiskami.

- Kiedy wrócimy do hotelu, możemy zadzwonić do profesora Gaumlacha i powiedzieć mu, co się stało - powiedział Alfredo.

- Ja zadzwonię - powiedział Jose. - On nie wie, kim jestem. Nie wspomnę o tobie ani o Teresie.

- Będzie na ciebie wściekły - powiedział Alfredo.

- Możesz mu powiedzieć, że nawet zwierzę ma prawo popełnić samobójstwo.

- Zajmie im dzień albo dwa, żeby dostać się do doliny - stwierdził Jose. - Będą potrzebowali mułów.

- Kondory zostawią z niego niewiele - zawyrokował Alfredo.

W górze rzeczywiście był kondor. Przyleciał od strony gór, które zostawił za sobą, zniżył lot i zaczął krążyć nad doliną. Nie widzieli słońca oświetlającego jego pióra.

- Nie szkodzi - powiedział Jose. - Potrafią zidentyfikować człowieka nawet na podstawie małego fragmentu kości palca.

- Będą chcieli wiedzieć, co on tu robił - powiedział Alfredo.

- Chcesz pokazać im malowidła na skale? - spytał Jose.

- Niech sami je znajdą - odparł Alfredo.

Drugi kondor nadleciał od strony szczytów górskich, które wznosiły się po drugiej stronie doliny.

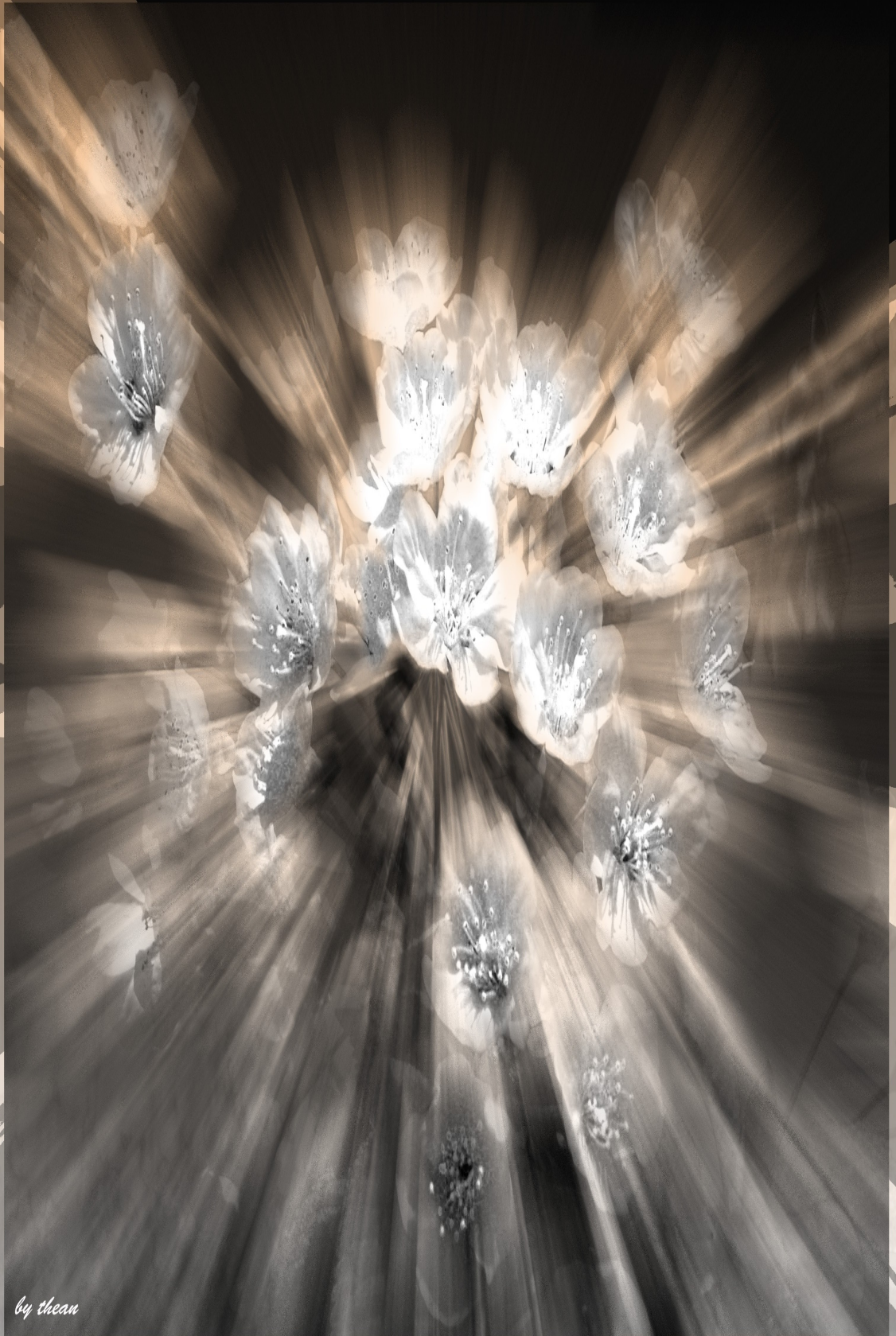
Teresa nie brała udziału w rozmowie.

- Nie płacz, Tereso, nie bądź głupia - powiedział Jose.

- To dobrze, że tak się stało.

- Teresa wie o tym - stwierdził Alfredo.

- Tak - powiedziała dziewczyna i dodała: - I wiem też, że jest nam lżej, Ben nie żyje, nie musimy o nim myśleć.



by thean